

GIEOGRAFJA

MAŁOWNICZA

42041[3]



Z WRAŻEŃ PODRÓŻNIKÓW

UŁOŻYŁ

Wacław Natkowski

III

AMERYKA
PÓŁNOCNA

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

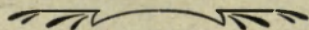
GIEOGRAFJA MALOWNICZA

GIEOGRAFJA MALOWNICZA

Z WRAŻEŃ PODRÓŻNIKÓW

ułożył

Wacław Natkowski



III

AMERYKA PÓŁNOCNA

CBGIOŚ ul. Twarda 51/55



Wa5126703

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

1909

<http://rcin.org.pl>

*opisy podróży
Ameryka Północna*



42041 [3]

HN-16082/T₃

DRUKIEM M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

<http://rcin.org.pl>

PAN alch. 4 148/65

GRENLANDJA I JEJ MIESZKAŃCY.

Większa część Grenlandji jest pogrzebana pod skorupą lodową («Inlandeis»); w epoce lodowej skorupa ta pokrywała całą Grenlandję, obecnie cofnęła się nieco ku wnętrzu, pozostawiając wolnym wązki pas nadbrzeżny, zwany krajem zewnętrznym («Aussenland»); w niektórych jednak miejscach odnogi tej zwartej wewnętrznej masy lodowej przekraczają, «niby ramiona polipa», pas nadbrzeżny i dosięgają fjordów, a nawet całkowicie je wypełniają. Według ostatnich badań Nansena, któremu udało się przejść Grenlandję w poprzek (1888 r.), możemy przyjąć z pewnością, że skorupa lodowa tworzy nieprzerwaną pokrywę kraju od jednego wybrzeża do drugiego; z pod tej pokrywy sterczą tu i owdzie najwyższe skalne szczyty pogrzebanego kraju, zwane nunatak; zresztą ostatnie z nich nie leżą dalej ku wnętrzu, niż na 52 km. od krawędzi lodowej. Południowy kraniec Grenlandji, mniej więcej na południe 61° szer., jest wolny od lodów; a również wolnym jest od niego i kraniec północny, — pierwszy z powodu ciepła, drugi z powodu suchości. Powierzchnia skorupy lodowej ma ukształtowanie faliste, grzbiety fal biegną mniej więcej w kierunku południkowym; najwyższe wzniesienie skorupy, dział lodowy, leży nieco bliżej brzegu wschodniego, niż zachodniego; najwyższy punkt skorupy, dosięgnięty przez

Nansena, leży tu na wysokości 2720 m. Nuunataki wznoszą się do 3000 m. We wnętrzu kraju skorupa lodowa ma powierzchnię najrówniejszą, przytym pokrywa ją warstwa suchego śniegu; ku krawędziom zaś lód jest popękany w niezliczone szczeliny, ułożone przeważnie równolegle, wypełnione niekiedy aż po krawędzie stojącą wodą. Prócz tego w czasie lata napotyka się na powierzchni lodowej także i wody płynące—rzeki w łożyskach lodowych; rzeki te znikają nieraz, na podobieństwo rzek karstowych, w szcze-



Krawędź pokrywy lodowej w Grenlandji z wodospadem potoku lodowcowego.

linach lodowych. Prócz tego Nordenskiöld napotkał tam słupy pary, buchającej z pod lodu: podlodowe gejzery.

Powierzchnia lodowa przybiera w różnych miejscach różny krajobrazowy charakter; Nordenskiöld, któremu udało się po raz pierwszy (1883 r.) wdrzeć we wnętrze Grenlandji, stawia tu następujące typy: 1) nieznaczną morenę u skraju skorupy lodowej, odgraniczającą ją od pasa nad-

brzeżnego, 2) stok lodowy pokrajany szczelinami, 3) grzbie-ty lodowe do 20 stóp wysokie, ze stromemi stokami i ol-brzymiami szczelinami, 4) garby lodowe do 2 metrów wy-sokie, 5) zagłębienia lodowe z licznymi, bystro płynącemi rzekami, niekiedy z jeziorem pośrodku; 6) równiny, po-kryste śniegiem wilgotnym, kaszowatym, 7) obszary wne-try, pokryte śniegiem suchym.



Góry lodowe u wybrzeży Grenlandji.

Wreszcie do zjawisk napotykaných na skorupie lodo-wej należy odkryty przez Nordenskiölda tak zwany «kryo-konit», to jest pył lodowcowy, zawierający żelazo magne-tyczne, zbierający się na powierzchni lodowej tam, gdzie stopniał śnieg przeszłoroczny. Nordenskiöld przypisuje mu pochodzenie kosmiczne, inni wyprowadzają go z wolnego od skorupy lodowej wybrzeża, skąd został przyniesiony

przez wiatry. Innych materiałów skalnych, to jest moren powierzchniowych, niema na skorupie lodowej, wyjąwszy najbliższą okolicę nunataków; występujący tu materiał skalny jest po części pochodzenia miejscowego, po części przyniesiony zdaleka jako morena denna, która została wyniesiona na wierzch wskutek sparcia się masy lodowej na sterczącym nunataku. W niewielkiej odległości za nunatakami materiał ten znika w czeluściach lodu. Skorupa lodowa przedstawia straszliwą pustynię, której martwą ciszę przerywa tylko niekiedy szum potoków, znikających w szczelinach, lub huk pękających lodów. Gra kolorów, zwłaszcza na ścianach szczelin lodowych, bywa wspaniała; przypomina niekiedy grotę błękitną na Kapri. Promienie słońca, odbite od białej powłoki śnieżnej, rażą oczy i zmuszają podróżnika do używania ciemnych okularów. Z powodu wielkich różnic temperatury na różnych wysokościach oraz igiełek lodu, unoszących się w powietrzu, występują tu często złudzenia optyczne, miraże. Ze szczytu nunataku przed oczyma podróżnika roztacza się nieprzerwane morze lodowe, a podniesione przez refrakcję krawędzie horyzontu nadają całej okolicy postać olbrzymiego, okrągłego półmiska.

Podróżnik austriacki, Payer, który w 1870 r. na wschodnim wybrzeżu Grenlandji, nad fjordem Franciszka Józefa, dosięgnął szczytu na 2100 m. wysokości, następującymi słowy rysuje krajobraz, który się stamtąd roztacza: «W czasie mych dawniejszych wycieczek w Alpy podziwiałem powielekroć ów wspaniały przepych regjonów lodowych, jaki się tam roztaczał ze szczytów na 3000—3600 m. wysokich. Ale jakaż to różnica od krajobrazów Grenlandji; tutaj, jak oko zasięgnie, wszędzie panowało skostnienie śmierci, żaden prawie znak życia nie przerywał dzikiej martwoty... Zamiast bujnych dolin alpejskich z ich ożywionymi wsiami leżało tu ciemne zwierciadło fjordu na 2100 m. głęboko pod naszymi sto-

pami. Niezliczone góry lodowe, w wielkiej odległości do błyszczących pereł podobne, płynęły po jego powierzchni, ku której olbrzymia ściana skalna spadała — jak się zdawało — pionowo. Ze wszystkich górskich tarasów z każdej doliny spływały olbrzymie lodowce w głąb korytarza skalnego i od ich wysokich krawędzi końcowych odłączały się wspaniałe góry lodowe, które, unoszone prądami, przez liczne sundy, wypływały na ocean. Ze wszystkich przedmiotów najbardziej zwracała naszą uwagę olbrzymia piramida lodowa, wznosząca się po stronie zachodniej; przenosiła ona o jakie 500 m. wysoki grzbiet górski, rozciągający się w kierunku południkowym».

* * *

Jakkolwiek ubogą jest flora Grenlandji, przynosi jednak człowiekowi pewne korzyści, służy nawet na pożywienie i to, pominiawszy sprowadzone przez Duńczyków rośliny uprawne, jak rzepa, kapusta, szpinak i rzodkiew. I tak: brzozy i wierzby oraz zarosłe wrzosowe, służą na opał; podobnież roślinność stortiała. Pokarmu dostarczają niektóre rośliny jagodowe; z innych używane są na pokarm pączki, liście, łodygi i korzenie, surowe lub gotowane. W czasach głodu Grenlandczycy nie pogardzają nawet roślinami morskimi.

Fauna arktyczna, wskutek wielkiego zbliżenia się mas lądowych na północy i wskutek lodów, ułatwiających wędrówkę, jest wszędzie prawie jednakowa. Organizacja jej jest skierowana ku obronie przed największym wrogiem tamtejszym — mrozem; a więc cechą jej jest obfite uwłosienie, oraz nagromadzenie tłuszczu podskórnego, odbywające się podczas intensywnego żerowania, w ciągu krótkiego lata; przytym z powodu białego tła śniegów zabarwienie tych zwierząt jest przeważnie białe, bądź stale, bądź przynajmniej w ciągu zimy: barwa biała zwierząt jest zarówno

charakterystyczna dla zwierząt polarnych, jak płowa dla zwierząt pustyń: obie dopomagają w walce o byt, gdyż warunkują niedostrzegalność, co jest korzystne zarówno dla prześladowanego jak i dla prześladowającego.

Ze zwierząt Grenlandji wymienić należy przedewszystkim białego niedźwiedzia, tego lwa pustyń polarnych; przebywa on zresztą przeważnie nie na lądzie, lecz na morzu, szczególnie w pobliżu krawędzi lodowych, gdzie znajduje obfitą zdobycz w psach morskich. Jestto zwierzę cyrkumpolarne, nie znajdujące tu żadnej granicy, ani w kierunku wschodnio-zachodnim, ani w północnym; znajduje natomiast granicę południową, która sięga tak daleko, jak zwarte masy lodów płynących. Wskutek tego niedźwiedź biały napotyka się wzdłuż wybrzeży całej Grenlandji, jednak wskutek tępienia, jest coraz rzadszym. Gdzie jest niedźwiedź biały, tam nie brak też lisa polarnego, który żywi się resztkami uczt niedźwiedzia; prócz tego łowi lemingi i zające, a nawet ptaki; nie pogardza też muszlami morskimi, napotkanemi na brzegu. Renifer, grający tak ważną rolę w arktycznych okolicach Starego Świata, w Grenlandji ma znaczenie podrzędne, gdyż Eskimowie nie potrafili go przyswoić. Z powodu wprowadzenia broni palnej ilość reniferów znacznie się zmniejszyła. Niektórych zwierząt polarnych, jak rosomaka, niema w Grenlandji, niektóre, jak wilk i gronostaj trafiają się rzadko; zato posiada ona wraz z Ameryką wołu piżmowego (na polarnych wybrzeżach Azji znaleziono go tylko w stanie kopalnym); lecz w Grenlandji rozprze-strzenienie jego jest ograniczone: niema go na wybrzeżu zachodnim, występuje dopiero na północo-zachodzie, nad Smithsundem. Na wybrzeżu wschodnim południowa jego granica jest 75^o sz.; północna nieznaną i w tym też kierunku ilość zwierząt wzrasta, gdyż północna Grenlandja wskutek suchego klimatu jest wolna od skorupy lodowej i posiada pastwiska. Wół ten wyjątkowo śród zwierząt polarnych nie posiada barwy białej, gdyż jako żywiący

się roślinami nie prześladowuje zwierząt, a jako posiadający olbrzymią siłę, nie spotyka prześladowców.

* * *

Mieszkańcami Grenlandji, jak i całego Arktycznego archipelagu Ameryki, są Eskimowie, lud najbardziej polarny i najbardziej w bycie swym związany z produktami morza. Do Grenlandji przywędrowali oni przez Smith-



Wół pizmowc.

sund; obecne ich rozprzestrzenienie się tutaj sięga na zachodzie od południowego rogu do okolic Smithsundu pod 78° szer., a na wschodzie do 66° . Surowa przyroda, a stąd ciężkie warunki bytu, zmusiły Eskimów do ścisłej solidarności społecznej, do miłości bliźniego zupełnie niezależnej od pojęć religijnych: dopóki są zapasy żywności, wszyscy używają z nich wspólnie, gdy ich zabraknie, wszyscy cierpią głód wspólnie; nie znaczy to jed-

nak, aby próżniactwo było protegowane: każdy musi tu wedle sił swoich pracować, t. j. brać udział w połowie i polowaniu. Kto się od tego uchyla lub spełnia to leniwie, ten staje się przedmiotem ogólnej pogardy; lecz gdy ktoś, mimo wysiłków, nie dozna powodzenia, powróci bez zdobyczy, wtedy szczęśliwsi podzielą się z nim swą strawą: to też złodziejstwo jest tu rzeczą niesłychanie rzadką; nawet drzewo napływowe wyciągnięte przez kogoś na brzeg, uważa się za jego nienaruszalną własność. Również rzadkiemi są przestępstwa przeciw osobie. Panuje tu powszechna zgodność, niema policjantów, ani sędziów: kto zawini, bywa wyśmiany i wydrwiony przez towarzyszy, a to jest największa kara dla Grenlandczyka, mającego wysokie poczucie godności osobistej. Tylko dążenie jednostki do zagarnięcia władzy nad towarzyszami bywało karane surowiej: wyłączeniem ze społeczeństwa lub nawet śmiercią. Pewien Eskim, słysząc o morderczych wojnach prowadzonych przez Europejczyków, powiedział pewnemu misjonarzowi: «Wasz naród wie, że istnieje Bóg, który stworzył świat i utrzymuje go, że po tym życiu wszyscy będą zbawieni lub potępieni, stosownie do tego, jak się prowadzili; tymczasem wielu z was żyje tak, jakby im rozkazano być złemi i jakgdyby grzech przynosił korzyść i był zaszczytnym. Moi rodacy nic nie wiedzą, ani o Bogu, ani o djable, a jednakże prowadzą się oni przyzwoicie, żyją we wzajemnej miłości i zgodzie, wspólnie zdobywają sobie środki do życia i dzielą się niemi między sobą». Związki małżeńskie bywają zawierane w sposób prosty: gdy młody człowiek może już założyć dom i gospodarstwo, wybiera sobie dziewczynę i wprowadza ją do domu. Dobre wychowanie wymaga od wybranej, by się początkowo wzdragała, a nawet próbowała ucieczki. Dobrzy łowcy biorą niekiedy po dwie żony. Moralność płciowa nie stoi wysoko: młode Grenlandki szczycą się ze stosunków z Europejczykami, stąd czystość rasy jest rzadka. Małżeństwa Eski-

mów nie są zbyt płodne, gdyż w tym surowym kraju dzieci nie są uważane za «błogosławieństwo boże»; płodność jest przedmiotem drwin. Kobiety starzeją się szybko, łysieją oraz tracą zęby wskutek żucia skór przy garbowaniu, przytym są strasznie brudne; to też nie dziw, że towarzysze podróżnika Frobishera schwytanej starej kobiecie ściągnęli buty dla przekonania się, czy nie ma kopyt: byli bowiem przekonani, że mają przed sobą babkę samego diabła. Życie rodzinne, zarówno jak społeczne, opiera się na życzliwości; żona nie jest nigdy źle traktowana przez męża, rodzice z dziećmi obchodzą się czule; nie otrzymują one nigdy kary, nie słyszą nawet ostrego słowa, są jednak grzeczne. Małe dziewczynki biorą się już do robót domowych, chłopiec już w ósmym roku życia dostaje kajak i puszcza się na wodę. Bożków, kościołów, kapłanów Eskimowie nie posiadają; w kwestjach religijnych okazują nadzwyczajną tolerancję: podczas gdy jeden wierzy w życie zagrobowe, gdzie będzie miał poddostatkiem wielorybów i psów morskich, inny wyśmiewa go za to; ponieważ zaś Eskimowie są bardzo wprawni w dysputy i dowcipni, więc pierwsi misjonarze mieli z niemi, podobnie jak z Kaframami, bardzo trudną sprawę, i często dla zbiccia argumentów stawianych przez krajowców, trzeba się było uciekać do — pięści. Umarłych swoich grzebią Eskimowie pod stosami kamieni, dzieciom dają do grobu głowę psa, aby mogły pod jego przewodnictwem znaleźć drogę do innego świata. Najpiękniejszym przecież miejscem pogrzebu jest dla Eskimów morze, w części zapewne dlatego, że kopać groby w twardej, zmarzłej ziemi nie łatwo. Zdrowie mają Eskimowie wyborne, jak również apetyt, a w związku z tym jest też ich wyborny humor; objawy te są wynikiem przystosowania do mroźnej przyrody polarnej: jednostki ze złym apetytem, smutne, nie wytwarzające więc w swym organizmie dostatecznej ilości ciepła, musiały w ostrym klimacie wymierać. Z chorób najczęściej zdarzają się skórne (z po-

wodu brudu), oraz obrażenia na ciele; z temi ostatniemi Eskimowie łatwo sobie radzą: obmywają ranę uryną i zatykają mchem.

Z wprowadzeniem chrześcijaństwa znikło wiele zwyczajów i obyczajów miejscowych nie zawsze z korzyścią dla krajowców: formalności przy zawieraniu związków małżeńskich nie przyczyniły się bynajmniej do umoralnienia Eskimów, zwłaszcza w pobliżu kolonji; podobnież zabronienie tańców, połączonych ze śpiewami, w których wysmiewano swe wady lub przestępstwa, było czynem



Chaty Eskimów budowane z tafli stwardniałej skorupy śniegowej.

bardzo nierozsądnym, gdyż tym sposobem odjęto krajowcom wyborny sposób załatwiania między sobą nieporozumień, a prócz tego i wielką rozrywkę. Stosunki ekonomiczne i zdrowotne również się pogorszyły; suchoty grasują wśród krajowców w przerażający sposób. Eskimowie zdają się być tym sposobem skazani na zagładę. Mieszkania Eskimów były pierwiastkowo dwóch gatunków: w lecie namioty ze skór, w zimie domy z kamieni, ziemi i śniegu; obecnie wskutek zmniejszenia się ilości skór,

Eskimowie i w lecie także muszą mieszkać w dusznych chatach ziemnych. Światła i ciepła udzielają lampy tranowe a także torf i guano ptaków morskich. Ponieważ w takim pomieszczeniu żyje znaczna liczba ludzi razem, łatwo więc zrozumieć, że zaduch i gorąco są tam nie do wytrzymania; do tego trzeba dodać jeszcze odór, wydzielający się z na-



Połów fok.

czyn napelnionych uryną, która w domu Eskimów gra ważną rolę: wskutek swej własności rozpuszczania tłuszczów jest używana do wyprawiania skór; z tego samego powodu służy ona też zamiast wody do mycia, a młode dziewczęta moczą w niej swe włosy, aby im nadać piękny połysk, a zarazem i... uperfumować się. Praca domowa

spoczywa głównie w rękach kobiet, mężczyzna przygotowuje broń i narzędzia łowieckie, a zresztą próżniaczy; lecz gdy wyjdzie na polowanie, staje się innym człowiekiem, który zadziwia swą energją, wytrwałością i zręcznością. Łowy (głównie na psy morskie) odbywają się przeważnie na łodziach, zwanych kajakami, zrobionych ze skór psów morskich; skielet jest drewniany. Kajak jest zupełnie zakryty, pozostaje tylko mały otwór, w którym siada wiosłarz. Nieprzemakalne futro psa morskiego, przymocowane dokoła otworu, w które odziewa się wiosłarz, nie dopuszcza wody do wnętrza; tym sposobem kajak stanowi część składową ubrania wiosłarza, tak, iż największe fale nie są dlań niebezpieczne. Połów zwierząt morskich, a poczęści i polowanie, są głównymi zajęciami Grenlandczyków, gdyż one jedynie mogą im dostarczyć środków do życia. Zetknięcie się z Europejczykami wyrobiło w Grenlandczykach nowe potrzeby, szczególniejszej namiętnie polubili kawę i tytoń, a zwłaszcza tabakę, do której, dla ulepszenia jej, dodają miątko utartego kwarcu lub spatu wapiennego. Nansen kreśli zabawny obraz tabacznego sportu Grenlandczyków: «Zebrało się z jakie 12 kajaków, które ustawiły się obok siebie w szeregu, niby żołnierze. Byłem zaciekawiony, co nastąpi; niedługo czekałem: wy dobyto różki z tabaką i podawano sobie z rąk do rąk. Każda dziurka od nosa została zatkana szczelnie i rozpoczęło się kichanie tak gwałtowne, iż dziwiłem się, że nie jeden z kichających nie wyrzucił kozła razem z kajakiem».

Według *W. Kukenthala i innych*.

WŚRÓD ESKIMÓW NA LABRADORZE.

Półwysep Labrador jest jedną z najbardziej pustynnych i dzikich krain na ziemi. Zajmując przestrzeń przeszło dwa razy większą od półwyspu Pirenejskiego,

liczy zaledwie 5000 ludności. Na północo-zachodzie i południu mieszkają Indjanie, na całym zaś pobrzeżu morskim — Eskimowie. Nawet najdokładniejsza mapa tych okolic przedstawia we wnętrzu kraju puste miejsce, nie powstała tam bowiem dotąd noga Europejczyka. Myśliwi i handlarze futer zapuszczają się najwyżej na 70 — 80 kilometrów w głąb kraju; przedsięwziętej zaś w 1861 roku wyprawie naukowej udało się dotrzeć do punktu, oddalonego od granicy w tym stopniu, jak Drezno od Berlina. Aby jednak dotrzeć do niego, trzeba było całych pięciu tygodni.

Na wybrzeżach tylko znajdują się rozsiane rzadko osady Eskimów, założone przez misjonarzy. Zajrzyjmy do jednej z nich, zwaną Nain.

W pośrodku wznosi się kościółek drewniany, prosty, lecz schludny, obok dom, zamieszkały przez rodzinę misjonarza i śpichrz, w którym przechowują się miejscowe produkty: baryłki, napełnione tranem, skóry reniferów i psów morskich, stokfisz i futra.

A teraz wejdźmy do «Speckhofu», znajdującego się po lewej stronie domu. Zapach tranu, na który Eskimowi ślinka idzie do ust, a który nas omal, że nie skłania do ucieczki, bucha ku nam z bełkoczącego kotła. Trzy poły-skujące od tłuszczu kobiety eskimoskie mieszają długimi kijami lub czerpią z kotła oleistą ciecz.

Są to niewiasty, obdarzone wyjątkowym zaufaniem, nie każde bowiem podniebienie eskimoskie mogłoby się oprzeć tak łaskotliwej pokusie. Misjonarze kupują od Tubyłców upolowane foki i z tłuszczu ich wytapiają olej.

W szopie, przylegającej do «Speckhofu» mieści się warsztat bednarski, w którym wyrabiają baryłki, potrzebne do przewożenia oleju i ryb. Dalej spostrzegamy blockhaus, którego niski komin wyrzuca kłęby dymu i ognia; wewnątrz znajdujemy browar, piekarnię i kuźnię. Pojutrze jest święto, więc misjonarz pośpiesznie wkłada do zięjącego żarem pieca «święteczne chlebki»: dziś jeszcze cze-

ka go inna robota—musi opracować kazanie i przełożyć je na język eskimoski. Drugi misjonarz popisywał się przedwczoraj w sztuce piwowara: dlatego browar dziś zalega cisza. W domu misjonarzy spróbowaliśmy tutejszego piwa, noszącego nazwę «prawdziwy Eskim». Wcale niezłe.

Sługa misyjny zatrudniony jest w obecnej chwili w oborze. Podłożył właśnie siana kozom i doi mleko w podstawiony szkopek, niczym dziewczka od krów. Eskimowie znają jedno tylko zwierzęta domowe—mianowicie psy eskimoskie; teraz dopiero w domu misjonarzy trzymają kozy, żeby mieć codzień świeże mleko. Pielęgnowanie ich należy do obowiązków jednego z misjonarzy — połączone jest jednak z tylu nieskończonemi trudnościami, że niejednokrotnie już zamierzano pozarzynąć wszystkie zwierzęta, mleko zaś skondensowane sprowadzać z Europy w blaszankach.

Szczególnie trudnym jest zdobywanie paszy. Skoro tylko rozpocznie się krótkie lato, organizuje się wycieczka, mająca na celu poszukiwanie trawy. Misjonarz na dużej łodzi żaglowej płynie wzdłuż brzegów; dwie lub trzy kobiety, jego pomocnice, uzbrojone w sierpy, we wszystkich kierunkach obszukują kamieniste wybrzeże — i dopiero późno wieczorem cała wyprawa powraca do domu z popsutemi sierpami i odrobiną paszy. Na osiem lub dziewięć miesięcy zimowych musi być przygotowany duży zapas.

W ten sposób mija cały rok. Eskimowie, pracujący pod kierunkiem misjonarzy, z nieznużoną wytrwałością, posiadają mnóstwo przygotowanych produktów, których część przeznaczają na sprzedaż, część zaś, jako zapasy zimowe, składają w magazynach. Wtedy z ogromną niecierpliwością wyczekują okrętu. «Harmonja», własność misji, raz na rok przybywa z Londynu, aby opłynąć brzegi Labradoru i z ciężkim ładunkiem produktów miejscowych powrócić do swojej ojczyzny.

Raz na rok tylko!... Przez całe trzy kwartały Eski-

mowie są absolutnie odcięci od świata! Ale oto nadchodzi dwudziesty sierpnia. Tak długo oczekiwanego statku ciągle jeszcze nie widać. Co godzina biegną Eskimowie na brzeg morski poza Nainem, aby wpatrywać się w oślepiając jasne przestworza wód...

Oto i statek!... Szeroką pierśią roztrącając fale, leci na wydętych żaglach ku ostro wrzynającej się w skalisty brzeg zatoce, szybko wywiesza flagę. Strzelby Eskimów były już dawno nabite, i oto grzmi wystrzał za wystrzałem, pozdrawiając gościnnie cicho i lekko podpływający okręt.

Kotwica wrzyna się w dno. Majtkowie wyładowują na ład beczki, paki, skrzynie, pudła. A we wrześniu okręt z ciężkim ładunkiem znowu odbija od brzegu, ścigany tęsknemi spojrzzeniami Tubyłców aż do chwili, gdy im zniknie z przed wyteżonych oczu. Przybycie statku jest tak ważną chwilą w życiu mieszkańców wybrzeży, że nawet rok pojmują oni, jako «rok okrętu». Teraz znowu powrócą do pracy i gromadzenia zapasów, aby znów po upływie roku móc wysłać sownie opłacający się ładunek.

Wkrótce po odpłynięciu okrętu z ich kraju, Eskimowie muszą udawać się po nową zdobycz. Zjawiają się psy morskie. W dużej liczbie płyną po morzu wzdłuż krawędzi lodowych. Wówczas wszyscy udają się na łowy.

Polowanie na fokę, będąc niezwykle korzystnym, wymaga jednak nadzwyczajnej zręczności. Kto widział małego, okrągłego Eskima na lądzie, ten nie jest w stanie nawet wyobrazić sobie, jaką niesłychaną obrotność okazuje on w czasie polowania na morzu. Już sam jego statek, same przyrządy myśliwskie nacechowane są takim sprytem, o jaki w innych okolicznościach trudno posądzić Eskima. Nawet Anglicy i Amerykanie przyznają bezstronnie, że «kajak», łódź myśliwska Eskimów, może służyć za wzór statku morskiego.

Spójrzcie: oto na brzegu stoi już jeden wraz z niektórymi

remi przyrządami myśliwskimi. Długi mniej więcej na 4 metry, a szeroki na 60 centymetrów, jest tak lekki, że łowca fok z łatwością może go przenosić na głowie. Całość składa się z możliwie lekkiego drewnianego szkieletu, obciągniętego zupełnie skórą psa morskiego, z wyjątkiem okrągłego otworu, w którym siedzi Eskim; w ten sposób człowiek ze statkiem tworzą formalnie jedność.

Jak balonik gumowy płasa kajak po morzu; to wznosząc się w górę, to spadając w dół, przeskakuje przez spienione wierzchołki bałwanów; znika w przepaści wodnej i znowu lekko unosi się na grzbietach spienionej fali. Trzeba być istnym linoskokiem, żeby w tych warunkach utrzymać równowagę.

Siedzący wewnątrz łódki Eskim trzyma w lewej ręce mocne podwójne wiosło i jaknajciszej, aby nie spłoszyć bojaźliwego psa morskiego, skrada się ku niemu. W prawej ręce ma strzelbę i harpunę. Drzewce harpuna ma długości około trzech metrów; na dolnym końcu umocowana jest specjalna deszczułka, ułatwiająca rzucanie, z niewielkim półokrągłym wycięciem, w które przy ujęciu dłonią, wchodzi szczelnie wielki palec. Ostrze zrobione jest z kości i ze stalowej nasady, i nie jest ani przybite ani przywiązane do drzewca; zato z nasady wychodzi przymocowany do niej rzemień, którego drugi koniec silnie przywiązany jest do sztyftu, w białego mniej więcej w połowie drzewca. Gdy harpuna trafi zwierzę, to natychmiast z całą wściekłością rzuca się na drzewce, i niechybnieby je złamało, gdyby silnie tkwiące w jego ciele ostrze lancy nie zeszło z drzewca. Pies morski wtedy szybko ucieka na głębie, a drzewce unosi się na falach. Ale nic to nie szkodzi: myśliwy odzyska je wkrótce. Długi sznur rzemienny łączy ostrze z dużym workiem, uszytym ze skóry psa morskiego, który przymocowany jest do łodzi za otworem, w którym siedzi myśliwy. Ranne zwierzę nie może go żadną miarą zerwać—i w ten sposób musi wreszcie stać się łupem łowcy.

Ale foki nie zawsze zabija się w ten sposób. Gdy morze jest już pokryte lodem, wtedy myśliwi starają się znaleźć miejsce niezamarznięte, które służy zwierzętom za rodzaj okna na powietrze, i z którego muszą one wyjrzeć od czasu do czasu, aby zaczerpnąć oddechu. Stojący na czatach Eskim trzyma harpunę tuż nad otworem, patrząc bezustanku w jeden punkt. Oto na powierzchni ukazują się bąble. Natychmiast wypłynie zwierzę i—ostry grot tkwi już w jego ciele. Uciezka nie pomaga: mocny sznur rzemienny nie wyslizgnie się tak łatwo z dłoni myśliwego. Wkrótce pojmane zwierzę zostaje wyciągnięte na lód.

Sieci na psy morskie kosztują setki marek, przeto połów z ich pomocą dostępny jest tylko dla bogatych tubylców. Kiedy nastaje pora, w której psy morskie ciągną wzdłuż wybrzeży, łowcy zarzucają w morze mnóstwo olbrzymich i niezwykle mocnych konopnych sieci i oczekują zjawienia się zwierząt, następnie zaś krzykami, wystrzałami i wszelkiego rodzaju hałasami starają się wpędzić je w zasadzkę. Te zaś, które nie dały się zwabić w sieci, zabijane są z łatwością wystrzałem, skierowanym w nos.

Polowanie na psy morskie stanowi główny zarobek Eskima. Jak rolnikowi silniej bije serce, gdy spogląda na swoje pola, porośnięte wysokim i bujnym zbożem, tak samo cieszy się Eskim, gdy gromada psów morskich, przeciąga obok lodowych krawędzi, obiecując wspaniałe żniwo... Wóz żniwny Eskima — to jego sanki, uginające się pod ciężarem zabitych fok.

Ale biada, gdy zwierzęta ominą swoją zwykłą drogę. Wtedy nastaje zima, ciężka dla Eskimów i pełna kłopotów dla misjonarzy — Eskim bowiem, jak i niektórzy Europejczycy, bardzo chętnie pożyczają, ale nadzwyczaj niechętnie oddają. Prawie cała wieś w krótkim czasie zjawia się w magazynach misji, aby pożyczyć żywności, przędzły i tym podobnych rzeczy, w silnej wierze oczywiście,

że miłość chrześcijańską i w sprawach pieniężnych powinna cechować nieskończona cierpliwość i łagodność. Misjonarz wobec tego zmuszony bywa często oddawać zupełnie za darmo sadło psów morskich, mięso reniferów, stokfisie i inne rzeczy, nabyte uprzednio za drogie pieniądze od Eskimów, którzy inaczej pomarliby głodową śmiercią; a gdy w lepszych czasach zażąda od nich zwrotu długu, tubylcy są w najwyższym stopniu zdumieni taką propozycją. Przecież w magazynach misji znajdują się olbrzymie zapasy — myślą wtedy. Czyż więc wobec tego można się dopatrzeć czegoś niesłusznego w tym, że zarządzający misją nie otrzymuje z powrotem pożyczonych towarów.

Eskimowie mają własne pojęcia o złym i dobrym i niezupełnie jasno zdają sobie sprawę z różnicy między «moim» i «twoim». Są oni w stanie okraść w tajemnicy swojego duchownego, którego zresztą nawet kochają prawdziwie, nie czując przytym najmniejszego wyrzutu sumienia. Europa w ich pojmowaniu jest krajem bogatych ludzi, więc temu, kto z niej pochodzi, można zawsze ująć nieco mienia bez uszczerbku dla niego.

Ale misjonarze ze swojej strony także nie dadzą sobie uczynić krzywdy. Gdy kraj nawiedzi niedostatek, jedynym ratunkiem dla jego mieszkańców jest magazyn misyjny. Gdy więc który z Eskimów narazi się misjonarzom, zostaje mu wzbroniony wstęp do tego magazynu. Zarząd gminny staje wówczas także po stronie misjonarzy. Na nic się również nie zda biedakowi, gdy, zmożony głodem, zaprzęgnie psy do sanek i uda się do najbliższej stacji misyjnej: będąc ze sobą w porozumieniu, misjonarze i tu odmówią mu sprzedaży produktów. W ten sposób radzi sobie misja doskonale z niepokornymi owieczkami.

Przez cały czas od kwietnia aż do końca listopada duchowna działalność misjonarza ulega przerwie, gdyż wszyscy z całego kraju udają się na zarobek; ziemne lepianki i blokhausy pustoszeją i domów strzegą tylko wdowy,

dziadkowie i babki. Przez cały ten czas przybywają tylko z morza pojedynczy łowcy, by złożyć swoje łupy w domu stacyjnym i zabrać ze sobą nowe materiały, jak proch, sól, broń, tkaniny wełniane i tym podobne przedmioty. I chociaż nabożeństwo odbywa się ze zwykłą regularnością, ale misjonarz w tej porze jest raczej więcej kupcem, niż duchownym. Resztę roku dopiero poświęca zajęciom kapłańskim i nauczycielskim. Dzięki temu, domy misyjne robią wcale niezłe interesy.

Eskimowie lubią bardzo podróżować, ale nie podczas słonecznego lata, tylko w zimie, gdy termometr opada najniżej. W styczniu, gdy odchodzą pierwsze sanie pocztowe, zaczyna się właśnie sezon podróży — i rozmaite ciotki i stryjowie zaczynają zawzięcie składać sobie wzajemne wizyty w saniach, ciągnionych przez psy. W ten sposób Eskimowie potrafi sobie uprzyjemnić swoją surową zimą.

Nadchodzi kwiecień. Mijają lube wczasy. Teraz Eskimowie udają się w góry, aby rozpocząć polowanie na renifery. W dawnych czasach zwabiano szybkonogie zwierzęta «na lód», to jest wykopywano głęboką jamę w śniegu, i przykrywano ją jaknajcieńszymi taflami lodu, na których rozkładano przynętę.

Zgłodniałe zwierzęta, nie domyślając się niczego, szły ufnie w pułapkę i zapadały się w śnieg po szyję. Obecnie Eskimowie posiadają już dobre strzelby, wobec czego zarzucili dawny sposób polowania.

Jak tylko na morzu puszczą lody, zaczyna się korzystny połów napływających stokfiszów. Główne punkty tej gałęzi rybołówstwa znajdują się na wybrzeżach Newfoundlandu; rokrocznie łowią tam w sieci całe miliony stokfiszów. Eskimowie na Labradorze łowią je tylko na wędki.

Naturalnie ten sposób jest o wiele zmuenniejszy. Łowca stokfiszów siedzi w łódce, i w każdej ręce trzyma długi rzemień, opatrzone na końcu ostrym zakrzywionym hakiem. Ale na zakładanie przynęty czy to w formie roba-

ków, czy sera niema czasu. Eskim zarzuca obie wędki w morze do takiej głębokości, żeby natrafić na przepływające w ogromnej liczbie ryby i szybkimi rzutami wlewo i wprawo nadziewa na hak nieszczęśliwe ofiary, czasami głową, czasami ogonem, czasami w połowie ciała. Tym sposobem, gdy dzień jest szczęśliwy, udaje mu się nieraz złowić do 150 a nawet 200 sztuk. Następnie zawiesza je głową przy głowie na poziomych żerdziach lub wyciągniętych sznurach — resztę pozostawiając działaniu słońca. Ale biada rybakowi, gdy nadejdzie dżdżysta pora: szczęśliwy połów nie przynosi mu wówczas żadnej korzyści, gdyż bez pomocy słońca ryby bardzo szybko ulegają gniciu.

I oto «rok okrętu» ma się ku końcowi; spiżarnie domu misyjnego są już należycie zaopatrzone. Kiedyż nareszcie ukaże się okręt? I znów słychać okrzyki, grzmią wystrzały, zapanowyywa powszechna wesołość. Z masztu radośnie powiewają różnokolorowe bandery!... Okręt zbliża się ku przystani!...

Według *E. G. Hahna*.

ŻYCIE W LASACH KANADYJSKICH.

Pod koniec jesieni dwadzieścia pięć tysięcy ludzi zgórą udaje się do lasów, zapuszcza w ich gęstwiny, by wyjść z nich dopiero z wiosną, dla dokonania spławu wspaniałych tratw, pokrywających rzeki nakształt mostów pływających.

Ta armja pracowników przenika do najodleglejszych punktów tej obszernej krainy. Nic nie powstrzyma ich pochodu. Obecnie dosięgają oni miejscowości, które były uważane za zupełnie niedostępne. Potoki, przepaści, niebezpieczne prądy wodne, strome skały — nic ich nie przeraża. Znajdujemy ich gromadami aż do krańców okolic lesistych na dalekich wybrzeżach jeziora Temiscamingue

i wzdłuż licznych dopływów Outaouaisu na wiele setek mil od miejsc, w których uchodzą do tej wielkiej rzeki.

Gdy tylko wędrowcy przybędą na arenę swego działania, stawiają sobie z grubych belek długi budynek, by mieć schronienie przed surowością klimatu. Ma on pomieścić czterdziestu do sześćdziesięciu ludzi przez ciąg sześciu do dziewięciu miesięcy. Mieszkanie to jest bardzo zimne i wiatr przenika doń swobodnie. By je nieco ogrzać, umieszczają pośrodku piec, w którym trzaskający ogień podsycają bezustannie olbrzymie bierwiona. Po skończeniu prac przygotowawczych rozdzielają ludzi na różne grupy: ścinaczy, traczy, cieśli, woźniców, wreszcie—kuchacza, którego wybór winien być dokonany nader starannie, gdyż musi on być wprawny, przewidujący, i obdarzony bezgraniczną cierpliwością. Gdy spadnie obfity śnieg i tym sposobem teren się wyrówna, wówczas wszystkie ścięte drzewa zgromadza się na jednym miejscu dogodnym do spuszczenia ich na wodę. Do przewożenia używają mocnych sani o czterech płozach, zaprzężonych w konie lub woły.

Każdy robotnik opuszczać musi mieszkanie przed wschodem słońca i powracać doń, gdy noc już zapada. Rzadko się zdarza, by zbyt silny mróz lub niepogoda zatrzymała w domu choćby przez jeden dzień tych ludzi nieustraszonych i stwardniałych przy pracy; ale należy również przyznać, że, jeżeli wymagają od nich roboty bardzo ciężkiej, to również zaopatrują ich obficie we wszystko, co może im być potrzebne. Mięso solone, stanowiące codzienne ich pożywienie, otrzymują w ilości, jakiej zechcą; chleb, pieczony na miejscu, jest doskonały; grochówka, którą jedzą codzień wieczorem, jest przyrządzona ze smakiem; herbata, którą piją po każdym jedzeniu, jest w bardzo dobrym gatunku. Te to potrawy i napoje stanowią przysmaki robotników i sławę kuchacza; ale pomimo starań swych i zdolności, nie zdoła on uniknąć drwin i skarg łakomych

biesiadników, którzy mają prawo o każdej godzinie dnia i nocy zasiąść do stołu. Po wieczery nastaje chwila rozrywki, wesołości, opowiadań, dowcipów, które Kanadyjczycy znajdują bez żadnego wysiłku pośród najcięższej pracy.

Bezustanne zwalanie tych olbrzymów leśnych jest bezwątpienia ciężką pracą, ale praca ta nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa. Dopiero na wiosnę, gdy wszystkie te olbrzymie, rozsypane na wybrzeżu bale muszą zostać zepchnięte na wodę, rozpoczyna się rzeczywiste niebezpieczeństwo dla «człowieka leśnego». Przez ciąg długich godzin musi on pozostawać na wodzie, przebywać przepaście po wązkich kładkach, przepływać prądowniny, usiane rafami, unikać jednego niebezpieczeństwa, by wystawić się na inne, sto razy wymknąć się śmierci, by znaleźć ją nieraz w głębinie.

Toteż jakże silna i dzielna jest ta ludność, która w czasie zimy zamieszkuje leśne osady! Takiemi są nieustraszeni wędrownicy w puszczy, takimi widzimy ich na pływających tratwach, gdy robią ciężkimi wiosłami, poruszającymi te olbrzymie masy drzewa, gdy odważnie stają wobec niebezpieczeństwa, weseli i bez troski po trudach dnia.

Zazwyczaj zaraz po puszczeniu lodów, w połowie marca, spuszcza się pływające masy drzewa po dopływach Outaouais. Drzewo dzieli się na sekcje, które nazywają się *crib*, każda mająca 24 stopy długości; sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt lub sto *crib* stanowią partję drzewa (*cage*), składającą się zazwyczaj z 100000 stóp sześciennych. Każdy *crib* zawiera dwadzieścia trzy do trzydziestu sześciu sztuk drzewa i 800 do 1000 stóp sześciennych.

Tratwy wymijają większą część wodospadów i prądów, tamujących biegi rzek, po wązkich urządzonych z wielkim nakładem przez państwo kanałach o silnym spadku, których boki i dno wyłożone są grubymi tarcicami dębowymi, łagodzącymi uderzenia i normującymi szybkość prądu.



Kordyljery w Brytańskiej Kolumbji. *)

*) Figury poławane w «Gieografji Malowniczej» niezawsze są ilustracją tekstu: niekiedy (jak w danym razie) zastępują one właśnie brak napisu pewnych okolic. Wzglętem ma tym więcej podstawy, że «Gieografja Malownicza» jest obrazowym dopełnieniem «Gieografji Rozumowej», gdzie dla rozwinięta tekstu musieliśmy się wyrzec podawania ilustracji krajobrazowych.

W kanałach tych jeden *crib* tylko mieścić się może, trzeba je więc wszystkie rozwiązywać i spławiać kolejno jeden za drugim. Po ominięciu wodospadu *criby* spaja się nowo i spławia dalej. Omijanie to zajmuje bardzo wiele czasu i wystawia cierpliwość żeglarzy na ciężkie próby. Na samej rzece Outaouais jest trzynaście takich kanałów.

Wszystko prawie ociosane drzewo spławiają do Quebecu, skąd je wysyłają na rynki europejskie, zwłaszcza do Anglii. Tysiąc dwieście okrętów z załogą, wynoszącą piętnaście do dwudziestu tysięcy majtków, przewozi je corocznie z tamtej strony Atlantyku. Bale przeznaczone są zwykle do tartaków Chaudières albo tartaków, znajdujących się nad brzegami Outaouais i jej dopływów, gdzie je piliują na deski i tarcice.

Najlepiej przekonać się można o doniosłości przemysłu drzewnego w tych okolicach, ujrawszy wodospady Chaudières, jedne z najpiękniejszych na świecie. Dość spojrzeć na te olbrzymie gmachy, okalające wielki wodospad. Pracują w nich rąk tysiące, huk potężnych, puszczonech w ruch maszyn, ginie w huku wodospadu. Praca nie słabnie ani na chwilę przez cały przeciąg trwania spławu. Jakby jakiś ul olbrzymi, z którego trutnie wygnano bez litości. W nocy życie nie jest bynajmniej słabsze, niż w dzień, niezmordowana piła pruje bez spoczynku olbrzymie pnie, rozcina je i nadaje im żądane formy. Gdy noc zapada, huczące te gmachy rozbłyskują tysiącem światel, podobnych do tysiąca migocących gwiazd. Na obu brzegach poniżej wodospadu rozciągają się długie bulwary, pokryte deskami i tarcicami, ułożonemi w wysokie stopy; liczne barki, ciągnione przez holowniki, podpływają tu dla nabrania ładunku. Statki te płyną zazwyczaj do Stanów Zjednoczonych, po rzece Outaouais, przebywając liczne kanały, od rzeki św. Wawrzyńca i Richelieu, aż do Rouse's Point, Burlingtonu lub Whitehallu nad jeziorem Champlain, miejsca swego przeznaczenia.

J. Tassé.

WODOSPAD NIAGARY.

Przecudny jesienny poranek zastał mnie na pomoście ostatniego wozu kolejowego. W powietrzu rozlana jakaś niebieska, przezroczysta mgła, która nie zakrywa przedmiotów, lecz owszem dodaje im niezwykłego koloru i wdzięku. Spokojne nurty jeziora Ontario odbijają na kryształowej swej powierzchni piękne lasy dębowe, za którymi wśród prerji tak tęskniłem, i którymi się obecnie tak cieszę!

Dziś ważny dzień w mej podróży, za kilka godzin ujrzę Niagarę, to, może najpopularniejsze, zjawisko natury, i dziwne — ogarnia mnie jakiś niepokój, jakgdyby bojaźń, że ten cud przyrody nie dopisze moim oczekiwaniom. Wszak tyle czytałem i słyszałem o nim, — wszak wyrobiłem sobie już w umyśle pojęcie o jego potędze; czy więc nie spodziewam się zawiele?... czy wreszcie po gejzerach i kanjonach Niagara nie straci nieco ze swego blasku?...

Próżna obawa... zbyteczny niepokój... Niagara jest pysznym i kosztownym brylantem, wprawdzie bez ozdobnej oprawy, ale brylant nie traci przez to na wartości, że nie jest w złotym otoczeniu; nie traci swego ognia i blasku, gdy się go widzi po innych klejnotach.

«Niagara Falls» zagrzmiął głos konduktorów, i wszystko, co żyje wybiega z wagonów, aby zobaczyć.. nędzną kanadyjską stacyjkę kolejową, i jeszcze nędzniejsze miasteczko. Napróżno wyteżam wzrok i słuch, ażeby zachwycić nieco z potężnego wodospadu, nic a nic... «Wsiadać!» rozlega się znów głos komendy, — «jedziemy na stronę amerykańską».

Trzeba bowiem wiedzieć, że Yankes nazywa Stany Zjednoczone Ameryką, a siebie Amerykaninem, odmawiając tego przydomka innym państwom Nowego Świata. Otóż, jak wiadomo, Niagara dzieli Stany Zjednoczone od Kana-

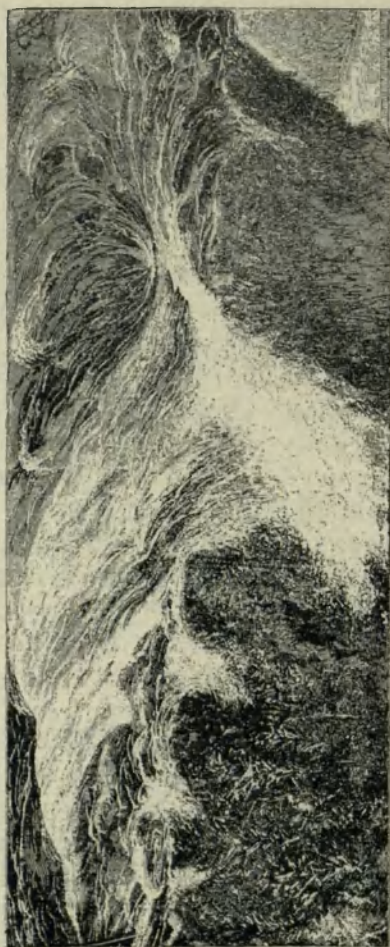
dy; po obu stronach leżą małe miasteczka, z których każde nosi nazwę «Niagara Falls», jedno więc jest «amerykańskim» a drugie «kanadyjskim».

All right! jedźmy na stronę amerykańską. Widocznie nasz przedsiębiorca zanadto wielki patryjota, aby dał zarobić hotelom kanadyjskim, gdy po drugiej stronie jego chciwi dolara rodacy z czwartymi oczekują nas rękami.

Więc pociąg zwolna, majestatycznie potoczył się ku wschodowi, jeszcze chwil kilka... i gwałtowny turkot wskazuje, że jesteśmy na jednym z najślawniejszych mostów całego świata, na Suspension-bridge nad Niagarą!

Jakiż to śliczny, potężny, imponujący strumień ta zielona Niagara! Głęboko u stóp naszych (75

m.) wrą jej nurty w kanjonie, który je zaledwie pomieścić zdoła. Tuż poniżej mostu rozpoczynają się Whirl-pool-ra-



Niagara Whirl-pool-rapids (prądowiny).

pids, te straszliwe szypoty (prądowiny), wobec których wezbrane wody naszych najpotężniejszych rzek są dziecinną zabawką! Z uśmiechem politowania wspominam sobie te chwile, kiedy w dalekiej Europie stałem nieraz nad wezbraną rzeką górską, szumiącą w dzikich kataraktach wśród skał odwiecznych! Wszak to był tylko bezsilny gniew dziecka... wszak największe europejskie szypoty mają zaledwie kilkumetrową głębokość, podczas gdy szypoty Whirl-poolu są przeszło 50 m. głębokie!...

Wobec tej masy wody zepchanej w nieco zaciasny kanjon zrozumieć można gwałtowność, wściekłą siłę, majestat Whirl-poolu! Jakgdyby fale oceanu wśród burzy morskiej, piętrzą się zielone nurty wysoko w górę, śnieżną otaczając się pianą. — biją w odwieczne skały kanjonu, chcąc go rozerwać, — a podrażnione oporem, walczą ze sobą, gniotą się i zmiażdżają wzajemnie.

A na ten pyszny obraz spogląda zdziwiony człowiek z góry, bujając jak ptak między niebem i ziemią. Gdzie dawniej tylko orzeł na swoich silnych kołysał się skrzydłach, tam wznosi się obecnie most kolejowy, rzucony nad przepaścią, od jednego brzegu kanjonu do drugiego. Potężne, murowane wieże, odległe od siebie o 800 stóp, trzymają silnie ten cud nowoczesnej techniki, składający się z 2 pięter; po górnym pędzą pociągi, po dolnym chodzą przechodnie, jeżdżą konne wozy.

Lecz dość Whirl-poolu, spójrzmy naprawo. Tu niema szypotów, — poważna, zielona Niagara płynie, świadoma swej potęgi, spokojnie, wzbudzając podobnie, jak nieruchome oblicze tytana, podziw i grozę. A w oddali, w górze, 2 klm. od naszego mostu, wznoszą się jakieś mgły, jakieś opary, wyteżamy wzrok i spostrzegamy wodospad. Lecz kto chce podziwiać olbrzyma, niech się nie patrzy nań zdaleka, więc chwilę cierpliwości, a ten cud przyrody zaśnieje w całym swym majestacie.

— Dalej nad Niagarę!

Zielone platany i jawory tworzą wesołą aleję nad wodą,—lecz cóżto?—po maleńkim moście przekraczamy młynówkę. O świętokradztwo!... o wandalizmie amerykański!... Prowadzić młynówkę od Niagary, żeby obracała tam poniżej koła jakiejś fabryki, to znaczy: kazać królowi w purpurze i koronie w wolnych chwilach wywozić nawóz, lub rąbać drwa za skromnym wynagrodzeniem ¹⁾. Ostatni czas, że oba rządy Stanów Zjednoczonych i Kanady ogłosiły Niagarę i pewien teren dookoła jako: «Reservation»,—gdyż faktycznie temu gigantycznemu zjawisku przyrody groziło niebezpieczeństwo zniknięcia pod kołami i fabrykami Amerykanów. Dziś jeszcze Yankes, stając w niemym zachwycie nad wodospadem, oblicza, ile tu sił koni marnie idzie, a wnioskując, jaka masa dolarów dałaby się stąd wyciągnąć, wzdycha i narzeka na głupie rządy, które nie mają najmniejszego szacunku dla businessu.

Lecz idźmy dalej. Przed nami wielki strumień, który w wartkich szypotach pędzi wśród omszonych skał. Zachwycamy się jego wielkością, a przecież to dopiero tylko mała część potężnej Niagary. Uroczy, lesisty brzeg, który widzimy po tamtej stronie, to tylko wyspa w środku rzeki,—to Goat Island (Kozia wyspa), która dzieli całą Niagarę na dwie nierówne części. Stoimy na brzegu mniejszego, tak zwanego amerykańskiego ramienia, właściwa Niagara skryła się za wyspę.

Lecz nie czas nam zatrzymywać się w tym miejscu, do spadu! do spadu!... oto rozkaz, powstały w głębi naszej duszy, któremu organizm oprzeć się nie zdoła. Więc dalej w dół brzegiem rzeki, — głuchy szum uderza o nasze uszy, — mokra mgła zwilża nasze skronie, — jeszcze parę kroków,—jeszcze krok, jedno spojrzenie w dół, i mimowolny okrzyk wyrywa się z piersi naszej.

Pod nami wodospad Niagary, mianowicie jego część amerykańska.

¹⁾ I nie byłoby w tym zaiste nic tak złego; slójd jest higieniczny W. N.

Zielona woda, dotknąwszy zaledwie brzegu przepaści, w której ma zginąć, niknie jakgdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, — to, co teraz widzimy, to nie jest żadną wodą. To lawina śniegu, spadająca w otchłań, to biała piana, tocząca się z ust rozwścieklonego potwora-olbrzymia, to jakaś mgła, układająca się w podłużnie splecione fałdy. Spodu nie dojrzysz, białe opary, wydobywające się z głębi, zasłaniają przeważnie miejsce, gdzie wśród potężnych głazów paleozoicznego wapienia powstaje nanowo



Wodospad Niagary.

rzeka ze skroplonej mgły. W głowie się mąci, — chwilami się zdaje, że lecisz z wodospadem w dół, że wszystko zbliża się ku tobie, aby cię pochłonąć w przepaść, że cała przyroda dookoła nabiera życia i zaczyna tańczyć w takt tej gigantycznej muzyki Niagary.

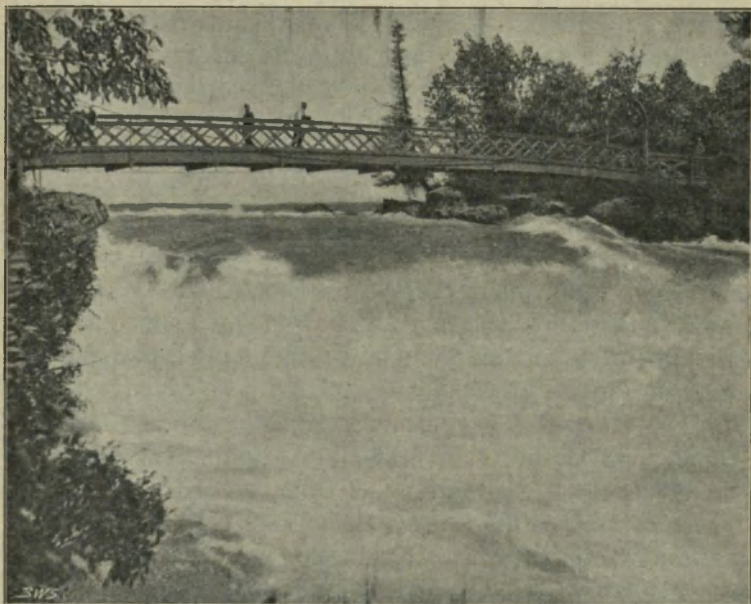
Zwykle ma się całkiem fałszywe pojęcie o tym sławnym wodospadzie. Każdy, spoglądając na obrazy i fotografie Niagary, wyobraża sobie, że idąc spacerem wśród

lasu, spostrzeże raptem przed sobą olbrzymią masę wody, spadającą z wysokiej góry w dwóch ramionach. Tak nie jest,—potęgę Niagary poznaje się nie odrazu, lecz w drobnych dawkach.—Trzeba bowiem sobie uzmysłwić, że wodospad leci w kanjon czyli w olbrzymią szczelinę, więc zbliżając się do niego, spostrzegamy go z góry i musimy przyjść nad sam brzeg, aby go wogóle ujrzeć, gdyż już w małym oddaleniu nie widać z niego i śladu. Trzeba obejść go ze wszystkich stron, spuścić się w głąb kanjonu, skąd zwykle pochodzą zdjęcia fotograficzne, trzeba się odważyć pójść choć parę kroków popod sam wodospad, aby sobie wyrobić należyte o wszystkim pojęcie.

Przedewszystkim chodzi o pogląd na całość, i tu na szczęście nie potrzeba się uciekać do balonu, gdyż most wiszący nad Niagarą tuż nad wodospadami, otwarty w roku 1870, a przeznaczony dla pieszych, wozów i konnych, daje najlepszą sposobność do poglądu na wodospady z ptasiej perspektywy. Most ten jest jeszcze dłuższy i ciekawszy, aniżeli wspomniany «Suspension-bridge». Wisi on na drucianych linach nad przepaścią kanjonu między dwoma drewnianymi wieżami, odległymi od siebie o 350.5 m., i tak jest zgrabny, że zdaje się, iż lada podmuch wiatru go zmiecie. A więc zapłaćmy należytość i dalej na środek mostu. Tu bujamy rzeczywiście jak ptak w powietrzu, i tylko widz wolny od zawrotu może się dosyta rozkoszować widokiem, jaki się tu przed jego oczyma roztacza. Przed nami oba spady, nalewo amerykański, naprawo o wiele potężniejszy kanadyjski w kształcie podkowy, noszący nawet skutkiem tego nazwę «horse shoe fall». Gdyby nie wysepka we środku, której pionowe ściany wapienne i łupkowe dzielą całość na dwie części, to mielibyśmy jednostajny wodospad o szerokości przeszło półtora kilometra. Co za ogrom! co za masa wody! I dziwna!—Tu w najbliższym sąsiedztwie spadów płynie Niagara głęboka, ale spokojna, bez szypotów, bez tych wszystkich obja-

wów rozhuwanej siły, które dalej, poniżej, w Whirl-poolu przerażają widza.

Wzrok mój błądzi po śnieżno-białych spadach, płuca wciągają powietrze zaprawione wilgocią wody rozbitej na drobiny, a gwałtowny szmer i huk, dochodzący mnie od spadów w głębi kanjonu, wprawia mnie w stan odurzenia!...



Wodospad Niagary. (Most Trzech Sióstr).

Zwolna podnoszę wzrok od wody i skał w kanjonie, na wesoły brzeg kanadyjski. Tu ciągnie się uroczy park wzdłuż rzeki, nieco dalej w tyle zarysowuje się stary taras rzeczny w postaci zielonej ściany, której szczyt koronują białe mury monasteru.

Lecz idźmy dalej. Wesoły, piękny park «Queen Victoria Niagara Falls Park», który nas zachwyca, to dzieło

Polaka. Marsowa twarz na posągu z brązu, stojącym wśród bujnej zieleni, zdradza już zdaleka rysy sarmackie, — napis opiewa, że pułkownikowi Kazimierzowi Gizowskiemu, twórcy parku wzniesli ten posąg jego wdzięczni współobywatele. Park ten był faktycznie koniecznością. Odwieczne dziewicze lasy, które niegdyś tu szumiały za czasów Indjan, znikły skutkiem wandalizmu bladej twarzy, bez śladu, — można sobie wyobrazić, ile Niagara straciła, pozbawiona tej przyrodniczej ozdoby. Założenie parku naprawiło to złe choć w części; do uczucia podziwu i wielkości przychodzi wrażenie piękna.

Więc szumią tu jawory, wyciągają swe zielone ramiona rozłożyste dęby, szemrzą ciche tuje. Wilgotna mgła, dobywająca się od czasu do czasu z wodospadów, z głębi kanjonu, okrywa wszystko jakgdyby mokrym płaszczem, nie oszczędzając przytym i przechodniów. Wilgoć ta sprzyja rozwojowi drzew, ale zato w zimie cierpią one dużo, gdyż mgła zamienia się naturalnie na lód, powlekający wszystko grubą powłoką.

Spacer wzdłuż parku nad samą Niagarą jest zachwycający, ma się przytym doskonały przegląd całości. Niebrak wieżyczek i altanek nad samą przepaścią, niebrak «Inspirations point» i t. p., ale tu każdy punkt jest miejscem natchnienia.

Zbliżamy się do samego wodospadu kanadyjskiego. Widok jeszcze bardziej imponujący, aniżeli spadu amerykańskiego. Nie pomogą tu do zrozumienia opisy, nie wyrobiją należytego pojęcia obrazu. Cóżto za masa wody spada w przepaść, zamieniając się na samej krawędzi w śnieżną pianę! Obliczono, że 15 milionów stóp kubicznych wody przepływa przez spady w przeciągu jednej minuty, a trzeba przytym wiedzieć, że wielkość Niagary nie zmienia się nigdy, nikt jej nie widział większą, nikt mniejszą, niż zwykle. Ani słotne lato nie przyczyni, ani też suche nie ujmie z majestatu wodospadów. Niagara

jest odpływem wielkich jezior, odprowadza więc wody całego środka olbrzymiego kontynentu; cóż tu więc znaczy parę kropel mniej lub więcej.

Kilkanaście kroków za wodospadem widzimy z uroczej wysepki «Cedar Island» górne kaskady i szypoty. Co za szczególny i piękny widok!... Nie są to głębokie Whirlpoolu, ale rozhukana woda, po której poznać, że walczą ze skałami podwodnemi; jakoż rzeczywiście tu i owdzie wznosi się omszony łeb kamienny, jakby urągający potędze Niagary. Nie chełp się swą wytrwałością i siłą stary druhu! Niagara silniejsza od ciebie, prędzej czy później runiesz w przepaść, rozsypiesz się w proch, jak tyłu twoich poprzedników...

Południowe słońce oblewa promieniami swemi olbrzymi strumień, który, jak wzburzona zatoka morska, rozciąga się w nieskończoność przed naszymi stopami. Lecz, spójrzmy poza siebie. O dziwo! strumień zniknął bez śladu. Widzimy Goat-Island, widzimy Park zielony, ale nie widzimy Niagary. Zdaje się nam, że to jakaś bezdenne, piekielna czeluść otwarła się, aby pochłonąć te wielkie masy wody.

Tu koło nas wszystko jeszcze wre, kipi, kłębi się, aby nieco opodal w bezsilnej niemocy zniknąć w otchłani! Dziwne, a dla tego wodospadu nadzwyczaj charakterystyczne złudzenie.

Idziemy na Goat-Island, tę wysepkę, która dzieli spady i rzekę na dwie nierówne części. Wygodny most oparty we środku na jeszcze mniejszym ostrowie (Both Isl.) prowadzi nas do celu. Po drodze spoglądamy na pieniające się nurty u stóp naszych, na skały sterczące w postaci minjaturowych wysepek, wśród wody, i rozważamy, czy byłoby możliwym wyratować się od śmierci, gdyby się spadło z mostu w te górne szypoty? Odpowiedź brzmi, że nie, woda porwałaby nas niechybnie i zaniósłaby do spadu.

Na samo wspomnienie krew w żyłach się ścina, idźmy więc ostrożnie.

Lecz oto i Goat-Island,—śliczna, urocza wysepka,—prawdziwie kosztowny szmaragd w lśniącej oprawie. Bujny las złożony z cedrów, klonów, jaworów i buków, podszyty najrozmaitszym krzewiem, osłania nas przed promieniami słońca i zakrywa od mokrej mgły wodospadów. Huk wody, łamiąc się o gałęzie, zamienia się w przyjemny szum, zapraszający do spoczynku i marzenia.

Przez uroczą aleję biegniemy najprzód do spadu kanadyjskiego; na końcu wyspy schodzimy po stopniach w dół na głazy zwane «Terrapin Rocks» a sterzące już w rzece tuż nad samym wodospadem, jeden rzut oka w dół, i...

Musimy gwałtownym ruchem cofnąć się wstecz, — gdyż jakaś nieprzeparta siła ciągnie nas w tę straszliwą otchłań.

To dziewczica z mgły, «the maiden of mist» mówią Amerykanie. Ona króluje w tych nurtach i podobnie jak niemiecka Loreley, czyha na zgubę śmiertelników, wabiąc ich do siebie. Ona to jest przyczyną tak licznych co roku samobójstw w Niagarze, — więc obcy przybyszu miej się na ostrożności, nie patrz jej w oczy, ho zginiesz w przepaścistych toniach. Nie przypisuję Amerykanom tyle poezji, żebym sądził, iż «the maiden of mist», jest produktem ich wyobraźni, — jestto istota stworzona przez europejskich podróżnych, albo raczej uosobienie znanego psychologicznego zjawiska, że na osoby wrażliwe i nerwowe — wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa, grożące śmiercią, jak przepaście, bezdnie morskie i t. p., nieprzeparty wywierają urok.

A jednak dziewczica Niagary nie jest żadnym mitem, tylko historycznym faktem!

Za czasów czerwonoskórych panów tej ziemi istniał zwyczaj, że co roku dziewczica, zazwyczaj córka znacznie-

szego wojownika, ginęła w tych strasznych toniach jako ofiara składana potężnemu duchowi wodospadu. W białym kanoe, strojne w zieleń i kwiecie, w rękach lekkie wiosło, spuszczała się ta nieszczęsna ofiara w okolicy górnych szypotów na wodę, aby zniknąć w okropnej otchłani bez śladu. Tak, bez śladu!... gdyż Niagara ma zwyczaj, że ofiar swych nie oddaje wcale; przed kilku laty spuszczone z góry stary okręt umyślnie na ten cel przeznaczony, mający za załogę niedźwiedzia i kilka psów, i okręt ten zniknął bez śladu.

Z drugiej strony wysepki oglądamy spad amerykański. Tymczasem słońce za nami poczyną się zniżać ku zachodowi. Prześliczne łuki tęczowe okazują się nad skałami, jak korony promienne nad głowami świętych. Przy tym oświetleniu widzimy dokładnie, że barwa spadającej wody nie jest tak śnieżnobiała, jak to nam się pierwiej zdawało. W nadzwyczaj delikatnych odcieniach następują tu po sobie smugi liljowe, niebieskawe, blado-zielone.

Lecz oto i Luna-Island, gdzie nas czeka inna, prawdziwa amerykańska przyjemność!—Nie mniej, nie więcej, tylko spacer pod wodospadem. Spacer pod Niagarą! Jak to ładnie brzmi! Nie trwóż się jednak czytelniku, nie pod całym wodospadem, gdyż byłby to spacer dla tytanów, tylko pod drobną jego cząstką. Trzeba bowiem wiedzieć, że tuż koło Goat-Island leży maleńka wysepka Luna-Island, która sprawia, że od amerykańskiej części Niagary odrywa się małe ramię, tworząc samodzielny wodospad, na 25 kroków szeroki. Patrząc się więc z przeciwnej strony, widzimy potężny spad amerykański, dalej małą przerwę kilku kroków, odpowiadającą wysepce Luna, potym wspomniany mały wodospad, a wreszcie wielką przerwę, sprawioną Kozią wyspą.

Otóż popod ów mały spad, jakoteż dookoła niego, można przejść, a to w taki sposób, że na starych głazach sterujących u stóp wodospadu rzucono karkołomne kładki, że

dalej pod wodospadem wydrążono nieco dynamitem skałę, aby uzyskać jakie takie przejście pod a raczej poza wodą, spadającą z góry z ogromną siłą.

Widzę, że nie będę sam, gdyż w domku nad przepaścią znachodzę pięciu równych mi śmiałków. Po zapłaceniu taksy zaczyna się przebieranie, na miejsce swego ubrania, dostaje każdy flanelową bieliznę, a ci, którzy nie chcą bez przestanku moknąć, także i płaszcz kauczukowy z kapuzą. Ze względu, że dzień gorący, uważam kąpiel za pożądaną, więc zostaję we flaneli. Muszę jednakowoż przyznać, że kiedy przewodnik poprawiał mi coś koło mego nowego stroju, miałem uczucie skazańca, któremu kat pomaga do ostatniej toalety.

Po karkołomnych ślizkich schodach schodzimy w dół. Im dalej w głąb, tym większy huk, tu musimy się pożegnać z głosem ludzkim, odtąd rozmowa nasza ogranicza się na migi.

Ostrożnie, noga za nogą wchodzimy na wspomnianą kładkę rzuconą dookoła małego spadu, jeszcze kilka kroków i jesteśmy w środku rzeki naprzeciw wodospadu, w najbliższym jego sąsiedztwie.

Jakgdyby na ulewnym deszczu, przemakam w okamgnieniu do nitki, zgłuszony i otumaniony zadzieram głowę do góry, i drętwieję ze zgrozy! Teraz dopiero rozumiem potęgę spadu takich mas wody z wysokości 50 m., to co z góry się widzi, jest w porównaniu z tym, spokojną zabawką!...

Przewodnik ciągnie nas niemiłosiernie naprzód, już jesteśmy pod samą ścianą Luna-Island, pomiędzy wielkim a wspomnianym małym spadem. Tu już tracimy zupełnie wzrok, nie pomogą ciągle wycierania oczu, nie pomoże sposób, że rękę trzymam przed twarzą, chcąc się patrzeć przez szczelinę między palcami! Gwałtowny huk sprawia mi ból w uszach, chwilami zdaje mi się, że cała Nia-

gara, cały świat leci na mnie i przygniata mnie swym ciężarem!

Lecz już jesteśmy i pod wodospadem w tej sławnej grocie wiatrów, «cave of the winds».

Jakżeż opisać tę piekielną czeluść?—zdaje mi się, że teraz pojmuję, jakie się ma uczucie przy umieraniu śmiercią bolesną, gwałtowną. Nadzwyczajne ciśnienie powietrza rozrywa piersi, bije w postaci wichru w skronie, rozpylona na drobiny woda, wciska się do ust, do nosa i płuc, sprawia kaszel i uniemożliwia oddech. Szatański ten szum, ryk i huk rozsadza głowę, niepewne stąpanie po śliskich kamieniach rozdrażnia nerwy i sprawia drżączkę w kolanach, a do tego niemożliwość ciągłego patrzenia się czyni tę sytuację jeszcze straszliwszą.

Lecz oto i wodospad za nami, chciwie wciągam świeże powietrze do płuc, przecieram oczy i wznosząc rękę ku niebu, składam uroczystą przysięgę, że więcej w życiu pod wodospady chodzić nie będę.

Wybiegam na Goat-Island, a ułożywszy się na zielonym kobiercu dumam o tym potężnym zjawisku przyrody, i o ciekawych jego dziejach geologicznych. Dookoła mnie rozciąga się wielka wyżyna zbudowana z prastarych warstw paleozoicznych, ułożonych prawie zupełnie poziomo. Wyżyna ta spada ku północy, t. j. ku jezioru Ontario w gwałtownych tarasach, stąd więc pochodzi, że woda jeziora Erie, znajdującego się na górze wyżyny leży o 101 m. wyżej, aniżeli poziom jeziora Ontario.

Przekroczywszy tuż koło Erie mały, pierwszy taras, zbudowany z wapienia, t. zw. «corniferous limestone», znajdziemy się dalej ku północy w dziedzinie pokładów, t. zw. Onondaga Salt Group, za które zaraz przyjdą te, co nas najwięcej interesują, t. j. potężny górno-sylurski wapień t. zw. niagarowy, mający w spagu znaczne warstwy łupku.

Wapień ten tworzy już w sąsiedztwie jeziora Ontario

koło miejscowości St. Davids i Leviston potężny taras, który obniża raptem całą wyżynę.

Otóż Niagara, jako odpływ wielkich jezior, miała niegdyś swój wodospad na tym tarasie koło Leviston, i łatwo zrozumieć, że niszcząca jej siła wygryzła sobie w tym olbrzymim, wapiennym stopniu wyżynowym kanjon, skutkiem czego wodospad się cofnął, tak, że dziś nie spada na brzegu tarasu, lecz daleko od niego w szczelinie wypłukanej przez siebie.

Że wodospad się ciągle cofa, jestto fakt znany powszechnie mieszkańcom okolicznym, jeszcze przed zaprowadzeniem dokładnych pomiarów geodezyjnych. Od czasu jednakowoż tych pomiarów możemy obliczyć, że to cofanie się wodospadu wynosi 33 cm. rocznie. Proces ten cofania się, łatwo zrozumieć, jeżeli się przypatrzymy budowie geologicznej spadu. W spągu leży łupek, na górze potężny wapień. Takie silne bicie wody niszczy z łatwością znikomy łupek, skutkiem czego pokłady wapienia podminowują się, i muszą także kawał po kawale stać się łupem nienasyconej Niagary.

W taki sposób wygryzła sobie Niagara od wspomnianego tarasu aż do miejsca dzisiejszego spadu kanjon 12 km. długości. Mając na uwadze, że rocznie niszczy 33 cm., to łatwo obliczyć, że do tej pracy potrzebowała 36000 lat! Posuwanie to odbywało się jednakowoż, w geologicznie bardzo młodym czasie, bo na wierzchu wyżyny spotykamy na sylurskich warstwach osady rzeczne młode, należące do teraźniejszości, które także stanowiły materiał, niszczony przez wodospad. A więc wniosek z tego, że to, co nazywamy teraźniejszością, trwa przynajmniej 36000 lat!... Za dalsze więc 70000 lat dojdzie wodospad i kanjon aż do jeziora Erie, które naturalnieskutkiem tego przestanie istnieć.

Rozumie się samo przez się, że obliczenia tego rodzaju nie mają najmniejszej pretensji do dokładności, nie możemy bowiem wprowadzić do rachunku wszystkich pobocz-

nych czynników opóźniających lub przyspieszających czynność wodospadu. Cyfry te dają nam tylko pojęcie o tych miliardach lat, na które wiek ziemi liczyć należy ¹⁾).

Leżąc na uroczej Goat-Island, i pogrążony w takie dumania, niespostrzegam, że tymczasem noc zapadła. Noc spokojna, gwiazdzista, bez księżyca... Od strony spadów dochodzi mnie szum, który duszą mą wstrząsa. Jakieś dziwne — panteistyczne uczucie ogarnia mój umysł — zdaje mi się, że wszystkie atomy wodospadu i wszystkie moje nerwy przenika jedna i ta sama istota, która sprawia, że Niagara odczuwa me myśli i wrażenia — ja zaś rozumiem jej szum i huk.



Niagara u spodu.

¹⁾ W ostatnich czasach (1907 r.) obliczają cofanie się części kanadyjskiej wodospadu na 1,6 m., a części amerykańskiej na 0,08 m. Na tej podstawie I. W. W. Spencer oblicza wiek wodospadu na 39000 lat. W. N.

Niemniej wspaniały jest widok Niagary w zimie, gdy szeroka i głęboka przepaść wodna jest napełniona górami lodowymi, które szczytami swemi dotykają prawie ostrych końców olbrzymich sopli lodowych, które spuszcza się z wysokości krawędzi skalnych, podobne do odwróconych wież kościelnych. Lody i śniegi pokrywają całą dolinę, rzeka poniżej wodospadu jest zamrznięta; ale ta pokrywa



Obmarzłe drzewa nad Niagarą

lodowa wciąż trzeszczy, jęczy, grzmi, świadcząc o ukrytym pod nią trudnym do okiełznania burzliwym żywiole. Sam wodospad jest do dwóch trzecich swej wysokości ujęty w skorupę lodową. Drzewa iglaste na wyspie i na wybrzeżach są powleczone lodem i błyszczą w promieniach słońca jak przyzmy szklane.

E. Dumikowski (a w części Hesse Wartegg).

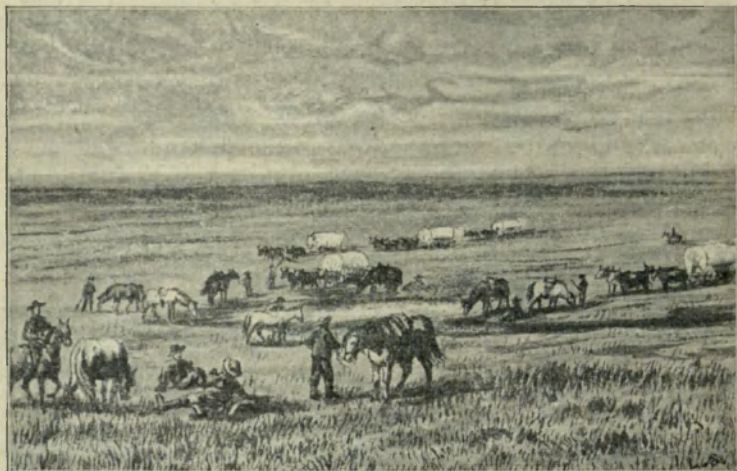
NIZINY AMERYKI PÓŁNOCNEJ.

Do właściwości Ameryki, oprócz jej położenia we wszystkich prawie pasach klimatycznych, bogactwa rzek, bujnej roślinności i wielu innych — należy jeszcze niesłychana wielkość i odrębny charakter jej nizin. Nie są one podobne ani do skwarnych piaszczystych pustyń Afryki, ani do lodowatych tundr Syberji; owszem, przenoszą swą żyznością nawet niziny Europy. Dwie trzecie Ameryki stanowią niziny. Najobszerniejsze znajdują się w Ameryce Północnej. Rozpóścierają się one na zachód do gór Skalistych, na wschód do Alleganów, na północ do oceanu Lodowatego, a na południe do zatoki Meksykańskiej. Od źródeł Missouri przez źródła Mississipi aż do szeregu jezior Kanaadyjskich ciągnie się niewyraźna granica pomiędzy północną i południową pochyłością tej potężnej równiny. Po południowej pochyłości toczy mętne swe wody Mississipi, rojąca się od parowców; przyjmuje ona niezliczone dopływy, z których niejeden większy jest od Renu. Płynąc przez nieprzebyte gęszcze dziewiczych lasów, w rwących swych falach unosi ona niezliczone pnie drzewne, które zalegają potym całe setki mil kwadratowych, zarówno na obszarze jej delty, jak i w zatoce Meksykańskiej. Od prawego brzegu Mississipi grunt podnosi się zwolna aż do podnóża gór Skalistych — skąd wypływają Missouri, Arkanzas i rzeka Czerwona, aby wraz z licznymi swemi dopływami zniknąć w falach ojca rzek Ameryki Północnej.

Od lewego brzegu poziom wznosi się niejednostajnie; przez kolejno następujące po sobie wzgórza i doliny dochodzi wreszcie aż do Alleganów, gdzie znajdują się źródła pięknej rzeki Ohio, która płynie przez najżyźniejsze kraje i przyjmuje w swoje łóżysko sześć spławnych dopływów.

Pomiędzy górami Skalistemi a Mississipi, często nawet przechodząc i na drugą jej stronę, ciągną się nieprzejrzone

równiny, znane pod nazwą Prerji. Jak tylko sięgnie oko—nie oprócz płaskich nieskończonych równin. I tylko w miejscu, gdzie niżej położona płaszczyzna styka się z wyższą, krawędź tej ostatniej wydaje się zdala, jak grzbiet gór. Ale nie należy mniemać, że wygląda ona jak Sahara — jestto wysoko, wzburzone morze trawy — pod błękitnym niebem kołyszają się zielone fale nieprzejrzanego oceanu. Trawa i kwiaty, pojedyncze grupy drzew, pasące się stada i tu i owdzie rozrzucone domy—oto wszystko, co się tu ukazuje oczom podróżnika.



Prerje.

Ogromna cisza panuje na tych nieskończonych, bezechowych, rozłogach — i tylko czasami zamąci ją brzęczenie owadów, szelest skrzydeł motyli lub grozę budzące pełzanie węża.

Suchy pień drzewny, sterczący tu i owdzie z zielonych fal, przypomina maszt okrętowy; jeleń, przebiegający

wśród wysokich traw, wydaje się delfinem, który to ukazuje się na powierzchni, to znika w toniach oceanu. Grupy drzew, widoczne na horyzoncie, wyglądają jak wyspy, w cieniu których już niejeden zabłąkany podróżny ugasił pragnienie źródlaną wodą i zaspokoił różnorodnymi owocami głód, grożący mu śmiercią. Na wyspie tej stoją zgodnie obok siebie drzewa różnego kształtu i wysokości.



Pożar prerji.

Sploty dzikiego wina i innych pnączów oplatają pnie i gałęzie drzew aż do samego wierzchołka i przeskakując z cukrowego klonu na drzewo tulipanowe, z tego zaś na inne — tworzą nieprzeliczone grotty, altany i mosty kwietne. Wśród grup drzewnych wznosi się wspaniała magnolja i króluje nad niemi swojemi wielkimi, białemi kwiatami. W gęstwinie takiej wyspy żyją rozmaite gatunki zwierząt. Na gałęziach wiązu kołysze się ciężki niedźwiedź, zwabiony winnemi gronami i miodem; czarne wiewiórki igrają

w gęstej zieleni drzew orzechowych; ogoniaste drozdy, sfrunawszy ze srebrzystej topoli, giną w wysokiej murawie; zielone papugi z krzykiem wdrapują się na wierzchołek cyprysu, kolibry błyszczą w jaśminach i węże syczą wśród liści platanów. Nocą rozlega się potężny ryk jaguara, który, próbując siły swych szponów, zatapia je w drzewa, wstrząsając niemi aż do samego wierzchołka. Osobliwością wielu z tych wysp stepowych jest długi, srebrnosiwym mech, zwieszający się z gałęzi na 2 lub 3 metry i zmieniający drzewa w jedną zbitą, olbrzymią kopułę. Nie widać ani gałęzi, ani liści, tylko masy srebrnosiwych pasem, które nieprzeliczonemi niemi zwieszają się z drzewa aż do ziemi. Gdy się wejdzie wewnątrz tej kopuły, ma się wrażenie zachwycającej altany. Olbrzymi pień wyrasta w górę na piętnaście metrów, i dopiero na tej wysokości rozgałęzia się w koronę. Zupełnie inny nastrój od takiej olbrzymiej, posępnej mary nocnej wywołuje delikatna, łagodna mimoza, którą dość często spotyka się pojedynczo w głuchej pustyni. Rozkosznie wabi ona wędrowca wznoszącemi się ku niebu gałęziami i świeżemi liśćmi; ale zaledwie zbliży się on ku jej podnóżu, biedna roślina drży z przerażenia, zwija trwożliwie liście i smutnie opuszcza gałęzie ku ziemi.

Najpiękniej wyglądają falujące równiny prerji z nadzieściami wiosny, gdy z trawy wychylą się niezliczone kwiaty, tak wspaniałe i bujne, że podobnemi nie może się poszczycić żaden ogród na świecie. O poranku przeczysta rosa spogląda ku błękitnemu, bezobłocznemu niebu tysiącem błyszczących oczu—wieczorem zaś, nad wyspami chwieje się lekki, jedwabny, błękitnawy opar. Roje świetlików unoszą się w powietrzu, rozjaśniając coraz bardziej gęstniejące mroki. W upalne dni zjawiają się tu niezwykle piękne miraży, które słońce wyczarowywa czasami z nieuchwytniej dali. Ogrody i wzgórza, wieże i kolumnady, jeziora i rzeki jawią się zdumionym oczom równie

niespodzianie, jak niespodzianie znika ułuda tych uroczych obrazów.

Ale te pełne cudów prerje nie zajmują całej przestrzeni północno-amerykańskiej niziny. Zupełnie inaczej przedstawia się jej północna pochyłość, ku morzu Lodowatemu. Zamiast majestatycznej gęstwy drzew liściastych ciągną się ponure lasy iglaste. Zamiast kwiatnych girland pnączów długa i surowa zima rozwiesza wszędzie olbrzymie sople



Polowanie na bawoły w prerjach.

lodowe, pod których ciężarem uginają się najgrubsze gałęzie, ulegając pokornie w walce z północnym wichrem. Bezustanny hałas spadających sople, trzask gałęzi i wycie wichury zmieniają całą naturę w przeraźliwy chaos. Ale wreszcie kończą się nawet i lasy iglaste, ustępując miejsca gołej i wiecznie zmarzniętej pustyni, która staje się tym smutniejszą, im bardziej zbliża się do morza Lodowa-

tego. Tu i owdzie ledwie dostrzegalne karłowate świerki i wierzby pełzają po ziemi, jakgdyby pragnąc się ukryć przed wiatrem za skałami, lub głazami. Nawet piękna trawa prerjowa tutaj wznosi się nad ziemią zaledwie na palec i jest wątła i spłowiata.

Inaczej jeszcze przedstawia się północno-amerykańska nizina na swoich krańcach południowych. Co na północy



Pieski prerjowe (gatunek bobaków).

sprawiają lodowate tchnienia zimy — tutaj jest dziełem słonecznej pożogi. W krótkim czasie trawa zmienia się w obłoki pyłu, wietrzeje zapach kwiatów — i tylko bagniste lasy opierają się skutecznie niszczącemu skwarowi. Ale nawet i one są także krainą śmierci, która dziesiątkuje tu ludzi przy pomocy złośliwej febry. Wzdłuż gór

Skalistych ciągną się wielkie, niezamieszkałe przestrzenie, gdzie niesłychanie trudno o wodę — a ziemia pokryta jest ciemnym żwirem i piaskiem. Zamiast najrozmaitszych gatunków malw, lilji, astrów i azalji, które rosną na żyznych gruntach prerji, tutaj krzewią się bujnie kaktusy, nadające charakter tym obszarom aż do oceanu Wielkiego. Zamiast drzew najróżnorodniejszych kształtów, spotkać tu można w pobliżu potoków tylko topole i wierzby, oraz krzewy dzikich róż i jeżyn. Tutaj również znajdujemy grunty solne, gdzie ziemia miejscami pokryta jest jak świeżo spadłym śniegiem, warstwą soli grubości 5—10 cm.

Na wschód od Mississipi ziemia jest lekko falista — i dawniej pokryta była nieprzerwanym lasem dziewiczym. Obecnie jednak wskutek zwiększenia się ludności został on w wielu okolicach silnie przeredzony. W każdym razie i teraz jeszcze lasy ciągną się tu przez całe setki mil — tworzą dotychczas nieprzebytą, oplataną ljanami gęstwę.

Według *Gudego i Grubego*.

NEW - Y O R K.

Między wielkimi miastami Ameryki, New-York zajmuje pierwsze miejsce. Zbudowany on jest na długiej, ale wąskiej wyspie, która leży w ujściu rzeki Hudson, a nazywa się Manhattan. Na krańcu wyspy nad morzem leży Castle Garden, schronisko obcokrajowców. Stąd przez całą długość wyspy aż do drugiego jej końca idzie główna ulica New-Yorku, Broadway. Szerokość jej wynosi od dwóch do czterech kilometrów, wobec czego ulic równoległych z nią, jest bardzo mało, podczas gdy poprzecznych, przecinających tę ulicę — nieprzeliczone mnóstwo. Całe miasto, nie wyłączając najstarszych jego dzielnic, zabudo-

ne jest prawidłowo; czworoboki domów, wydzielone ulicami, idącymi wzdłuż i wpoprzek wyspy, noszą nazwę «bloków».

Broadway jest jedną z najwspanialszych ulic świata. Większość wysokich, potężnych domów, które ją ozdabiają, zbudowana jest z białego marmuru; lecz domy te przeważnie pokryte są aż do samego dachu jaskrawymi ogłoszeniami i szyldami. Stanowi to dziwny kontrast z ich wspaniałością. Zjawisko to tłumaczy się tym, że Broadway jest główną dzielnicą handlowego świata w New Yorku; wszystko tu nosi na sobie cechy urzędzeń, obliczonych na zysk i zdobywanie pieniędzy.

Ponieważ miasto na swojej wyspie nie mogło się zbyt rozpostrzeć ani wzdłuż, ani wszerz, więc dzięki temu niepomiernie wybujało wwyż, tak, że domy, posiadające kilkanaście pięter, nie są tu wcale rzadkością. Komunikacja wewnątrz tych olbrzymich domów odbywa się przy pomocy wind.

Wielkością swoją i wspaniałością odznacza się szczególnie dziewięciopiętrowy gmach Zarządu telegrafów, który wyniosła wieża czyni jeszcze okazalszym. Drzewce chorągwi, powiewającej ze szczytu wieży, dźwiga wielką czerwoną kulę, która spada w oznaczonej godzinie, aby tym sposobem wskazać znajdującym się w porcie okrętom czas właściwy.

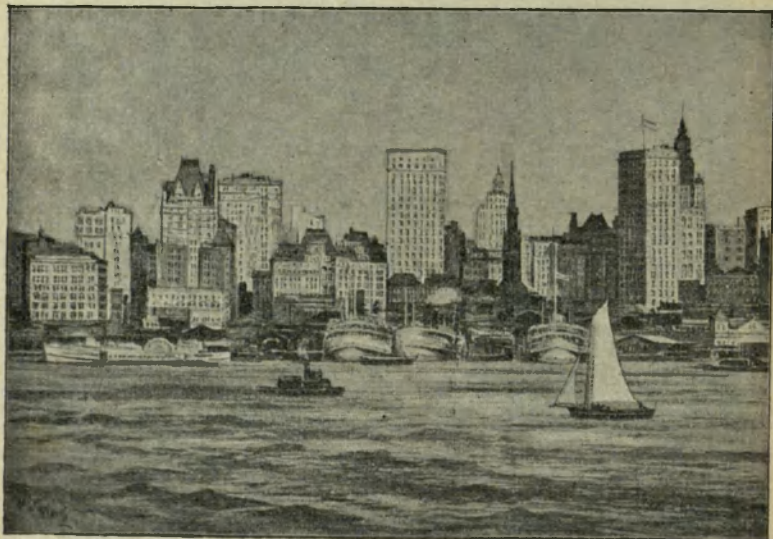
Niezwykły ruch i ożywienie, jak chyba tylko w najbardziej zaludnionych dzielnicach Paryża i Londynu, panują przez dzień cały na Broadway i na innych główniejszych ulicach New Yorku. Między nimi szczególnie zasługuje na wymienienie Bowery, na której ruch jest może jeszcze większy, niż na Broadway. Idzie ona równolegle z ostatnią od północy na południe miasta i odznacza się głównie nieprzeliczoną ilością hotelów oraz najrozmaitszego gatunku domów zabawy. Środki komunikacji w New Yorku są niezwykle urozmaicone. Oprócz tramwajów,



Widok New-Yorku.

kolei konnych i omnibusów spotykamy się tu jeszcze z koleją napowietrzną, zawieszoną na filarach na wysokości pierwszego piętra i wprowadzaną w ruch przez lokomotywy. Na stację tej kolei wchodzi się z ulicy po żelaznych schodach. Na samej Bowary funkcjonują jedna obok drugiej dwie takie koleje i cztery kolejki konne.

Zupełnie inny widok, aniżeli Broadway i Bowery — które, stanowiąc handlową dzielnicę miasta, noszą nazwę



W porcie New-Yorku.

«City» — przedstawia słynna «Piąta avenue», ulica milionerów, odznaczająca się większym spokojem i wspaniałością. Tutaj pałac stoi przy pałacu. Zbudowane są one przeważnie z brunatnego piaskowca, jak zresztą i większa część domów w New Yorku; tu i owdzie rzuca się w oczy fronton marmurowy. Na ulicy tej znajduje się również mnóstwo kościołów, z pośród których na szczegól-

na uwagę zasługuje największy i najpiękniejszy kościół Nowego Świata, katedra katolicka św. Patryka, zbudowana przez rodzinę «króla kolejowego» Vanderbilta.

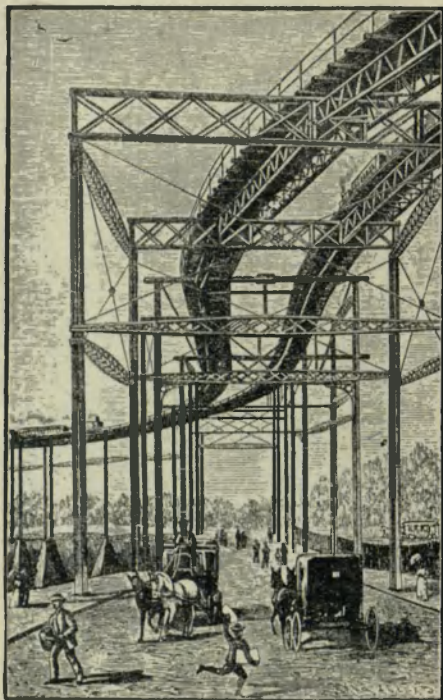
Na «Piątej avenue» mieszka arystokracja New-Yorku, ale arystokracja zupełnie osobliwego pochodzenia. O członkach jej w swojej książce o Ameryce Północnej Hesse-Wartegg mówi w te słowa: jeden z nich zdobył miliony dzięki ulepszonym guzikom do spodni i patentowanym przyrządom do ściągania butów, drugi — dzięki nowemu systemowi lamp naftowych, trzeci jest wynalazcą słynnego eliksiru na katar i przeziębienie, czwarty był właścicielem kopalni w Colorado, piąty hodowcą bydła w Texas. Wszyscy ci milionerzy, bez względu na to, jaką wyznają religję, czczą tylko jednego boga, którym jest złoty cielec.



Broadway w New Yorku.

Å i sam New York bardzo szybko stał się milionowym (pod względem ilości mieszkańców) miastem. W 1632 roku Holender Piter Minnewit kupił od Irokezów całą wyspę Manhattan za 60 holenderskich guldenów i za-

łożył na niej osadę, którą nazwał New Amsterdam; dopiero w 1664 r., gdy kolonja przeszła w posiadanie Anglików, imię to zostało zmienione na New York. Na początku zeszłego stulecia miasto liczyło już 60000 mieszkańców; obecnie posiada ich przeszło cztery miliony.



Droga powietrzna w New Yorku.

Górną część Manhattanu ozdabiają urocze plantacje Central-Parku. Jest to nie tylko najpiękniejszy, ale i największy park New Yorku, pełen wspaniałych drzew, roślin, kaskad i wogóle wszystkiego, na co tylko zdobyć się może natura i sztuka. W pośrodku parku wznoszą się dwa olbrzymie rezerwoary wodociągowe, z których całe miasto otrzymuje wodę do picia. Z mniejszych parków na uwagę zasługują Washington-Square przy końcu Piątej aveny, oraz City-Park i Union-Square, oba przy ulicy Broadway. W Union-Square około 1870 roku zaprowadzono pierwszą hodowlę wróbli, żeby te miłe ptaki przyswoić i Nowemu Światowi, który dotąd nie znał ich zgoła. Wkrótce mała ta kolonijka rozrosła się i rozszerzyła do tego stopnia, że, zdaje się, obecnie Amerykanie dużo daliby za to, aby znów pozbyć się wró-

bli. Ale wróble pozostały, bowiem mają to do siebie, że z miejsca, gdzie się już raz zagnieździły, nie dadzą się niczym wyrugować.

Według *H. Schillmanna*.

* * *

Kolej niesie mnie po elevated railroad, przerywnąjącej New York, z prędkością nieznaną naszym pociągom. Po jednej stronie ulicy wznosi się w pewnej od siebie odległości szereg pojedynczych słupów, niby nasze latarnie; na nich, ze zdumiewającą śmiałością, sztuka inżynierska rzuciła wazkie pomosty—słup u góry wypuszcza ramiona i obejmuje pomost w swoje uściski żelazne. Po drugiej stronie ulicy ciągnie się inny szereg słupów: przebiega tam rząd wagonów w przeciwnym kierunku. Co kilka minut stajemy, kilkadziesiąt osób wysiada, tyleż wsiada, wszystko zaś trwa krócej, niż na stacji tramwajowej w Warszawie. Mknijemy na wysokości pierwszego, względnie drugiego piętra, po poziomo położonej drabinie, niepodobna bowiem znaleźć lepszego porównania. Teraz jesteśmy na pół w polu, ulice dopiero powstają. Drabina biegnie na wysokości czwartego piętra, nadto skręca w postaci litery S. Czy mamy jechać po tej karkołomnej drodze? Jedziemy i do tego niemal z taką samą prędkością.

Jadę wzdłuż Avenue — bądźmy Amerykanami i skróćmy ten długi wyraz na dogodniejszy Ave N. 9. Przede mną nieustający szereg koszar, tej samej struktury, tej samej ceglanej barwy.

Wszystkie późniejsze dzielnice New Yorku odznaczają się takim charakterem koszarowym. Down-town, stare miasto, składa się z ulic, idących różnie. Każda z nich ma swoje osobiste nazwisko i poniekąd w nim zawarła własne dzieje.

Broadway swoim imieniem świadczy, że kiedyś była najszerszą arterją ruchu miejskiego, Bowery uwiadamia

o swoim wygiętym kształcie. Ale górne, nowe miasto milczy o swojej przeszłości, bo jej nie posiada. New-York w tej stronie wyrastał szybko. Człowiek z góry wyznaczył szematy dla przyszłej siedziby, i w braku podkładu dziejowego, któryby ochrzcił tak lub inaczej ulicę, wezwał na pomoc logikę. Z południa na północ wytknął długie i równoległe biegnące linje, avenues, i nadał im nazwy liczbowe: Ave 1...12, lub literowe: Ave A...D. Niektóre z nich posiadają po kilka tysięcy domów. Prostopadle do tych linii przeprowadził mnóstwo krótszych (mapa mówi, że jest ich z górą dwieście) i każdej dał miano cyfrowe. Są to streets 1,10...100... Każdą z nich rozdzielił jeszcze na wschodnią i zachodnią. Adres brzmi węzłowato: 164E. str. 95, t. j. dom pod numerem 164 na wschodniej części ulicy 95-ej. Przy każdym przecięciu się takiej ulicy z Ave numery domów zaczynają się od nowej setki. Słowem, wszystko ostrzyżono według tej samej modły. Chętnie jednak wybaczam tę szablonowość; gotów jestem przystać na wszelką prostotę, oszczędzającą niepotrzebnych wysiłków i tym samym umożliwiającą większy rozkwit różnobarwności wewnętrznej. A szemat ulic należy do tej liczby. Dziesięć minut uważnego badania pozwala mi orjentować się w przestrzeni, gdzie mieszka do miliona głów ludzkich.

Bądź co bądź jednak, szemat ten pozostaje tym, czym jest: żywym, a raczej martwym dowodem szablonowości życia nowoczesnego. W umyśle wypływa stary Hamburg z jego zakopconemi murami, pogiętymi w cudackie, wciąż odmienne, a zawsze oryginalne kształty. Dwie to różne epoki dziejów ludzkości! Tam, na łonie starodawnej Hanzы, wytwórca posiadał własne imię i dbał o to, ażeby dzieło rąk jego, sławiło swego mistrza. Tutaj, wśród tych ulic, które na chrzcie otrzymały nazwy, wzięte z abecadła i podręcznika arytmetycznego, w labiryncie podobnusięńskich do siebie kamienic, czuję, że jestem wobec tworów

beziemiennej rzeszy ludzkiej, że bez indywidualizmu fabryka nałożyła swoje piętno nawet na ulice i domy, okna i drzwi, klamki i firanki.

* * *

Reklama wszędzie! W New-Yorku i w Brooklynie jest kilkaset stacji kolei nógórnej, do każdej z nich prowadzą schody o kilkudziesięciu stopniach. Na pionowej stronie każdego stopnia przybito dużą, emaljowaną deseczkę metaliczną, polecającą jakiś proszek do pieczywa! Sądząc z obfitości stacji i schodów, nie popełnimy błędu, jeżeli liczbę tabliczek ocenimy na sto tysięcy! Gdybym potrzebował kiedyś tego specyfiku, to machinalnie zażądałbym go od owej firmy.

W liczbie reklam, które ciągną się na dachach, na murach, na rusztowaniach wzdłuż kolei zamiejskiej, spostrzegam dzienniki. Wydawanie pisma w Ameryce wyżyło się ze wszystkich ideologicznych osłonek, jakimi lubi się jeszcze stroić w starej Europie. Jestto business, niczym nie różniący się od wyrobu proszku do pieczywa.

Ba, nietylko kazalnice publicystyczne są przytułkiem geszeftu! Z okna miejskiej kolei spostrzegam olbrzymi afisz, w którym jakaś świątynia obwieszcza, że nigdzie niema tak wzniosłego nabożeństwa. Obowiązki kapłańskie stały się za morzem taką samą profesją, jak adwokatura lub pomoc lekarska u nas. A propos. Przechodząc po Ave 5, ujrzałem za ogrodzeniem gwardję dzieciaków w błękitnych mundurkach. Kilku szło na czele i bębniło z całej siły, jeden niósł chorągiew, reszta postępowała w zwartym szeregu z karabinami na ramieniu. Militarizm chłopiący, jawnie obliczony na efekt, zdziwił mnie. Ciekawość wzrosła jeszcze bardziej, kiedym pomiędzy bataljonami spostrzegł kilka starych wieźm — takie było pierwsze wrażenie! — czarno ubranych, z kapturami na

głowie i woalami na twarzy. Gwardja wyszła z ogrodu, przebyła wszerz ulicę i przy odgłosie bębnow, zaczęła obchodzić sąsiednią świątynię, okazałej budowy. Napis na bramie: Catholic orphan house wyprowadził mnie z niewiadomości. Wszystko to było reklamą, obliczoną na zwabienie tłumów, zwłaszcza zaś na zainteresowanie młodego pokolenia! Dzieci tak lgną do mundurków, karabinów, bębnow, marszów! Wszak za pomocą parad i muzyki trzymano kiedyś w posłuszeństwie trzodę paragwajską...

Tu i owdzie usadowiły się różne misje, nawracające grzeszników. Wchodzę do jednej. Olbrzymia bezpłatna czytelnia. Pulpity do pisania. Na ścianach obrazy syna marnotrawnego. O kilka domów dalej armja zbawienia nęci rozbitków do skosztowania jej narkotyków: wódkę zastąpiła marszami, upojenie alkoholiczne — ekstazą duszy zbiorowej. Jeden środek wart drugiego: tamten usypia ducha w trunku—ten w myśli o zbawieniu. Nie wytwarzają one ludzi walczących o swoje krzywdy, lecz usiłują je wybić im z pamięci.

L. Krzywicki.

Z NEW-YORKU PRZEZ DETROIT I CINCINATI DO NOWEGO ORLEANU.

O którejś z popołudniowych godzin wsiadłem do jednego z niezliczonych statków parowych pod New-Yorkiem, aby udać się rzeką Hudson do Albany. Hudson jest jedną z najpiękniejszych rzek. Spokojna, jak lustro gładka, majestatycznie szeroka płaszczyzna wód ujęta w niesłychanie strome, skalne brzegi, oraz wspaniała zieleń nabrzeżna, wśród której tulą się małe osady i miasteczka, przepełniają serce podziwem i zachwytem. O poranku zabłyły nam w oddali kopuły i wieże Albany.

Miasto rozpościera się wspaniale nad Hudsonem i ogromnym wodozbiorem kanału Erie. Kanałem tym spławiane są wszystkie owoce pól, gór i lasów, które tu zwożą z niewysłowienie bogatych ziem zachodnich. Hudson otwiera im szybką drogę do morza, które wzamian przysyła tu jeszcze cenniejsze towary z warsztatów po obu stronach oceanu.

Przez Albany przechodzi także droga żelazna, łącząca jezioro Erie ze stanami Nowej Anglii. W czólnie kanałowym, długim, wazkim przez konie ciagnionym statku, odbywałem dalej moją podróż. Bezustanku mijały nas łodzie, całe naładowane zbożem, mąką, wódką, olejem, mięsem, sadłem, skórami, solą, narzędziami różnego rodzaju i t. p. Wszędzie wzdłuż kanału wznoszą się domy fabryczne, składy towarów i całe osady. W lasach rąbią siekiery karczowników, oczyszczając grunta, bowiem łatwość zbytu podwaja w tych okolicach wartość produktów. Tu leżą miasta: Rochester, Troja, Syrakuzy, Rzym, Ljon i inne, które w krótkim czasie wyrosły, jak grzyby po deszczu. Mnie osobiście pociąga szczególnie niezwykła rozmaitość kwiatów i krzewów, rosnących w wielkiej ilości na polach i zagajonych wzgórzach. Nawet we Włoszech i w górnej Bawarji nie widziałem jaśniejszego nieba i barwniejszych krajobrazów. Na brzegu kanału, na torze kolejowym, sapie parowóz, po szosie zaś jadą w swych wózkach wieśniacy i mieszczanie. W ten sposób dotarliśmy wreszcie do drugiego krańcowego punktu kanału, do Buffalo, miasta o kipiącej działalności handlowej, wokoło którego, wśród otaczającej go zieleni, coraz szerszym kołem budują się białe, ładne domy. Jeszcze dwie godziny podróży — i oto zabłysły przede mną nieprzejrzane tonie jeziora Erie.

Okręt parowy poniósł nas przez rozkołysane fale tego jeziora, którego brzeg południowy połączony jest z rzeką Ohio za pomocą drogi żelaznej i systemu kanałów. Po

kilkudniowej podróży, stanęliśmy w Detroit na zachodnim krańcu jeziora Erie.

Detroit, które jeszcze przed stu laty było małą osadą, obecnie jest kwitnącym miastem o szerokich, wysadzanych drzewami ulicach i wysokich domach. Jest ono przedprożem wielkiego Zachodu, gdzie życie i kultura rozkwitają jeszcze prędzej, aniżeli w starszych stanach Ameryki Północnej.

Dwunastogodzinna podróż koleją przez uśmiechający się wesoło stan Ohio, przez malownicze doliny Ohio i Miami — i oto znalazłem się w Cincinnati, głównym mieście niemieckim w Ameryce, położonym na kwitnących brzegach rzeki Ohio, i zwanym przez Amerykanów królową Zachodu. Dumnie i wspaniale spogląda ono ze swoich tarasów i wzgórz na szerokie fale rzeczne i na podobne do ogrodu Kentucky, które leży na drugim brzegu rzeki. Chociaż wśród mieszkańców Cincinnati, Niemcy nie przeważają liczebnie, ale zdążył tu już zapanować zaborczy duch niemiecki. Język angielski, który wszędzie święci tryumfy, tutaj musiał ustąpić miejsca niemieckiemu.

Cincinnati jest główną stacją na progu do niezmiernych przestrzeni dorzecza Mississipi. Chociaż odległość jej od Atlantyku wynosi około 350 mil, zawijające tu jednak okręty parowe zarówno ze starego świata jak i ze wschodniej Ameryki przywożą towary i ludzi dla Nowego Orleanu i wogóle dla całego dorzecza Mississipi. Mniejsze okręty płyną po Ohio jeszcze dalej wgórze, aż do Pittsburga, skąd znów do Filadelfji i Baltimore idą szybkie pociągi kolei żelaznej. Cincinnati jest środkowym punktem olbrzymiego okręgu nowej kultury, którego promienie na wschód sięgają Atlantyku, na zachód idą przez ogromne stepy i prerje, na północ skroś kwitnące kraje dochodzą do wielkich jezior, a na południe — do Meksyku. Cincinnati posiada mnóstwo fabryk

i zakładów przemysłowych; szczególnie kwitnie tu stolarstwo, którym zajmują się przeważnie Niemcy.

Co jesień przypędzają tu zblizka i zdaleka od dwunastu do piętnastu tysięcy nierogacizny i od trzech do czterech tysięcy wołów, które tu biją, marynują, wędzą i rozsyłają po całym świecie. Również z okolicznych winnic zwożą tu winogrona, oraz wielką ilość poziomek, które w lodzie rozsyłane są do New-Yorku, Nowego Orleanu, i innych miast.

Z Cincinnati udałem się dalej na zachód i przebywszy wiele setek mil angielskich, dotarłem do Saint-Louis, położonego poniżej ujścia Missuri do Mississipi. W osiem dni później przybyłem do miasteczka Vincennes i postanowiłem zwiedzić prerje. W roku jednak, kiedy odbywałem moją podróż, z powodu panującego zimna miały one wygląd bardzo smutny. Wysoka, żółta, falująca trawa nadawała obrazowi cechy ponurości. — A niezmierzone, żółte jak słoma morze stepów, tylko gdzieś w dali przecięte linią lasów, nie mogło wywołać w sercu miłego wrażenia. Noce przepędzałem u fermerów albo w małych osadach—a czasami nawet pod gołym niebem. Najcięższa była droga przez bagna, lub gdy ją zagrodziły wezbrane rzeki. Dopiero po ośmiu dniach udało mi się dotrzeć z powrotem do Saint-Louis.

Z Saint-Louis udałem się w kierunku południowym, i po upływie prawie tygodnia, przez lasy i pustynie, mimo ferm i miasteczek, dotarłem do granic Arkanzasu, gdzie stada dzikich indyków napełniają lasy. Gdym się zbliżał do brzegu Arkanzasu, spotkałem koczujące plemię Indjan, które rozłożyło się obozem tuż nad brzegiem rzeki. Nad wielkim, jaskrawym ogniskiem wisiały kotły, w których warzyło się mięso jelenie, niedźwiedzie, wiewiórki, szopy, oposumy i inne łupy szczęśliwych łowów. Po długiej podróży na południo-zachód od Arkanzasu dotarłem nareszcie do Red-River i do granic Texasu. Tutaj miałem sposobność

przyjrzeć się pracy na plantacjach. Przepędziłem w nich wiele nocy. Wokoło domku dozorczy stoją tam niskie chaty robotników.

Przez góry i doliny, przez prerję i wezbrane strumienie leśne powróciłem znowu do Red-River. Z bystremi falami tej rzeki, na której brzegach wygrzewało się mnóstwo aligatorów, przebyłem w 5 dni około 50 mil powrotnej drogi. Tak dostałem się do Mississipi, obrzydliwie zamulonego «ojca wód». Cały kraj tutejszy ma już wyraźny charakter południowy — i srebrzysto siwy mech, zwieszający się długimi strzępami z pni drzewnych, nadaje kraj-obrazowi cechę osobliwą.

Z małej łódki przesiadłem do okrętu parowego i późnym wieczorem przybyłem do Nowego Orleanu. Miasto to formalnie leży na bagnie i tylko przy pomocy grobli broni się przed zalaniem przez Mississipi. Mnie się wydało, że kraj ten stworzony jest nie dla ludzi, ale dla aligatorów, moskitów i żab. Nie bez racji nazywają go cmentarzem Stanów Zjednoczonych. Zato dalej w górę brzegi Mississipi są istotnie powabne. Plantacja kwitnie obok plantacji, i piękne domki wiejskie okolone drzewami pomarańczowemi, granatowemi i chinowemi, tworzą czarujący obraz. Z Nowego Orleanu wróciłem parowym okrętem do Cincinnati, przebywszy około 400 mil niemieckich.

Z. Berthelta.

MISSISSIPPI.

Gdy jest mowa o Mississipi, ma się na myśli zwykle dolny bieg tej rzeki od połączenia z Missouri do ujścia i dlatego to potężna ta rzeka posiada wogóle złą sławę: jest wprawdzie uważaną za najwspanialszą, ale zarazem za najszkaradniejszą i najnudniejszą z rzek świata. Bądź-

my dla niej sprawiedliwsi: przypatrzmy jej się w jej całej rozciągłości od granic Kanady do zatoki Meksykańskiej— na przestrzeni 3160 mil angielskich. Olbrzymia to zai-
ste droga poprzez serce amerykańskiego lądu. Komunikacyj-
ne linje Ameryki tworzą olbrzymi krzyż, którego ra-
miona, przeszło 6000 mil długie, sięgają od jednego oceanu do drugiego. Równoleżnikowe ramiona tego krzyża utworzone zostały przez ludzi, trzon zaś południkowy stworzyła sama natura. Ramiona to kolej oceanu Spokojnego, rozciągnięta od oceanu do oceanu, trzon to Mississipi od jezior Kanadyjskich do zatoki Meksykańskiej.

Wprawdzie dopiero od kilkudziesięcioleci ta olbrzymia rzeka znalazła się pośrodku kraju ucywilizowanego i brzegi jej od północnego stanu, Minnesoty, do południowego, Luizjany, pokryły się faktorjami i miastami. Dawniej Mississipi była Styksem Nowego Świata: na tamtym jej brzegu leżał inny świat, piekło w postaci pustyń, w których przemieszkiwały najbardziej wojownicze, najokrutniejsze plemiona czerwono-skórych. Ale to już należy do przeszłości i obecnie z tego dawnego, 'dzikiego życia nie pozostało śladu prócz indyjskiej nazwy, którą nosi rzeka (Mississipi = ojciec rzek ¹⁾).

W Minnesocie, najpółnocniejszym stanie rolniczym Ameryki, bierze Mississipi swój początek. Mała kałuża wodna, zasilana przez okoliczne wzgórza, wysyła nadmiar swych wód zapomocą drobnego strumyka, który po dnie kamienistym płynie do jeziora Itaska. Jezioro to otwiera szereg większych i mniejszych jezior, przez które przepływa ten strumyk, rosnąc szybko w siły i już tutaj zdradzając przyszlą swą wielkość, która tak imponująco występuje w biegu dolnym. Woda jego posiada tutaj tak wspa-

¹⁾ Jestto raczej poetyczne, niż prawdziwe tłumaczenie: właściwie missi znaczy wielki, sipi—rzeka. W. N.

niałą kryształową zieloność, jak woda Niagary; niema tu jeszcze ani śladu tych prozaicznych żółtawych mętów, tak charakterystycznych dla dolnego biegu rzeki.

Wielkie znaczenie handlowe Mississipi otrzymuje poniżej swych wodospadów, leżących w pobliżu głównego miasta Minnesoty, St. Paul; albowiem tylko do tego punktu dochodzić mogą wielkie parowce tej rzeki; powyżej wodospadów rzeka jest wprawdzie jeszcze żeglowna, ale tylko dla parowców małych. Okolice, przez które rzeka tutaj przepływa, należą do najbardziej rolniczych stanów Ameryki; to też stany te: Wisconsin, Minnesota, Jowa stały się w nowszych czasach głównym celem wychodźców niemieckich, czeskich i węgierskich. Są to kraje żyzne, faliste, obfite w wodę, o charakterze prerjowym, rozciągające się na zachód jezior Kanadyjskich ku rzece Missouri. Niezliczone tutejsze rzeki i jeziora słyną z obfitości ryb. Sam tylko stan Minnesota posiada około 5000 większych i mniejszych jezior z czystą, kryształową wodą i twardemi, przeważnie lesistemi wybrzeżami.

Niedaleko od St. Paul, ale po drugiej, zachodniej stronie Mississipi, leży Minneapolis, stanowiące z St. Paul siostrzaną parę.

Jak Chicago przez swoje rzeźnie, Cincinnati — przez swoje piwo, Pittsburg — przez swój węgiel, tak Minneapolis z bogaciło się przez swe młyny do mielenia zboża. Pod tym miastem mianowicie młodzieńcza Mississipi tworzy dość znaczny wodospad St. Anthony Falls. Ta minjatura Niagary została w nowszych czasach zużytkowana w celach przemysłowych i gdy dawniej wody Mississipi spadały tu z szumem i pianą po stromych skałach, obecnie ujarzmione toczą się wolno po olbrzymich kołach, stanowiących motory licznych młynów i tartaków.

Tutaj poniżej St. Anthony-Falls wsiedliśmy na jeden z olbrzymich parowców, aby przedewszystkim popłynąć do głównego portu rzeczno całego dorzecza Mississipi,

mianowicie do St. Louis. Stąd dopiero zaczyna się życie rzeczne rozwijać z właściwą tej wielkiej rzece wspaniałością.

Przyjrzyjmy się przedewszystkim jednemu z tych pływających pałaców, które obecnie w miejsce dawnych pływających drewnianych bud, odbywają drogę z St. Paul do Nowego Orleanu, a z których niedawno zbudowany «Great Republic» jest największym parowcem w świecie.



Dolna Missisipi.

My znaleźliśmy się na prawie równym mu parowcu «Robert Lee». Wyobraźmy sobie gmach drewniany trzy-piętrowy, pięknie zbudowany, na 317 stóp długi i około 90 stóp szeroki, umieszczony na tratwie, która na końcu i na początku tylko na niewiele stóp wystercza ponad wodę, a będziemy mieli obraz «Roberta Lee». Dolne piętro tego olbrzyma jest przeznaczone na skład towarów i można tu zmieścić nie mniej, niż 6000 ball bawełny.

Drugie piętro jestto sala przyjęć tego publicznego pałacu, do 214 stóp długa i przeszło 18 stóp szeroka, urządzona ze wszelką elegancją, z aksamitnymi meblami, miękkimi dywanami, biblioteką, fortepianem i t. d. Po obu stronach znajdują się kajuty sypialne dla pasażerów i osobne pokoje sypialne, urządzone z przepychem. Trzecie piętro parowca zawiera mieszkania kapitana i załogi parowca; na tym najwyższym piętrze stoi też mały szklany domek sternika. Dwa smukłe kominy, oraz liczne latarnie i maszty sterczą ponad całym tym pływającym kolosem.

Mętna woda dolnej Mississipi i jej największych dopływów wymaga używania maszyn parowych o wysokim ciśnieniu, albowiem przy maszynach niskiego ciśnienia obfity osad ziemisty sprowadzałby pęknięcie kotłów parowych; w górnych zaś częściach Mississipi, gdzie woda jest czysta, niebezpieczeństwo to nie istnieje.

Gdy tylko opuściliśmy St. Paul, łożysko rzeki rozszerzyło się do trzech mil, tworząc tu około 25 mil długie jezioro Lake Pepin, którego strome skaliste brzegi wyglądają bardzo malowniczo. Poniżej tego jeziora, pod miastem La Crosse wzgórze znikają i rzeka wpływa na rozległe prerje stanów Jowa i Illinois, między którymi stanowi granicę.

Równocześnie żegluga na rzece znacznie się ożywia. Statki towarowe, tratwy, małe i wielkie parowce, statki żaglowe i barki rybackie pokrywają tu powierzchnię rzeki; prócz tego prawdziwą dla nas nowość stanowią tak zwane «rafts»; są to wielkie, z olbrzymich pni drzewnych zbite tratwy, na których znajdują się chaty i śpichlerze, zawierające płody rolnicze Jowy i Wisconsinu, spławiane do wielkich portów rzecznych.

Przepływamy pod wielkimi miastami Dubuque, Rock-Island, Quincy i dostajemy się w okolice coraz bardziej jednostajne, nie przedstawiające nic ciekawego. Podróż po

Mississippi do Nowego Orleanu jest jedną z najnudniejszych podróży, jaką sobie można wyobrazić.

Przybywamy nakoniec w okolicę ujścia Missouri; o kilka mil powyżej miasta St. Louis roztacza się widok na obie rzeki, z których jedna, Mississippi, zielona i przezroczysta, płynie z północy, podczas gdy druga, potężniejsza, mętna, łączy się z nią od strony prawej niemal pod kątem prostym. — Nie jestto skromne ujście dopływu do rzeki głównej; jestto miazdzący atak flankowy. Jeszcze o trzy, lub cztery mile dalej Mississippi walczy o utrzymanie swej przezroczystej zieleni, wkrótce jednak musi ulec brudnym wodom swego dopływu i utrzymuje jedynie swą nazwę; głównym przeznaczeniem wielkiej rzeki staje się przetransportowanie mułu gór Skalistych do zatoki Meksykańskiej. Najczynniejsza praca w tym kierunku odbywa się podczas wezbrania wiosennego; przy końcu kwietnia zaczyna się topnienie śniegów w górach Montany i Wyomingu i wtedy żółte, lub brunatne masy ziemiste dostają się do rzek, by wraz z niemi powędrować na południe. Woda Mississippi da się wówczas porównać do płynnej gliny lub do kawy, do której dodano nieco mleka, lub do ciasta, z którego się wypiekają pierniki; o wodzie tej powiadają, iż jest zagęsta, by w niej pływać, a zarządka, by po niej chodzić.

Ale przed nami leży St. Louis, stolica Zachodu i uwaga nasza od rzeki zwraca się ku miastu.

Żegluga i handel St. Louis cierpią znacznie od corocznych zamarzań Mississippi; wówczas zdaje się jakby źródło wyschło, jakby miasto półmilionowe nie posiadało już swej rzeki. Miasto portowe staje się lądowym, które z pozostałym światem komunikuje się jedynie kolejami żelaznymi. Wtedy u stóp miasta rzeka leży niby olbrzymia, zamarzła kałuża: rozległa równina jest w jednych miejscach czarna, w innych szara lub brudnożółta, nieprzezroczysta i sucha jak zmarzły grunt. Wielkie parowce stoją wtedy

bezczynnienie w dokach, a kapitanowie i sternicy odbywają sen zimowy. To trwa zwykle do początków lutego; wtedy przychodzą wreszcie upragnione depesze z okolic, donoszące o puszczaniu lodów. Skorupa lodowa pęka, brudno-żółte wody toczą się znów powolnie ku południowi. Wreszcie powyżej mostu ukazuje się na rzece ściana lodowa, która się wciąż przybliża. Z tej masy wydobywają się grzmoty podobne do strzałów działowych. Do tego łączy się trzask uderzających o siebie pól lodowych, które trą się o siebie niby kamienie młyńskie. Wreszcie ta olbrzymia spiętrzona masa lodów dosięga mostu, spiera się na olbrzymich słupach kamiennych i toruje sobie powolnie drogę pod łukami. Im bardziej posuwają się na południe, tymbardziej lody te stają się kruche, wielkie bloki lodowe zmniejszają się coraz bardziej i tam gdzie rzeka wita pierwsze magnolje i pomarańcze, te kamienne zwiastuny północy rozplywają się i znikają.

Mississippi jest wolna, żegluga na tej głównej arterji kontynentu znów się rozpoczyna.

Między St. Louis i Nowym Orleanem niema znaczniejszych miast, parowiec w czasie swej jednostajnej nużącej podróży rzadko zatrzymuje się u brzegu dla nabrania drzewa, lub przeładowania towarów. Gdy statek zbliżył się dostatecznie do brzegu, natychmiast rzuca się tłum obszarpanych Murzynów dla podjęcia prac ładunkowych. W nocy przy świetle pochodni obraz ten przedstawia się malowniczo. W ciemnościach pośród drzew widzi się jakąś zapadłą osadę, lub pojedynczy samotny dom; towary w pakach lub w beczkach stoją pod gołym niebem; budynków portowych, składów, platform i t. p. niema zazwyczaj ani śladu. Zresztą w ostatnich czasach poczyniono w tym kierunku pewne ulepszenia.

Pośród towarów widzimy tu maszyny, kawały lodu, które w lecie są Stanom Południowym niemniej potrzebne, niż środki pożywienia, lokomobile, całe tonny whisky i t. d.

W miarę jak płyniemy coraz dalej na południe, spotykamy coraz częściej Murzynów. Służba okrętowa na naszym statku składa się również z Murzynów; tutaj na południu wolność nie sprowadziła jeszcze u nich takiego uświadomienia jak w Stanach Północnych: tu są oni przeważnie służącymi, tam zaś usiłują być «gentlemanami».

Płyniemy po szerokiej żółtej rzece, pędzeni ku południowi w części siłą maszyn, w części toczącymi się masami wód. Podróż jest równie jednostajną, prozaiczną jak rzeka i jej wybrzeża. Jedynie zmiany w oświetleniu w ciągu dnia budzą pewien estetyczny interes. Szeroka rzeka jest spokojna bez fal, bez widocznego ruchu. Oddalone wybrzeża przedstawiają się w ciągu całej podróży jako niskie żółte pasy uwieńczone również nisko wyglądającymi lasami. Rzadko pojawi się wyspa porośnięta lasem lub trzcina, najczęściej jestto oderwany kawał łądu z drzewami, płynący z wodą; to znów ukaże się na środku rzeki niska łąwa piaszczysta, która, być może, nazajutrz zniknie, by w innym miejscu znów się osadzić. Daleki widok w dół i w górę rzeki jest zamknięty przez niezliczone serpenty, tak iż ze wszystkich stron widać brzegi i rzeka wygląda raczej jak jezioro. Najsmutniejszym jest widok rzeki pod Cairo, gdzie doń uchodzi potężna Ohio. Wybrzeża tutaj są tak niskie, płaskie i błotniste, iż często bywają zalewane aż po dachy domów. Jestto siedlisko zabójczych feber i innych chorób. Tu i owdzie ukazuje się wprawdzie nieco drzew, ale między nimi przebłyskuje zwierciadło wodne. Ale jakże wspaniałym był zachód słońca, któryśmy tutaj obserwowali. Naprzód—wspaniałe barwy nieba przez wszystkie czerwone i złote odcienia, które odbijały się wiernie w zwierciadle wód i zapalały grzbiety fal. Gdy słońce zapadło za horyzont, wtedy zarosła nadbrzeżna stały się dwiema czarnymi poziomymi linjami, które niby niskie płyty ogradzały z obu stron szeroką drogę wodną, a ta w świetle ostatnich blasków

zorzy wieczornej wyglądała jak płynne złoto; blask tego złota ukazywał się też tu i owdzie wśród lasów wybrzeża, których grunt był pokryty stojącymi wodami wylewów. W miarę posuwania się naszego okrętu te punkty świecące na ciemnym tle lasów znikały za drzewami, to znów ukazywały się w innych miejscach, niby błędne ogniki. Towarzyszyły nam one w dali w ciągu drogi, blednąc coraz bardziej, aż wreszcie zniknęły zupełnie. Wówczas powierzchnia rzeki stała się bezbarwną, szarą i tylko w falach, wywołanych biegiem statku, ukazuje się jeszcze blade światło złociste. Tak płyniemy wolno przez pustynię wodną i gdy spojrzymy w jej fale, nie możemy ich już odróżnić od całej otaczającej nas ciemności.

Ale teraz ukazuje się księżyc i oblewa znów cały krajobraz swym światłem srebrzystym. Znów ukazują się jasne punkty, ogniki błędne, znów srebrzą się fale poza okrętem i słabnąc znikają w dali; ale gdy wprzód było to złociste światło zorzy, teraz występuje białe magiczne światło księżyca.

Mississippi unosi na swych mętnych falach mnóstwo rozmaitych przedmiotów: gałęzie i pnie drzew, trupy zwierzęce, płynące wyspy, rośliny i owoce wszelkich klimatów. Mniejsze pnie drzewne zwykle już powyżej St. Louis bywają wyławiane przez Murzynów, którzy tym drzewem prowadzą znaczny handel. Ale najczęstszym i najniebezpieczniejszym transportem są płynące na rzece olbrzymie pnie drzew, pochodzące z pierwoborów jej górnego biegu; sprowadziły one już zgubę wielu tysięcy statków i stanowią największą groźbę dla żeglarzy rzecznych. Noszą one miano «snags» i skryte pod wodą manifestują się tylko zaledwie dostrzegalnymi wirami.

W swym dolnym biegu szeroka rzeka wije się jak wąż przez gęsty las. Bieg jej jest wogóle zwrócony ku południowi, ale wydaje się jakgdyby rzeka bała się płynąć tam wprost. Płynie ona to na wschód, to na zachód i we

wszystkich innych kierunkach kompasu, a nie na południe. Zużywa ona 20 lub 30 mil, aby posunąć się zaledwie o jedną milę na południe. Podczas żeglugi słońce w ciągu jednej godziny piecze nas to w twarz, to w plecy, to w prawy bok, to w lewy. Trapi nas ono jak natrętna mucha to znikając, to ukazując się znowu; tylko, że w tym razie nie mucha około nas, lecz my około muchy się kręcimy.

Nigdy nie widać z całej rzeki więcej niż pięć mil wzdłuż i dwie mile wszerz i to niewielkie zwierciadło wodne jest dokoła otoczone gęstym pierwoborem. Widzimy, że woda płynie i dziwimy się — dokąd? Zawsze widok we wszystkich kierunkach jest zamknięty. Ten zamknięty pierścień lasu wędruje z nami w ciągu całej podróży, niby jakieś kolo zaczarowane. Płyniemy dwanaście dni z szybkością pary, a jednak w ostatnim dniu znajdujemy się w środku napozór tego samego otoczonego lasem jeziora, wśród którego znajdowaliśmy się w pierwszym dniu. Wieniec lasów podczas całej podróży idzie za nami, niby nasz własny cień. O jakiegokolwiek zmianie krajobrazu na Mississipi nie może być mowy, to też żegluga po niej jest nietylko nudą ale i udręką. Liczne wężownicice rzeki wywołują ciągle zmiany koryta: dziś tu jest półwysep, tam zatoka; w dwa tygodnie potym ląd i woda zmieniły swe położenie: w miejscu zatoki występuje półwysep, w miejscu półwyspu zatoka; farmerzy i plantatorowie bawełny patrzą z przerażeniem, jak z roku na rok pola ich znikają w żółtych wodach rzeki; zresztą zato ich sąsiadom z przeciwnego brzegu przybywa znów pól. Gdy w górnym biegu rzeki spadną deszcze, lub śniegi stopnieją w górach, to setki mil kwadratowych kraju staje pod wodą, a szkody zrządzone dochodzą setek tysięcy i milionów.

Przez rozległy system wysokich grobli nadbrzeżnych,

zwanych *levees*, wody rzeki zostały do pewnego stopnia powstrzymane od występowania z brzegów i zalewania okolic, leżących za groblami, a równocześnie ochronione tym sposobem błota zostały osuszone i zużytkowane do uprawy. Jak w rzece Po, tak i tutaj poziom wody w czasie wezbrań stoi o wiele stóp wyżej, niż poziom kraju po obu stronach; parowce znajdują się wówczas na jednym poziomie z dachami domów, stojących za groblami — krajobraz holenderski. Jednakże zbyt często woda rozrywa te potężne tamy, jakby były papierowe, i zalewa kraj poza niemi na setki mil; plantacje ulegają zniszczeniu, domy i całe osady unosi woda wraz z drzewami leśnymi, wyrwanymi z korzeniem. Jednakże dzieje się tutaj to wszystko nie tak jak w rzekach Europy przez nagłe, z gór pędzące, wezbranie. Mississipi jest na to za wielka, za potężna; jest ona niby tytan, któremu naciśnięcie palca wystarczy do zgniecenia najpotężniejszej tamy; nie potrzebuje ona na to żadnego wysiłku, żadnego ataku. Spokojnie, majestatycznie wzbiera powoli jej woda i również spokojnie ustępuje potężna tama. Wtedy już wszelki ratunek jest dla mieszkańców tamy niemożliwy. Wielkie zniszczenia, jakie przytym czyni Mississipi — wyżłobienia głębokich kanałów w gliniastym gruncie, obrywanie coroczne od brzegów setek akrów kraju wyjaśnia nam olbrzymią pracę budowniczą rzeki przy jej ujściu — tworzenie się olbrzymiej delty, coraz dalej wkraczającej w morze; całe południe Ameryki Północnej — stany: Luizjana, Mississipi i Arkansas są niczym więcej jak napływami Mississipi, krajem utworzonym z ziemi przyniesionej z górnego biegu rzeki i z Gór Skalistych i osadzonej w zatoce Meksykańskiej, która tym sposobem z biegiem czasu coraz bardziej się zmniejsza. Na dolnym biegu Mississipi — w Luizjanie — widzimy już po obu stronach wszystko zajęte plantacjami cukru: młoda trzcina ciągnie się długimi grzędami daleko w głąb kraju, aż wreszcie na horyzoncie kończy się

ścianą lasu. Ryż zajmuje też znaczne przestrzenie w Luizjanie i daje obfite zbiory.

Jesteśmy już w pobliżu Nowego Orleanu, tej stolicy cukru, bawełny, tytoniu i ryżu, i jak pod St.-Louis tak i tutaj ruchliwe życie rzeczne z niezliczonymi parowcami, statkami z drzewem i węglem, z bawełną, bananami i t. d. oznajmia nam, iż zbliżamy się do ogniska handlu światowego. Na przedmieściach, tonących w zieleni cyprysów i magnolji, spostrzegamy znane z amerykańskich powieści drewniane mieszkania plantatorów z kolumnadami i werendami pomalowanymi na zielono i biało. Wkrótce ustępują one miejsca olbrzymim magazynom, dkom i różnym budowlom portowym; tylko widok wzdłuż szerokich ulic, odbiegających prostopadle od rzeki, odśłania nam dalej właściwe miasto. Wkrótce parowiec przybija do brzegu dla wysadzenia pasażerów. Ale w ten sposób nie ukończyliśmy jeszcze całej żeglugi po rzece, jakkolwiek bowiem mówi się zwykle, iż Nowy Orlean leży przy ujściu Mississipi, to jednak w rzeczywistości miasto jest oddalone od niego jeszcze o jakie sto mil angielskich; leży ono na lewym brzegu wśród bagien ograniczonych z północy wielkim jeziorem Pontchartrain. Poniżej miasta, gdzie zaczyna się właściwa delta, rzeka staje się najbardziej interesującą, choć zarazem i najniebezpieczniejszą. Opuszczamy więc szybko wielkie miasto i udajemy się dalej w dół rzeki w pustkowia marschów i bagnisk, towarzyszących ujściom «ojca rzek». Rzeka, rzecz dziwna, znacznie się zwęża, głębokość jej również się zmniejsza i o sto mil poniżej miasta Mississipi się kończy. Niby starzec, ulega ona zwolna degeneracji i umiera wreszcie na uwiad starczy, gubiąc się w bagnach swej delty. Tylko w trzech większych kanałach gromadzi się jeszcze część jej wód, ale ich głębokość jest zależna od kierunku wiatrów i wielkie morskie okręty, płynące do Nowego Orleanu, muszą nieraz po całych tygodniach zatrzymywać się przed ru-

chomemi ławicami szlamu, to gromadzącymi się, to znikającymi.

Nowy Orlean, który swoje istnienie i swój rozkwit zawdzięcza rzece Mississipi i jeszcze obecnie zależy od jej kaprysów, uważa swą rzekę w podobny sposób jak Egipcjanie swój Nil. Jest ona jego błogosławieństwem, a zarazem jego klątwą; ale podczas gdy Egipcjanin oddany był bardziej ubóstwianiu swej świętej rzeki, niż walką z jej wadami, mieszkańiec Nowego Orleanu stara się przy pomocy różnych sztucznych budowli opanować rzekę i uczynić ją użyteczną. Rzeka i różne, tyjące się jej nowiny, mają w dziennikach nowoorleańskich swą osobną rubrykę, czytaną z wielkim zainteresowaniem, albowiem od stanu całego chaosu kanałów i lagun delty zależy cały handel miasta. W rubryce tej spotykamy np. wiadomości to o stanie ujściowych kanałów, to o groblach, to o ukazaniu się nowej ławicy, co wszystko jest bardzo ważne dla pomysłowości żeglugi.

Hesse Waitegg.

P R Z E Z P R E R J E.

Wyjechawszy z St.-Louis, posuwamy się ku zachodowi wzdłuż rzeki Kansas; widok z początku jest jeszcze bardzo ograniczony, nie sięga poza stromo spadające zbocza doliny; rzeka posiada obecnie (wrzesień) niski stan wody, tworzy więc liczne mielizny i wysepki, rozwidlenia, zakręty i łachy. Żyzny muł osadzany przez rzekę w czasie wylewów, zwilżany obficie przez wodę gruntową, warunkuje bujną roślinność: wzdłuż brzegów rosną drzewa malowniczymi grupami; liściaste ich korony rozrastają się tu bardzo bujnie, gdyż wysokie zbocza doliny stanowią ochronę od burz. Między grupami drzew rośnie bujna trawa metrowej wysokości, a w miejscach

suchszych, bardziej oddalonych od rzeki rozciągają się niwy zbożowe, wśród których leżą rozrzucone farmy. Nie jestto wprawdzie krajobraz wspaniały, ale niezmiernie powabny. Przytym piękność ta jest spotęgowana wrażeniem kontrastu: doliny te stanowią wazkie stosunkowo wcięcia w powierzchni niezmierzonej wyżyny, któremi kraina leśna Stanów Wschodnich wysyła swe najdalsze forpoczty w stepową krainę Zachodu.

Gdy z głębi doliny kolej po stromych zboczach wstąpi na wyżynę, widok krajobrazu zmienia się natychmiast: znika świeża zieleń doliny, znika ożywczy element wód płynących; w to miejsce we wszystkich kierunkach, jak tylko oko zasięgnie, rozciąga się niezmierna równina zeszlých, płowych traw.

Równie jednobarwne jak równina jest też rozpięte nad nią sklepienie nieba. Nie jestto jednak ten wonny, ożywczy lazur nieba włoskiego, lecz ciężka, nużąca barwa szara, ołowiana. I ta cudowna jasność i wyrazistość, z jaką formy powierzchni odrzynają się tam od sklepienia nieba, tutaj nie istnieją. Ponad odległemi przedmiotami spoczywa subtelna zasłona mgły; Indjanie, Aryzony powiadają: «bóg Nanabozko puszcza kłęby dymu ze swojej fajki».

I czyż nie jestto widok, mogący napełnić duszę nudą i rozpaczą? Zapewne, jeżeli chodzi o człowieka zmuszonego tu pozostawać stale, ale inaczej rzecz się ma z podróżnikiem, przeniesionym po raz pierwszy w świat tak dalece obcy; krajobraz ten działa mianowicie na duszę człowieka w sposób podobny jak niezmierny ocean. Jak ten ostatni tak i stepy wzbudzają w naszej duszy uczucie nieskończoności; wszelkie drobiazgi i troski dnia powszedniego, wszystkie uciążliwe więzy życia społecznego, gniotące człowieka kultury, znikają tutaj pod potężnym naporem siły, która tutaj wciska się w duszę, z nieograniczonych przestworów. W czasie krótkich

postojów, gdyśmy mogli wysiąść z pociągu, każdy z nas dążył jak najdalej w samotny step, patrzył na trawy, lekko poruszane wiatrem, słuchał ich delikatnego poszumu i uczuwał, jak pierwotny syn pustyni, wielkiego ducha, kroczącego przez prerję; wreszcie rozciągał ramiona i z pełnej piersi wydawał okrzyk — nietylko «na górach», ale i tu, na stepie «mieszka wolność».

Ale wolność nasza nie trwała długo, gdyż głos konduktora: «all aboard!» powoływał nas znowu do pociągu, gdzie duszne gorąco i ciasnota dawały nam się we znaki. Tak jadąc, wznosiliśmy się niepostrzeżenie aż do wysokości 1800 metrów i z obszaru prerji, krainy trawiastej, dostaliśmy się do równin pustynnych, *plains*, rozciągających się u stóp gór Skalistych. Jak daleko oko zasięgnie, wszędzie rozciąga się kobierzec skąpej roślinności, przez którą przegląda nagi grunt gliniasty lub piaszczysty; w wielu miejscach te płyty nagiego gruntu przerywają na znacznej przestrzeni pokrywą roślinną. Trawa rośnie przeważnie oddzielnymi kępkami; każda kępka chroni część gruntu, pod nią leżącego, od zwiewania i splukiwania i wskutek tego rośnie jakby na postumencie. Jeszcze smutniejsze są miejsca stepu, porośnięte suchymi krzakami i krzewami podobnymi nieraz do szczotki. Pośród tego gdzieś widnieją karłowate jukki, a szczególnie rośliny kaktusowe, sterczące w górę swemi kolczastymi członkami, zdobnemi niekiedy w czerwone, smaczne jagody. Widoku wody nie napotyka się tu w tym czasie, tylko jej ślady: rąbki zarośli wierzbowych otaczają te kotliny, które w porze deszczów napełniają się wodą. Dno, które dłużej stało pod wodą, można poznać po brunatnym mule gliniastym; upały wytworzyły w tym mule głębokie szczeliny, które dzielą dno na wielokątne płyty; górne warstwy tych płyt są często oddzielone od podstawy i wtedy dno wygląda jakby usiane waflami. Jeżeli zaś grunt

jest piaszczysty, to powstają na nim faliste diuny, które wciąż zmieniają swą formę i położenie.

Za zbliżeniem się do działu wodnego, między oceanem Atlantyckim i Wielkim, równinowy charakter kraju znika; oko, zwrócone wdal ku zachodowi, dostrzega tam wyniosłości typu stołowego, tak zwane *mesas* (po hiszpańsku stół) lub, w razie mniejszych rozmiarów, *mesetas*. Siły wody i wiatru pracują bez przestanku nad zniszczeniem



Skąły grzybowe w plains (szczątki oszczędzone od splukania).

tych wyniosłości: miększe gliny, barwy szarej, oraz jasno-żółte piaskowce i margle ulegają wypłukaniu i wywianiu, a spoczywające na nich ławice konglomeratu, utraciwszy podstawę, odłamują się wielkimi blokami; wreszcie ta ochronna pokrywa wzgórza znika zupełnie, a wtedy los jego jest już rozstrzygnięty: wiatry i wody w krótkim czasie kończą dzieło zniszczenia. Te góry stołowe, w rozma-

itych stopniowaniach swych form, opowiadają same historję swego zniszczenia — niejedne z nich są podobne do olbrzymich grzybów, kłoców, lub skrzyń, inne są urozmaicone, wyglądają jak katedry uwieńczone niezliczonymi wieżyczkami; inne znowu są szczupłe i wysokie jak obeliski; tu wyrastają przed nami, jak tajemnicze ruiny, o poszarpanych zębatych ścianach, gdzieindziej sterczą wśród równin ni-by forteczne bastjony. Ponieważ czerwona lub żółta promienie słońca, oblewające tę wspaniałą samotnię, odbijają się silnie od nagich, jasnych ścian skalnych, więc cała ta kraina świeci taką wspaniałością barw, która nie da się opisać; a gdy krwisto czerwona kula słońca zniża się ku zachodowi, wtedy cała kraina wydaje się olbrzymim pożarem.

Ryszard Marek i Herman Credner.

PODCZAS ZAMIECI W PRERJI.

Wyobraźcie sobie, czytelnicy, mgłę, ściętą mrozem w olbrzymi tuman lodowych igiełek, który przebiega stopy z zawrotną szybkością orkanu. Krysztalki lodowe siekają wędrowca w twarz z taką siłą, jakby były wystrzelone z rusznicy, i tak szczelnie wypełniają powietrze, że na pięć kroków nic dojrzeć nie można. Przytym mróz wzmagą się do stopnia zamarzania ręki. Kto na swoje nieszczęście znajdzie się niespodzianie wśród pustkowi na drodze takiego orkanu, ten nasamprzód zostaje formalnie oślepiiony, potym doznaje wszystkich męczarni mrozu i wpada w odurzenie, to zmienia się w łagodny, słodki sen — a za snem kroczy nieubłagana śmierć. Taka jest zamieć śnieżna, *blizzard* w prerji.

Ojczyzną jej są kraje arktyczne, a nie Manitoba, jak mniemano powszechnie. Przyczyna, dla której zamiecie panują tylko w okolicach, położonych po zachodniej stro-

nie Mississippi, jest bardzo prosta: góry Laurentyńskie, które ciągną się na zachód od Labradoru wzdłuż południowej granicy angielskich kolonji w Ameryce, następnie okrążają północne brzegi jeziora Wyższego i obniżają się w północno-wschodniej Minnesocie, przedstawiają zwarty i wysoki mur skalny, który zasłania przed śnieżnemi orkanami cały kraj, leżący na południowym ich stoku ¹⁾.

Od północo-wschodu Minnesoty aż do Rocky-Mountains rozpościera się stepowa, pozbawiona drzew równina, stanowiąca olbrzymie, na tysiąc mil angielskich szerokie wrota, przez które wkracza na prerje siejący zniszczenie Król Lodów. Dalej ku południowi, aż do zatoki Meksykańskiej, ciągnie się przez te same bezdrzewne stopy długi na 3000 mil gościniec śnieżny, po którym pędzi surowy władca w koronie lodowej, aby wreszcie rozplnąć się w skwarnych objęciach zwrotnikowego słońca. Budzący jeszcze popłoch, ale już nie niebezpieczny, teksaski «Norther» jest zaledwie nędznym strzępem płaszcza, którym Król Lodów zamiała pustynie.

W zimie 1890 roku północo-zachód Ameryki w przeciągu 10 dni był nawiedzony przez zamieć trzykrotnie. Szalała ona w okolicach Minnesoty, Dakoty, Nebraski, Kansasu i na całej przestrzeni, na zachód od nich ciągnących się stepów. Zginęło około 3000 ludzi—straty w bydle oceniono przeszło na milion dolarów. Mróz był tak straszny, że pasażerowie jednego z pociągów, który wskutek zasp śnieżnych mógł posuwać się naprzód tylko bar-

¹⁾ Wyjaśnienie blizzardu przez autora (M. Lortzinga) nie wydaje nam się trafnym: naprzód bowiem obszar wysokiego ciśnienia (maximum) w zimie znajduje się w zachodniej części lądu Ameryki Północnej, w okolicy Gór Skalistych (źródłowiska Missouri), stąd blizzard jest na prerjach wiatrem północno-zachodnim, nie północno-wschodnim, jakby z powyższego wyjaśnienia raczej być powinno; powtóre: «góry Laurentyńskie» są raczej wzgórzami zbyt nieznacznymi na to, aby powstrzymać wiatr, któryby na północ od nich brał początek; potrzebie wreszcie blizzard, lubo rzadziej, nawiedza jako wiatr bardziej zachodni (ściągany przez minimum Islandzkie) także i część Ameryki Północnej na wschód Mississippi, dosięga nawet niekiedy New-Yorku. W. N.

dzo wolno, i z tego względu zmuszony był oszczędzać węgiel—skupili się wszyscy w jednym wagonie. Ciepło otulone dzieci schroniono oprócz tego do skórzanych torb do listów — mimo to jednak dwoje z nich zmarzło na śmierć.

Lecz biada tym nieszczęsnym, których zamieć schwyła pod gołym niebem. Na drodze do Yanktonu pewne małżeństwo, jadące sankami, zmuszone było odprząc konie i puścić je luzem, gdyż przerażone zwierzęta nie chciały walczyć z orkanem śnieżnym. Małżonkowie udali się z kierunkiem wiatru, aby tylko być w ruchu, dopóki wkońcu nie natrafili na stóg siana. Wtedy zakopali się w nim i tak przepędzili noc. Rano mąż zauważył w pobliżu dom i doczołgał się do niego na czworakach — tak już był osłabiony mrozem. Natychmiast pośpieszono z ratunkiem do żony — lecz ta była już nieżywa. Jakiegoś fermera, który oddalił się od swego domu tylko na kilka kroków, aby napić bydło, tak osłepiły pędzące z wichrem igielki lodu, że zgubił drogę. Całą noc i cały dzień następny przeblądził biedak pod gołym niebem, byle tylko utrzymać się w nieustannym ruchu—gdyż spoczynek równał się śmierci. Gdy go wreszcie uratowano, znajdował się w odległości 20 mil od swego domu. Indianie umieją sobie w tych warunkach lepiej radzić od białych. Pewnego razu cała wyprawa czerwonoskórych była podczas łowów zaskoczona przez zamieć— a jednak nikt z nich nie zginął.

Pewien podróżny, jadący wierzchem na koniu, uparł się zwyciężyć zamieć — i pocwałował przeciw wichrowi. Miał wszystkiego do przebycia milę angielską — mimo to jednak, gdy żona na spotkanie biedaka otworzyła drzwi domu, na koniu siedział prosto na siodle sztywny trup śmiałka.

W jednej ze szkół w prerji nauczycielka około południa zauważyła pewne znaki, zwiastujące zamieć; wobec tego rozpuściła dzieci do domów i kazała im się śpieszyć dla uniknięcia niebezpieczeństwa. Zamieć jednak za-

skoczyła dziatwę w odległości niewielu kroków od szkoły. Niektórym udało się ująć cało, ale większości, niestety, nie. Cała wieś natychmiast pośpieszyła im z pomocą — i znajdowano je pojedynczo, parami, po troje, w większych grupach — a w największej i nauczycielkę — wszystkie martwe. Na marmurowo białych twarzyczkach błyszczały zamrożone łzy; do warg niektórych przymarzał uśmiech łagodny, jakby umierały w słodkim marzeniu.

Wskutek takich trudności, zimowa podróż przez stepy jest zawsze czynem bohaterskim, nawet gdy się ją odbywa w ciepłym omnibusie pocztowym, ogrzewanym przez piecyk, którego żelazny komin sterczy nad dachem wehikułu. Gdy wóz zatrzyma się przed stacją i woźnica zeskoczy z kozła, zaczyna się zupełnie osobliwa scena. Biedny człowiek oprócz trzech kompletów bielizny wełnianej, ma na sobie niedźwiedzie, wilcze, lisie, albo bobrowe futro — i rozbieranie się z tego wszystkiego czyni zupełnie wrażenie odwijania mumji egipskiej. Butów nie ma na nogach, gdyż zmarznięta twarda skóra powstrzymuje obieg krwi — tylko na trzech parach skarpetek nosi używane przez Indjan mokassiny, całe z miękkiej, elastycznej sarniej skóry. Widać mu tylko nos i oczy. To jest jego stały zimowy kostjum podróżny, a jednak nawet i ten nie jest w stanie zabezpieczyć go przed skutkami zamieci.

Biedny «postman», konny listonosz stepów, również ma się nie lepiej. Nogi obwija sobie workami od zboża, półokrągłym kawałkiem skóry zakrywa sobie usta (to czyni nawet w lecie, aby uchronić się przed suchym, wiatrem i pyłem), a oczy zasłania gęstymi drucianami okularami. Mimo to, że ciągle powstają nowe drogi żelazne, niezmiernie przestraszone stepów na wschód od gór Skalistych nie obeszłyby się bez takich listonoszów, którzy w różnych kierunkach przebiegać muszą całe setki mil. Stacje pocztowe odległe tu są od sie-

bie na pięćdziesiąt do stu mil; pomiędzy nieraz znajdują się czasami bardzo nieliczne osady; zdarza się jednak, że nie ma ich wcale. Wobec tego, co 25 mil urządzono tu przystanki, gdzie pocztyljon może zmienić konie i posilić się nieco.

Gdy go zaskoczy zamieć, wie on, jak sobie radzić: musi z nią walczyć mężnie, dopóki mu nie padnie koń, lub dopóki nie zgubi drogi. Lecz jeżeli ją zgubi, to i sam wówczas ginie. I oto, z początkiem wiosny, gdy zacznie puszczać trawa, wierny pies pasterski znajduje w stepach jakiś dziwny przedmiot i przynosi go w pysku swojemu panu. Ten ze zdumieniem zapytuje sam siebie, co by to być mogło, i udaje się w tym kierunku, skąd przybiegł wierny stróż jego stada. Przedmiot ten, to stoczona przez robaki i porwana ostremi zębami stepowego wilka torba do listów. Pasterz znajduje w pobliżu rozrzucone kości ludzkie, strzępy ubrania i zardzewiałe ostrogi. Jestto miejsce, gdzie listonosz, zrzucony przez swego konia, czy muła i wyczerpany daremnymi poszukiwaniami drogi, upadł wreszcie w objęcia śmierci.

Gdy na przestrzeni między rzeką Missouri i Rocky Mountains zima jest bardzo surowa, to i nieco dalej na południe, wzdłuż dolnego biegu Rio-Grande, panują także w łagodniejszej nieco formie, ale jeszcze dosyć niebezpieczne, orkany i zamiecie śnieżne— tak, że często słyszy się o ludziach, którzy zmarzli po meksykańskiej stronie tej rzeki.

Jest jedna droga pocztowa, zaczynająca się w miasteczku Venita na terytorjum Indjan i kończąca się w Las Vegas w Nowym Meksyku. Otóż do obsługiwanego osiemdziesięcio-milowego kawałka tej drogi między Mobeeties, miasteczkiem, położonym pod fortem Elliot, i Taskosa, osadą, złożoną z sześciu domów—poszukiwany był konny listonosz, i, chociaż było wiadomo, że na przestrzeni tej zmienia się dwa, czy trzy razy konie—nikt nie chciał podjąć się tych obowiązków. Droga około trzydziestu mil

biegnie przez Staked Plains (Llano Estacado) — w razie zamieci grozi tu niebezpieczeństwo zabłądzenia. Już w lecie, wśród lekkich, jednostajnych faliści, bardzo trudno się na stepie orjentować — zupełnie, jak na wielkim jeziorze, które zamąci łagodny wiatr; cóż dopiero w zimie, gdy wszelkie nierówności zupełnie znikną pod śniegiem. Żeby wtedy nie zmylić kierunku, trzeba na to niesłychanej przenikliwości Indjanina, który znajduje się na tropach swego wroga. A do tego jeszcze w nocy i wśród zamieci śnieżnej! To tak, jakby się kto znalazł sam na pełnym morzu, w wątłej łodzi i bez kompasu.

Wreszcie zjawił się młody śmiałek, «Little Johnnie», obeznany już doskonale ze służbą na poczcie, krajem i drogami. Szczęśliwie przebył pierwszą drogę z Tascosa do Mobeeties — ale gdy wracał, zaskoczyła go nocą zamieć. Naturalnie, zgubił drogę i błąkał się po stepie przez dwa dni i dwie noce — bez pokarmu, napoju i ognia. Musiał po kolei odprząc wszystkie swoje cztery muły i puścić je luzem, i nareszcie udało mu się samemu, bez wózka i zwierząt, trafić do stacji. Natychmiast odesłano go do szpitala w forcie Elliot — gdzie musiano mu odjąć obie ręce i nogi. Następca jego z dwoma pomocnikami uległ podobnemu losowi. Tak karze na Zachodzie «król Lodowy» niepokornych zuchwalców.

Gdy śnieżycza zawieje tor kolejowy do tego stopnia, że komunikacja zostanie przerwana, wówczas posyłają maszynę, w rodzaju olbrzymiego pługa do krajania śniegów, ciągniętego przez lokomotywę, i robotników z szuflami, aby oczyścili drogę. Z szaloną szybkością pędzi pług po zaspach śnieżnych i rozkrawa je po większej części, ale czasami zdarza się, że uwięźnie w nich i wówczas muszą go wyciągać ludzie. Ci, wskutek okropnego mrozu, zmieniają się co dziesięć minut. Czasami maszyna utkwii w sztywnym trupie bydłęcia, które schroniło się w śnieżnej zaspie przed zamiecią i zmarzło tam na śmierć.

Zdumiewającą jest rzeczą, jakie przestrzenie kolejowe toru na zachodzie i północo-zachodzie stają się codziennie albo zupełnie niemożliwymi do przebycia, albo przynajmniej bardzo niebezpiecznymi. Kolej St. Paul przebiega około 2000 mil po prerji, Northern Pacific około tysiąca. Northern Pacific do każdego pociągu dodaje w zimie olbrzymią skrzynię z produktami spożywczymi, żeby zabezpieczyć pasażerów od głodu przynajmniej na tydzień — i taką samą ilość opału. Najniebezpieczniejszą dla pociągów kolejowych w całej Ameryce ma być część drogi między Dakotą a okolicą źródlowisk Missouri: jestto sucha i mroźna pustynia, gdzie na przestrzeni stu mil żadne drzewo, ani żadna wyniosłość nie osłabiają gwałtowności wichru.

Ale nawet ów «nędzny strzęp płaszcza» blizzardu, *norther* daje się mieszkańcom Teksasu nieraz porządnie we znaki. Gdy tylko rozpoczyna wiać, już ludzie i zwierzęta doznają gwałtownego pragnienia, a wysychająca skóra pali i świerbi. Spadek temperatury jest wielki i nadzwyczaj nagły, często z 24^o na 4^o a nawet na — 1^o w ciągu paru godzin. Biada podróżnemu, gdy go *norther* napotka śród otwartego stepu; to też kto tylko z klimatem kraju jest obeznany, spina konia natychmiast ostrogami i pędzi galopem do najbliższego domostwa, aby tu przecze-kać burzę. Wszyscy mieszkańcy, kłapiąc zębami, cisną się dokoła olbrzymiego ogniska na kominie, podczas gdy na dworze wicher szaleje. Gdy tylko jednak *norther* uci-chnie, następuje zaraz piękna pogoda, jakby się człowiek przeniósł momentalnie z Labradoru do Nikaraguy; wszyscy więc zrucają płaszcze i koce i biegną oddychać świe-żym powietrzem; ogień na kominie gaśnie i zapomina się o zimie. Kto nie schroni się na czas przed wichrem, nie ma dostatecznie ciepłego odzienia, ten zwykle płaci zapaleniem płuc, które corocznie pochłania liczne ofiary. *Norther* jest szczególnie niebezpieczny dla bydła, które cho-

dzi tu i zimą swobodnie po stepie: osłabione niedostatecznością pożywienia, ginie ono od tego wiatru tysiącami i na wiosnę wśród zieleniejącego stepu bieleją niezliczone kości.

Według *M. Lortzinga i Th. Kirchhoffa*.

T O R N A D O S.

W okolicach górnego Saskatchewanu, Wielkich Jezior i rzeki Św. Wawrzyńca ciągnie się najbardziej uczęszczana droga północno-amerykańskich burz, zmierzających ku północno-atlantyckiemu (Islandzkiemu) obszarowi niskiego ciśnienia (minimum) i u wschodnich stóp gór Skalistych nie tylko blizzard i norther występują z największą potęgą, ale tam też biorą swój początek najstraszniejsze ze wszystkich burz wirowych, *tornados*.

Tornados szaleją w stanach: Kansas, Nebraska, Illinois, Ohio i t. d., zmiatając nieraz z powierzchni ziemi całe miasta; ich wściekłości nie może się oprzeć nic, co jest dziełem człowieka i co wystercza nad powierzchnię ziemi; najcięższe lokomotywy bywają wyrzucane z szyn, największe żelazne mosty — znoszone. Doniesienie o wielkim tornado w Louisvill (w marcu 1890 r.) brzmi, jak następuje: «burza przeciągnęła przez miasto pasem na 500 jardów szerokim, wszystko ze sobą porywając. Jej przyjście, jej dzieło zniszczenia i jej odejście — wszystko to trwało kilku minut. Kamienne magazyny, stacje kolejowe i domy mieszkalne legły w gruzach. Jeden dworzec kolejowy został ze swych fundamentów podniesiony i wrzucony do rzeki Ohio. Ofiary w ludziach były bardzo znaczne, zwłaszcza w ratuszu, który był wówczas pełen ludzi, a leżąc w środku drogi orkanu, uległ zupełnemu zburzeniu.

O innym tornado, który szalał w Pensylwanji (w sierpniu 1890 r.) doniesienie brzmiało: na północ drogi orkanu zalegała niebo ława obłoków. Słońce świeciło ponad obłokami, nadając im odblask ognisto-czerwony. Termo-

metr wskazywał blisko 27° C. Wiatr wiał z południo-zachodu i pędził małe czarne obłoczki ku wielkiej ławicy obłoków. Równocześnie następowały częste wyładowania elektryczne, wyprzedzające orkan, który kroczył wzdłuż południowej krawędzi ławicy obłokowej. Jądro wiru zjawiało się w formie lejkowatego obłoku, którego szeroka górna część zanurzała się w ławicy obłokowej; wyglądało to jak kolumna gęstego dymu pożarnego. Kolumna ta pędziła z szybkością 60 mil ang. na godzinę w kierunku wschodnio-północno-wschodnim i przytym ostrze lejka odbywało ruch poczwórny: 1) około własnej osi, wirowy; 2) postępowy; 3) poziomo zygzakowaty, zbaczający od prostej drogi nagłemi zwrotami, to na północ, to na południe; 4) podskakujący w krótkich interwallach w górę i na dół. Lejek wędrował tak, nic sobie nie robiąc ani z głębokich wąwozów, ani z wysokich wzgórz, ani wogóle z żadnych przeszkód, które leżały na jego drodze; ale ostrze lejka wyszukiwało sobie zagłębien blizkich linii głównej. Ruch wirowy, porywający drzewa do tańca, odbywał się z lewej strony na prawą dla obserwującego go z tyłu. Gdy ostrze lejka podnosiło się, porywało ze sobą w górę domy i parło je ku środkowi, gdy się zaś obniżało, przyciskało domy i drzewa i parło je nazewnątrz. Często ostrze to biegło na wysokości 10—20 stóp nad powierzchnią ziemi, wypuszczając z siebie obłok ognisty. Chwilami olbrzymi lejek rozpadał się na liczne drobne i każdy ze swej strony świdrował, wiercił i orał na swoim kawałku ziemi.

Według *E. Deckerta, A. W. Greelygo i D. L. Rhonego.*

CHICAGO, TARGOWISKO MIĘSNE.

Jakgdyby wśród istotnego piekła!—Parkany i zagrody krzyżują się z sobą i tworzą labirynt ulic, zaułków i podwórzy, było w nich ryczy przeraźliwie, niekiedy wście-

kle uderza o nikłe napozór, ale w gruncie rzeczy mocne kraty swojej klatki, cowboye pędzą konno na oklep, w różnych kierunkach przez uliczki i gwiżdżąc, porozumiewają się między sobą; inni z przekleństwem na ustach uwijają się wśród bydła i poskramiają jego wybryki. Berliński Viehhof, to salon w porównaniu z rozpościerającym się przed nami widokiem. A brak nie tylko berlińskiego spokoju i czystości! Giełda na bydło składa się z rozrzuconych bezładnie budynków, profanowi trudno się w niej polapać—bez żadnej symetrii, bez najmniejszej wystawności. Jak wszędzie, tak i tutaj kapitalista amerykański obywatel się bez blichtru. Sądzi on, że wielkie odsetki to alfa i omega wszystkiego i że lepiej w nędznym kantorze zgarniać grube zyski, aniżeli we wspaniałym gmachu—małe. To też parkany i zabudowania ledwie się trzymają, drzewo miejscami jest nadgniłe, a gdy zanadto wypowiada już posłuszeństwo i zagraża ruiną, wtedy łąta przychodzi z pomocą i na czas jakiś spaja rozlatujące się części.

Kurz nie do opisania. Mimo, że oddawna nie było deszczu, błoto pod nogami. A cóż dopiero dziać się musi, kiedy słońce zawisnie nad targowiskiem!

* * *

Spaceruję po długim pomoście, który trzeszczy i kołysze się, kiedy wiatr silniej powieje. Pode mną ciągną się bez końca klatki, najróżnorodniej połączone wrotami, pomiędzy niemi biegną ślepe uliczki — do wpuszczania bydła. Są dnie, kiedy rano znajduje się na targowisku do kilkudziesięciu tysięcy rogacizny. Druty telefonowe i telegraficzne tworzą niekiedy istną siatkę. Olbrzymie galerje przeryniają targowisko w górze we wszystkich kierunkach. Ponieważ na dole panuje ruch ciągły, mają one służyć do pędzenia bydła na targi do rzeźni bez zamętu. Wszędzie wznoszą się budy, słynące jako fairbańki — ol-

brzymie wagi, mierzące odrazu do stu tysięcy funtów żywego mięsa. Właśnie jedna jest teraz w ruchu. Cowboye zawracają gromadę rogacizny do takiej budy, a kiedy przestrzeń została zapełniona, wrota się zatrzasują, i waga oblicza trzodę w funtach. Rzeźnicy-miljonerzy nie kupują pojedynczych sztuk, lecz całe stada.

Z pomostu oglądam jedynie drobną cząstkę targowiska, nie wiem, czy dziesiątą. Stock yards z poblizkim miasteczkiem rzeźnickim są jakby olbrzymim żołądkiem, który wysunął mnóstwo przełyków ku zachodowi i południowachodowi. Falujące a lesiste okolice Montany i Nevady, płaszczyzny Arizony i Texasu, urocza dolina Mississipi, wszystkie te miejscowości, odległe o półtora i dwa tysiące wiorst, wysyłają do Chicago trzodę najrozmaitszego gatunku dziesiątkami tysięcy sztuk dziennie. Targowisko jest obliczone na 300 tysięcy rogacizny i trzody chlewnej jednorazowo, to daje pojęcie o jego rozmiarach i żarłoczności. Żołądek to olbrzymiego organizmu wymienionego! Porwane bydło zostaje zamienione na wędliny, konserwy, stopy świeżego mięsa i w takiej postaci wędruje dalej na wschód, aż do miast nad Atlantykiem, nawet przekracza Ocean, bo wylewa się regularnym potokiem na rynki Anglii. Na odległości tysiąca wiorst i więcej, świeże mięso, napływające z Chicago, zmiażdżyło miejscowy proceder rzeźnicki i stworzyło nową troskę; jeżeli pewnego dnia, z powodu przeszkód, transport nie dopisze, okolica zostaje narażona na niebezpieczeństwo głodu. Opis zakładu Armoura, jaki otrzymaliśmy na pamiątkę w kantorze, jasno i wyraźnie mówi o tej możliwości. Dana firma zapobiega jej, bo stwarza w różnych miastach śpichlerze mięsne!

* * *

Wiatr lekki dmie z południa. Jego nikłej siły wystarczy, aby cały pomost chwiał się od podmuchu. A na

skrzydłach wiatru dolatuje coś więcej. Tam, na południu od targowiska, ciągnie się miasto rzeźnicze, Packing town, złożone jedynie z rzeźni i fabryk, przerabiających odpadki mięsne. O rozmiarach ludności, która żyje z rzeźnictwa wprost lub ubocznie, da najlepsze pojęcie fakt następujący. Przed trzema laty parę największych firm zbuntowało się przeciwko spółce akcyjnej, posiadającej targowisko, i zamierzało przenieść swoje zakłady poza miasto. Obliczano, że założona osada rzeźnicza będzie liczyła 150 tysięcy głów. Z pomostu widzimy rzędy budynków. Nad koszarami rzeźnictwa unoszą się tumany dymu. Niedawno stamtąd wyszliśmy. Zwiedzaliśmy sławne zakłady Armoura i S-ki, które dają pracę ośmiu tysiącom osób i wprowadziły do rzemiosła rzeźniczego możliwe ulepszenia w postaci automatów-maszyn. Zakłady te tak przyzwyczyły się do gości, że posiadają dla nich specjalną poczekalnię, a kiedy zbierze się w niej kilkadziesiąt osób, przewodnik, który tylko co oprowadził jedną partję, puszcza się na wędrownkę z nową. Umyślne pomosty i galerje, oczekują widzów i ze swojej wysokości pozwalają przyjrzeć się robocie. Obrazy, oglądane podczas wycieczki, wypływają teraz w umyśle pod technieniem południowego wiatru. Przynosi on z sobą wszystkie możliwe wonie, jakimi oddycha Packing town, i kojarzy je z sobą: odory wędliniarni i świeżej krwi, swędy od przypalonej skóry i włosów, smrody zgnilizny i gnojowiska, wszystko to miesza się z sobą, a nadto z pyłem ulicznym i z sadzą z kominów. W tym zaś potoku najrozmaitszych woni, gwizdania i przekleństwa cowboyów, ryk bydła, czującego śmierć albo rzucającego się rozpaczliwie, galop ludzki na koniach, dzikie: hep, hep! przybierają odmienną fizjognomję. Mam dosyć tego piekła, ale czy nie dokuczyło ono tym cowboyom, którzy tak poskramiają bydło, jakby chcieli wywołać jeszcze większą wściekłość u rozjuszonego zwierzęcia? Nawet przekleństwo w ich ustach oddycha namiętną radością,

a rozszerzone nozdrza jakby lubują się temi zapachami. Targowisko traci w moim umyśle na barwie i mocy, bo wysuwa się sprawa inna — istot ludzkich, spędzających życie w jego obrębie.

Jacy ludzie żyją w tym świecie mordu i krwi? Czyż są oni takimi, jak reszta śmiertelników? Odpowiadają nam na to świeżo widziane obrazy. Przy wejściu do rzeźni oglądaliśmy człowieka, który sztyletem zabija świnie. Ręka jego systematycznie spadała na ofiary i unosiła się ze sztyletem krwią ociekłym, w ciągu dnia zaś czyni on to parę tysięcy razy. Czym jest ten człowiek? — Co kilka minut w innym oddziale dziesiątki wołów bywają wpędzane do klatek, w których śmierć je czeka. Oprawcy czatują na pomoście, uderzają woły młotami po głowie i ogłuszają; jedna ze ścian się otwiera, zwierzęta zostają wyrzucane i od innych katów dostają jeszcze nowe, ostateczne ciosy. Uciekłem. Czy obojętność tych ludzi wypływa wyłącznie z przyzwyczajenia? Czy owo targowisko, wraz z rzeźniami nie skupia około siebie szczególnych natur krwiożerczych? Czyż dla tych oprawców, którzy od rana do wieczora mają przed sobą widok konwulsji zwierzęcia, oddychają bezustannie odorem krwi, robota rzeźnicka nie posiada szczególnego powabu i nie jest wyładowaniem chuci okrutnej? Dość rozejrzeć się uważnie i spostrzegamy twarze, mówiące, że ich właściciele czują się tutaj, jak w raj. A nasz cicerone dostarcza nowych dowodów, odslaniając przed nami tajemnice targowiska. Opowiada on, że atmosfera krwi służy nadzwyczajnie niektórym mieszkańcom grodu rzeźnickiego, że tyją oni niepomiernie i formalnie tęsknią, kiedy wypadnie im na dłuższy przeciąg czasu rozstać się z tym światem mordu. Sądzę, że spostrzegawczy antropolog-psycholog z powodzeniem mógłby osiąść tutaj i z dostrzeżonych objawów ułożyć cenną pracę. Ci gwizdzący cowboye, borykający się z wołami, ci otyli oprawcy, mordujący tysiące istot żywych lub z mło-

tami w rękę, ogłuszający dziennie setki wołów, wszak to tak bogata kopalnia typów zawodowych. Nietylko ludzie, ale i zwierzęta noszą na targowisku Kainowe znamię zwyrodnienia uczuciowego. «Stary Billy» jest bezwarunkowo takim okazem. Opowiadają o bydłęciu, że instynktownie odgaduje miejsce, gdzie jego współtowarzysz został zamordowany. Otóż obowiązkiem byka Billy jest zagłuszyć ów instynkt i poprowadzić swoich czworonożnych rodaków do miejsca zgonu. Kiedy do przedśmiertnej klatki trzeba pognać nową gromadę ofiar, Billy staje na czele, rykiem uspakaja towarzyszy, a przy wrotach zřęcznie usuwa się na bok, by dalej prowadzić to samo dzieło zdrady i podejścia. Business wyzyskuje wszystkie instynkty przewrotne, jego możnowładcy przyswajają sobie nawet liczne rysy otoczenia.

Woń świeżej krwi, ludzie-potwory i zwierzęta-potwory, tysiące głów ryczącego bydła, pył ze swędem i smrodem, wśród takich obrazów opuszczam targowisko. Tramwaj mnie wiezie w ciągu pół godziny wśród kurzu i niekiedy błota, a ilekroć zaleci podmuch wiatru od targowiska, niesie on z sobą najrozmaitsze odory. Nieraz po całych tygodniach unoszą się one nad dzielnicą zaludnioną przez Polaków i Litwinów, po większej części pracujących w rzęźnictwie. Amerykanin pogardza tym rzemiosłem i pozostawia je przybyszom, którzy do wszystkiego są gotowi, byleby tylko zarobić na życie.

L. Krzywicki.

ROLNICY-NOMADZI.

Siódma wieczorem. Od godzin pięciu ten sam widok ściele się niezmiennie przed nami. Pszenne ściernisko bez końca, z regularnie rozrzuconymi kopcami pszenicy. Prawidłowość ta jest czynem żniwiarki, która wyrzuca

z siebie snopy w jednostajnych odstępach. A wśród tego niezmiernego poboju trupów-snopów nie dostrzegłem jeszcze człowieka — w polu. (Widziałem mieszkańców dawnej prerji jedynie na stacjach kolei).

Co istota ludzka czuje w stepie pszennym? Mam na myśli nie wielkich kapitalistów, lecz zwykłego fermera, odpowiadającego swoim stanowiskiem naszemu włościaninowi. Że nie posiada on duszy Europejczyka i przy sprzedaży zagonu nie będzie biadał, iż opuszcza cmentarz, na którym spoczywają pradziadowie, iż żegna nazawsze szmery wioskowego strumienia i blaski rodzinnego księżyca, rzecz to pewna. Nie rozmawiałem z rolnikami, do których należą te nieskończone łąny, nie oglądałem nawet żadnego w polu, ale struktura fermy i jej otoczenie rzucają światło na ich jaźń wewnętrzną, na wzruszenia duszy i ideje umysłu. W pamięci wypływają Konopnickiej odgłosy z pól i niw. Rozdźwiękiem brzmiały one w tym krajobrazie, od którego oka nie mogę oderwać. Napewno żadna dziewczyna z tych stepów nie będzie narzekała, że ojciec nie chce dać jej z chaty, ani matka nad kołyską lipową wróżyła dziecku szarej doli. Owa willa — nie ośmielam się tych wdzięcznych domków ochrzcić nazwą chaty! — wygląda niby tymczasowy przystanek. Może nieobecność drzew przyczynia się do tego i brak parkanów, razi moje oko, może to, że każda ferma sterczy samotnie, każe widzieć tam próżnię uczuciową względem ziemi. Nie! nie myślę się. I świstki reklamy mówią, że w stepie rozsiadł się rój szarańczy ludzkiej, zmierzający do okolic, gdzie żer jest najobfitszym. Ten bez żalu porzucił fermę w Wisconsinie na wieść o urodzajności obszarów rzeki Czerwonej, tamten rozstał się z zagonem ojczystym w Indjanie. Słowem, zawsze i wszędzie ktoś coś porzucił, zwabiony pogłoską o tym, jaki business oczekuje go tutaj. Niechaj wieść rozniesie się o czymś jeszcze zyskowniejszym, a ludzie ci opuszczą dzisiejsze sadyby i pociągną dalej rozpiąć

swoje namioty koczownicze. Chęć zysku wżarła się w istotę rolnika. Przychodzą mi na myśl czyjeś słowa: «Drobni fermerzy dalekiego zachodu są chłopami, ale nie posiadają żadnego z rysów duchowych włościanina europejskiego, krom jego chciwości. Są przybyszami z odległych krajów i poza sobą zostawili wszystkie nawyki, przesady, zwyczaje, bezwładność, które w Starym świecie stają na przeszkodzie rozwojowi. Nie są na wzór włościan europejskich, opętani owym piekielnym łaknieniem gruntu upoetyzowanym przez Micheleta, Proudhona i innych wielkich świeczników pospolitego demokratyzmu. W prerjach zachodu zbywa na wysnionej uczuciowości. Nie wskrzesają one dzieciństwa w pamięci, kolebka fermera nie kołysała się na tej ziemi, on zaś nie stąpa po mogiłach swoich dziadów. Fermer tutejszy jest rolnikiem nie po to, ażeby zlać się w jedno z macierzą-ziemią, lecz celem wydarcia jej majątku. Skoro pcla są blizkie wyczerpania, porzuca je; kiedy odkryto gdzieś dziewicze obszary, ku nim podąża. Rolnik stargał mistyczny związek z glebą i jej płodami i odzyskał dumną niezależność koczownika».

Na którejś stacji ujrzałem zastęp tych nomadów-rolników. Dzielne miny, wzrok śmiały i pewny siebie, twarze ogorzałe, inteligientna głowa na karku, zgarbionym od mozołów pracy, słowem materiał na istoty, że użyję amerykanizmu, samoistnie robiące swój los i gotowe poszukiwać szczęścia wszędzie, choćby za dziesięciu górami i stu rzekami. «Niechaj piekło będzie na drodze, przejdziemmy je, ażeby dostać się do dziewiczej gleby Zachodu», mówiły tłumy, ciągnące do okolic, przez które przejeżdżam...

Rolnik stargał nie tylko nawyki osiedleńca. Prześiąka on duchem miasta: miejskimi upodobaniami i miejskimi widnokręgami. Orze on pługiem, na którym siedzi, zbiera plony przy pomocy samowiązającej żniwiarki, parowa młóckarnia, wynajęta na dnie, młóci plony. Już

to jedno wprowadza do osady włościańskiej szczególnie pierwiastki duchowe. Zamiast trzymania ziarna na fermie, odstawia je do elewatorów, ubiera się w odzież, zrobioną w mieście, nawet w piecu pali węglem, na kuchni zaś gazoliną, przywiezionemi stamtąd, obecnie zaś przebąkuje o drobnych motorach elektrycznych do obracania sieżkarni. Na każdym kroku zależy od miasta. Przystał być stworzeniem, pracującym na te obce mu duchem zbiorowiska domów, i wzamian za swoje płody otrzymującym ztamtąd bardzo niewiele. I rozproszenie osad, jedna daleko od drugiej, pcha go w kierunku miasta. My, którzy posiadamy wioski, t. j. gromady leżących przy sobie osad włościańskich, ani przeczuwamy, ile takie skupienie chat w przestrzeni sprzyja wyrobieniu samodzielnego ducha wiejskiego, powiedzmy szczerzej: kultury włościańskiej. Inaczej dzieje się tam, gdzie ferma znajduje się od fermy w wielkiej odległości, jak to oglądamy na tym nieskończonym łąnie. Wiosną, kiedy niwy zazielenią się na niezmierzonej przestrzeni, podczas lata, które złocistym połyskiem ubierze step pszenny, w takie pory roku człowiekowi bywa przyjemnie na łonie przyrody. Ale co za pustka rozpościera swoje skrzydła nad dawną prerją, kiedy zima śnieżnym całunem przyodzieje równinę i zamiecie zaczną płąsać swobodnie po tych przestworach. Kobieta nie ma kumoszki pod bokiem, ani gospodarz nie znajdzie współbiednika. Poblizkie miasteczko jest jedyną ucieczką. Tam związki «farmazońskie», do których tłumnie należą rolnicy, odbywają swoje sesje, tam miejscowa Grange posiada rezydencje, dziatwa uczęszcza do szkółki, kluby oddają salę na tańce dla młodzieży. Rodziny włościańskie z inwentarzem przenoszą się wtedy do miasta, wielkie zaś folwarki wysyłają bydło do stepów o paręset mil angielskich. Miasto panuje nade wsią, chociaż gleba jest jeszcze porznięta na drobne kawałki prywatne. Uczynmy krok dalej i wyobraźmy sobie akcyjne

spółki włościańskie, korzystające z centralizacji gospodarczej, a zatem niezależniejsze, niż obecny fermer, od ziemi. Cóż naówczas stanie się ze wsią?—Rolnik przybierze cechy nawskroś koczownicze, chata letnia będzie namiotem; jedynie miasto zachowa piętno osiadłego trybu życia.

L. Krzywicki.

GOSPODARSTWO ROLNE NA PRERJACH.

Minęliśmy fermę i znowu jesteśmy w czystym polu pomiędzy ciągnącymi się bez końca ścierniskami. Tylko na dalekim widnokregu zwolna porusza się (na pierwszy rzut oka zdawałoby się, iż nieruchomie stoi) pasmo czarnych plamek, niemal zlewających się z sobą. To bateria żniwiarko-wiązałek, czekająca naszego przybycia, aby w godzinę uprzętnąć pole kilkuwłokowej rozległości.

Jesteśmy na miejscu. Olbrzymi łań pszenicy faluje przed nami. Wzdłuż jego krawędzi poruszają się żniwiarko-wiązałki jedna za drugą, każda zaprzęzona w trójkę mułów. Furman rozparł się w górze na fotelu. Urzędnicy folwarczni i członkowie komitetu recepcyjnego udzielają informacji. Aż 45 automatów tnie stojący przed nami mur pszenicy, pracuje zaś w polu z górą półtorej setki mężczyzn, to jako furmani, to znowu jako piechurzy, chodzący około snopów i spełniający inne czynności. Taką baterję żniwiarek wystawiono wyjątkowo, tylko na nasze przyjęcie. W codziennym zaś biegu bywa rozdzielona na parę mniejszych partji, po 10, najwyżej 15 maszyn, a to dlatego, ażeby, kiedy jedna ulegnie chwilowemu zniedołężnieniu, inne nie potrzebowały oczekiwać w bezczynności, zanim nadwerężony automat będzie wydalony z szeregu. Pomędzy piechurami uwija się konno kilku oficerów armji rolnej, to mechanicy z narzędziami. Skoro któryś

z taranów, uderzających w zwarty mur pszenicy, zapotrzebuje naprawy, wycofują go wtedy i mechanik pośpiesza z pomocą. Wóz jeden i drugi. Na każdym beczka z wodą dla orzeźwienia pracujących i mnóstwo olbrzymich motków grubego szpagatu, które, wstawione do żniwiarki, dostarczają wiązadła do snopów.

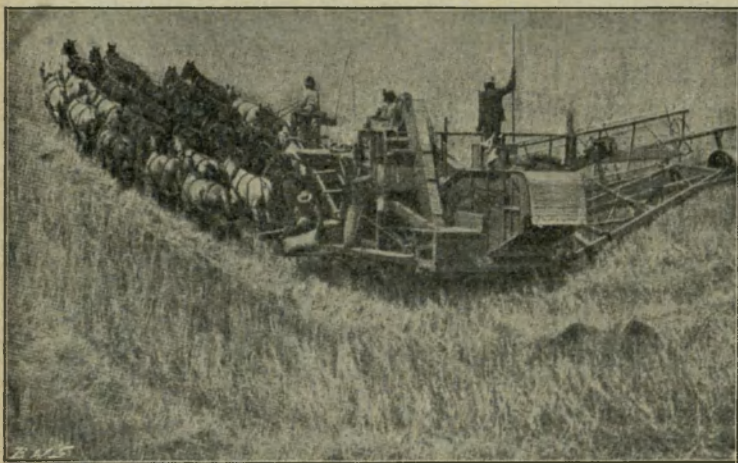
Stając zblizka, o kilkanaście kroków od działającej baterji, doznajemy niezwykłego wrażenia. Żniwiarki, które znajdują się wprost przed okiem, odróżniam przewybornie. Dalej, w jednym i drugim kierunku, perspektywa zmniejszyła rozmiary automatów i zwężyła odległości pomiędzy niemi. Jeszcze dalej wolne miejsca zupełnie znikają i widzimy ciągle i zwarte pasmo malejące w swojej grubości. Jedynie prążki białe i czerwone, przeplatając się systematycznie, pozwalają odróżnić, gdzie kończy się jedno, a zaczyna następne ogniwo tego rzędu. Później białe zostają przysłonione, jeszcze dalej, dzieje się to samo z czerwonymi, górne grabie zlewają się nawzajem, ludzie zostają przykryci. Pozostaje pas czarny, nad którym niekiedy, niby stal, błysną na słońcu któreś z obracających się grabi. Od czasu do czasu, tuż nad samą ziemią, coś żółtego się gromadzi, aż wreszcie zostaje porzucone na polu, w jednym, drugim i dziesiątym miejscu. To żniwiarka wyrzuca z siebie kilka związanych snopów, kiedy jadący na niej furman zakręci korbę; a każda pozostawia snopy na tej samej linii, prostopadłej do ładu pszennego. Przypomina mi się opowieść o bajecznym smoku, który stepy zorał. Bo jakby olbrzymi wąż opasał niwę i zwolna czołga się dokoła obrusa pszennego. Na jego karku, nad każdym pierścieniem usadowili się śmiałkowie i popędzają leniwe zwierzę. Smok złości się i wypluwa żółte snopy, posuwa się zwolna dalej i dalej, zagina się na skrecie i wywija w powietrzu szawkami-grabiami.

Ów smok pełzający, powtarzające się pierścienie i prążki, trupy snopów, w prawidłowej odległości wyrzucane

całym kopcem, tłumy robotników, krzątających się w polu, dziwnie przemawiają do wyobraźni.

* * *

Nasz wąż przybiera kształty rozmaite. Jedyne poeta ująłby odbierane wrażenie we właściwe wyrazy i udzieliłby ich w całej pełni czytelnikowi. Ale jeżeli zgięty kark kobiety, idącej z sierpem, lub pot, spływający rześście



Żniwiarka w Stanach Zjednoczonych.

z czoła kosarza, znalazły swoich piewców, to natomiast nowoczesne żniwa, dokonywane przy pomocy żelaznych brzytw, uprzątających zboże, żelaznych rąk, wiążących je, i wreszcie żelaznych potworów, co wymłócają ziarno, oczekują swoich poetów, którzyby oddali urok, tkwiący w krajobrazie niezmiernych przestrzeni żółtego morza, smoków je opasujących, mrowiska ludzkiego, poruszającego się na polu. Niepodobna oczu oderwać od zagarnia-

czy — grabi obracających się jednocześnie w kilkudziesięciu miejscach młynkowato. Upstrzony z tej strony białymi centkami, smok płynie i macha skrzydłami, jeszcze dalej perspektywa płacze z sobą i zlewa loty, słońce zaś obsypuje je iskrami. A posuwa się on zlekka przekrzywiony, bo każda następna maszyna ima się swemi zębami zboża o parę kroków głębiej w morzu pszennym.

Pole ma milę kwadratową (miary angielskiej) i dźwiga na sobie, jak wszędzie w północnej Dakocie, pokrycie z jarej pszenicy. Smok pożera je i przerabia na snopy. Obecnie połać pszenna do tego stopnia zmalała, że czołga się on już zgięty raz jeden i drugi, niemal, że obwinął się cały dookoła pola. Tuż przy mnie uwija się z górą setka żniwiarzy, mechanicy pędzą konno to w jedną, to w drugą stronę i głośne dają rozkazy, baterje maszyn iskrzą się na słońcu i uderzają o zboże swojemi ramionami bez liku. Pobojowisko rośnie. Oko biegnie ponad stojącą pszenicą i, jak daleko zasięgnie, nic nie spostrzega, prócz ścierniska z trupami. Błękitnawy całun rozpościera się nad niemi, i im głębiej zapuszczamy wzrok swój w przestrzeni, tym mocniejszej nabiera barwy. Tam, na widnokręgu, ściele się dym czarnym słupem. To pracuje parowa młoc-karnia. Wpatruję się uważniej i spostrzegam parę takich obłoczków, bujających tuż nad ziemią. Wiek pary i wiek żelaza rozpostarł się w rolnictwie! Przyroda pokazuje swoje siły w innym świetle, aniżeli na swojskiej niwie, na której oko ma przed sobą pstrokatą szachownicę drobnych, a różnym zbożem zasianych, pólek i niewielkie gromadki robotników, pracujących przy pomocy pradziadowskiej kosi i sierpa.

I nawet psychologja duszy ludzkiej w takim otoczeniu układać się chyba musi w mozaikę odmiennych stanów i wykwitać innemi ideami.

Nie znam nic rozpaczliwszego nad ponurą melodję hymnu *Dies illa dies irae*. Co za wstrząsająca bojaźń i nie-

zmierzona bezsilność dźwięczą w każdym tonie tego posępnego śpiewu! Hymn ów stanowi, moim zdaniem, i stanowić będzie najwybitniejszy plód artystyczny duszy pierwotnego rolnika, zależnego od zmienności przyrody, wystawionego na jej wybryki, bez środków zapobieżenia klęskom głodu. Przyroda jest tak wszechmocna, a siły człowieka tak nikłe! Potęgi przyrodzone wyrastają na coś potwornie wszechwładnego. Nieustający jęk i rozpaczliwa niemoc bez miary stanowią zasadniczą melodję świętej uroczystości węzów, której przeznaczeniem u plemienia Zuniów jest wyblagać łaskę niebios i dobry urodzaj! Z takiego też źródła wytrysnął śpiew «dnia onego, dnia straszego». Tymczasem, tutaj, na niwach Dakoty, w obliczu tego smoka, na którego karkach usadowili się ludzie, na widok tych niezliczonych snopów, które z siebie wyrzuca pojedyncze ogniwo skreću węzowego, i—elewatorów na widnokregu, co każą domyślać się ukrytej za nimi sieci kolejowej, obawa taka pierzcha. Człowiek jest świadom swojej siły i strząsnął z siebie troskę głodu. Nie lęka się kaprysów przyrody. Wyzuł się z dawnej cierpliwości barbarzyńskiego rolnika, nieodłącznej od kopania ziemi motyką lub broźdzenia jej prostą sochą. Ów dojeżdżacz, który rozsiadł się na fotelu żniwiarki i porze łono ziemi cudackimi pługami parowemi, wydobędzie z swojej duszy różne hymny religijne, lecz w nich nie będzie łkania i rozpaczny «dnia straszego».

L. Krzywicki.

RZEŻNIE W KANSAS CITY.

Kansas City leży w powabnej pagórkowatej okolicy na wysokim prawym brzegu szerokiej żółtej Missouri, która przyjmuje tutaj dopływ Kansas. Wielkie parowce przepływają tu po rzece, a na jej brzegach widać liczne banhofy i gęstą

się szyn kolejowych: niemniej niż trzynaście kolei żelaznych zbiega się tutaj razem. Piękny most żelazny na tysiąc czterysta stóp długi łączy oba brzegi rzeki. Miasto jest brudne, pełne błota i rywalizuje z Chicago i Cincinnati pod względem handlu świniami, tak iż otrzymało miano Porcopolis—świńskiego miasta.

Miasto posiada wielkie rzeźnie, obsługiwane przez trzy maszyny parowe, o sile osiemdziesięciu koni. Świnie wprost z wagonu są wpędzane do rzeźni; jedna za drugą, są mechanicznie chwytane za tylne nogi i wieszane na haku wahadła, które je porywa i przerzuca przez drzwi, za którymi stoi człowiek, zadający im cios śmiertelny; następnie zwierzę zesuwa się w korycie poza drugą bramę, gdzie wpada w wielki basen z wrzącą wodą. Niewidzialne maszyny pędzą je na drugi koniec tej straszliwej wanny, gdzie porywa je koło wodne i rzuca na długi pochyły stół. Tutaj chwytą je inna maszyna, która przez ruch wirowy oczyszcza je ze szczeciny; każda świnia, ześlizgując się dalej wzdłuż stołu, traci głowę, odciętą toporem przez stojącego obok człowieka; za chwilę potym zawisa znów na tylnych nogach; jeden robotnik wyjmuje z niej wnętrzności, drugi obmywa ciało wodą. Następnie zesuwa się po sztabie stalowej, przyczym mechaniczne urządzenie oznacza wagę; stąd dostaje się do lodowni, gdzie pozbawiona grzbietu, zawisa przecięta wzdłuż na dwie połowy. Cały ten proces trwa tak bajecznie krótko, iż przez to traci wiele ze swej okropności. Zwierzę dopiero co kwiczało, pochwycone za tylne nogi, a już po trzydziestu pięciu sekundach wisi w lodowni zimne i sztywne, oczyszczone, podzielone na dwie części, by następnie zmienić się w szynki, boczki i słoninę!

Hesse Wartegg.

DALEKI ZACHÓD.

Wyobraźnia moja ucieka obecnie od śnieżnej białości brzegów angielskich het tam na zachód, przebywa Atlantyk, przerzyna lądy, aż wreszcie zatrzymuje się na owym Far West, któremu po głowie chodzą różne szalone idee. Rozwój tam idzie, jak w bajce królewicz, który przywdział buty-samochody: uczyni krok jeden za ledwie, a już zrobił mil siedem. «Zachód amerykański» zaczął cywilizować się najwyżej od pół wieku. A jednak dzisiaj wyrastają tam grody, które śmiało myślą współzawodniczyć z Chicago. Kapitał, zwolniony od pęt historycznych, w których swoją drogą jęczy w Stanach Nadatlantycznych, postanowił wykazać, do czego jest zdolny w swojej potędze. Jest on tam pierwszym przybyszem i na niezajętej przestrzeni wyprawia harce, do których zbrakło mu gruntu na Wschodzie. Człowiek nie potrzebuje tu zwalać starych budynków i przekształcać dawnych wzorów, które zakrzepły w tej lub innej postaci. Kolej wyprzedza osadnika i od razu rozstrzyga o zaludnieniu; tramwaj powstaje wprzód, niż miasto i zamienia pustkę w wieś olbrzymią. Przewrót jest zwłaszcza ogromny w najrutyniczniejszej gałęzi pracy ludzkiej— w produkcji środków spożywczych. Oglądaliśmy stepy pszenne wzdłuż rzeki Czerwonej, przypatrywaliśmy się widokom lasów owocowych, spotkaliśmy się z zamiarami stworzenia ze stepów jednej olbrzymiej obory, przy którejby się znajdowały rzeźnie, obliczone na spóżywców całego globu ziemskiego. Wzdłuż Pacyfiku kapitalista pobudował «fabryki» zarodku rybiego; Kolorado i Nebraska posiadają folwarki, których przestrzeń stuwłokowa dzieli się na zagrody, ferma zaś hoduje parę dziesiątków tysięcy rasowych merynosów. Bliżej ku nurtowi Missisipi usadowiły się «fabryki» opasowe, folwarki łączne, strusiove, nawet żółwiowe i pszczelnicze!... Jestto

tylko jutrzienka dopiero, zbywa bowiem jeszcze na ludności! I człowiek zjawia się tu z innym obliczem. W ciągu wieków wynosiły się z naszej części świata za morze żywioły energiczne, szukające guza po świecie. Ta dzielność antropologiczna przy braku tradycji historycznej, stworzyła dzisiejszą wielkość Ameryki, t. j. Wschodu Nadatlantyckiego. Z tych terytorjów rozpoczął się dzisiaj odpływ podobny ku Zachodowi. Dobór energii z pośród dokonanego doboru! Już dzisiaj mieszkańcy San Franciska i innych ognisk Zachodu, spoglądają na Wschód macierzysty z poczuciem wyższości. Maluczko, a śmiać się będą ci «zdobywcy świata» z niedołęgów Bostonu i Filadelfji... Tak! — tam na Far West tworzy się nowe ognisko cywilizacyjne, zrodzone pod tchnieniem zapładniającym kapitału, na zupełnym pustkowiu, bez żalu za przeszłością i bez zapowiedzi rutyny, że to brzydkie, a tamto piękne. Ludność jest nawskroś przeniknięta poczuciem, że do niej przyszłość należy. Mowy, jakimi nas raczono w Dakocie, wyrażały wciąż to samo: «wczoraj byliśmy zerem, dzisiaj jesteśmy potęgą — patrzcie na nas! A jutro — poczekajta jeno!» Zarozumiałość jest cechą całego Zachodu amerykańskiego.

Podobna arogancja u osoby pojedynczej byłaby wstrętna, pyszałkowatość narodu, chociaż nie milsza, świadczy, że czuje on w sobie rzeczywiście wielkie siły.

L. Krzywicki.

RELIGIJNE WIERZENIA INDJAN.

Indjanin nie wierzy, ażeby można było zjednać sobie bogów przez dobre postęпки lub ofiary. Jeden bóg, sądzi on, jest dlań dobrze usposobiony, drugi wciąż na niego dybie; człowiek jest tylko bezradną ich ofiarą. Dlatego Indjanin przed każdym przedsięwzięciem usiłuje wybać,

który z tych bogów w danym czasie wziął górę nad drugim, czy więc chwila jest odpowiednia do wykonania przedsięwzięcia. Badania te odbywają się corocznie zapomocą tak zwanego leczniczego tańca, na który zbierają się wszystkie hordy, należące do jednego plemienia. Każde plemię posiada swego wodza-lekarza, który łączy w sobie charakter zarazem kapłana, lekarza i wojownika; jest on prawie równy znaczeniem głównemu wodzowi, podobnie



Kapłan indyjski i lekarz.

jak w dawnych czasach w krajach europejskich, arcybiskupi byli prawie równi panującym. Temu dostojnikowi przypada zaszczyt aranżowania «tańca leczniczego», który zwykle odbywa się na wiosnę; a to z tym celem, ażeby się powiadomić, czy nadchodzący rok będzie pomyślny, czy nie pomyślny dla plemienia.

Zabobony, ujawniające się przy tym okrutnym tańcu, są zarówno śmieszne, jak i przerażające. Taniec ten jest połączony z bardzo skomplikowanymi ceremonjami, wyznaczanymi przez kapłana; wszystkich szczegółów niepodobna opisać; w krótkości przebieg jest następujący. Pewna ilość młodych wojowników, powołanych w tym celu, zbiera się w zbudowanym przez siebie namiocie; muszą oni w ciągu pewnego czasu (od jedne do trzech dni) tańczyć bez wytchnienia wewnątrz zakreślonego koła; jeżeli któryś z tancerzy upadnie ze znużenia, to stojące dookoła kobiety pobudzają go nanowo. Wrzaski, nawoływania, wzburzenie całego plemienia nie dają się opisać — chodzi przecież o to, ażeby tańcem rozstrzygnąć, czy rok przyniesie powodzenia, czy klęski. Wprawdzie wytrwałość młodych tancerzy jest niesłychana, jednakże siły ich zmniejszają się i tylko obawa śmierci w połączeniu z pobudzeniem przez kobiety utrzymuje ich jeszcze. Im bardziej taniec zbliża się do wyznaczonego końca, tym podniecenie staje się bardziej niepowstrzymanym. Jednak wyznaczony termin może nie dobiec do końca, a taniec zostaje przerwany: jeżeli jeden z wojowników umrze przed terminem tańca, znaczy to «złe lekarstwo», nadchodzący rok będzie nieszczęśliwy. To wywołuje żalobę i powszechne zawożenia w obozie. «Namiot leczniczy» ulega spaleni i hordy rozpierzchają się w różne strony, by spędzić rok beczynnje.

Jeżeli jednak naznaczony termin tańca minie, a nikt z tańczących nie umrze, wówczas zapanowuje ogólna radość, gdyż oznacza to dobre lekarstwo; nadchodzący rok przyniesie szczęście, a więc przedsiębiorą się wszelkie wojny, napady, rabunki i kradzieże.

Można sobie wyobrazić, że wojownicy niezbyt się kwapia do udziału w tańcach, ale rozkaz kapłana jest nieodwołalny — nieposłuch znaczy śmierć. Ale na wszystko jest sposób: wojownik powołany do tańca przez kapłana



<http://rcin.org.pl>
Taniec Indjan w maskach.

może go przekupić, i tym sposobem zrzucić z siebie fatalny los na innego uboższego, który nie posiada równie skutecznego talizmanu; a ponieważ kapłani indyjscy są równie czuli na tego rodzaju argumenty, jak urzędnicy tureccy (no—nietylko «indyjscy» i nietylko «tureccy!»), więc można sobie wyobrazić, jak znaczną «świętą» własność gromadzą sobie w «pocie czoła» kapłani «przy pomocy bożej».

Oprócz tego wielkiego «leczniczego tańca», każdy Indjanin urządza dla siebie i swojej rodziny, prawie co tydzień swe własne «lekarstwo» — z rozmaitych drobnych zabobonnych oznak, wnioskuje o szczęściu, lub nieszczęściu nadchodzącego tygodnia, najbliższego polowania i t. d. Najzwyczajsze codzienne wypadki, jak szczekanie psa w pewnej chwili, lot ptaka, owad napotkany na drodze i t. p., są to wszystko mistyczne znaki, które służą Indjaninowi jako wytyczne dla jego zajęć codziennych. Indjanin prócz tego nosi na szyi woreczek skórzany z poświęcaną ziemią, kawałki drzewa, kości lub pióra, które mają mu służyć jako ochrona, podobnie jak u chrześcijan różne relikwie, różańce, u Murzynów fetysze.

Jak już wspomnieliśmy, Indjanin wszelkie nieszczęście, a więc i chorobę przypisuje złemu bóstwu. Wogóle jednak, wśród plemion żyjących zdala od wpływów cywilizacji, choroba jest rzeczą rzadką. Ciągłe przebywanie na świeżym powietrzu, pożywna strawa mięsna i ćwiczenia cielesne czynią Indjanina odpornym na choroby, a rany szybko się goją.

Zresztą Indjanin zna też różne proste, naturalne środki lecznicze, używa nawet łaźni parowej w piecu zbudowanym z kamieni i ziemi.

Największe ofiary pociągają wśród Indjan epidemie, żółta febra, cholera i ospa, największa groza czerwonoskórych mieszkańców prerji. Uchodzą oni z miejsca zarażonego na setki mil; jeżeli któryś padnie znużony, lub do-



Grób indyjski.

tknięty chorobą, wśród drogi, to horda pozostawia go swemu losowi i ucieka gnana przerażeniem.

Według pojęć indyjskich, umarli czy padły w boju,

wstępuje natychmiast w «szczęśliwe knieje myśliwskie» — dostaje się do nieba, by tam żyć wiecznie. Pojęcia Indjanina o tamtym świecie są równie nieokreślone, jak nasze własne. Dlaczego wyobraża on sobie świat drugi i tak, a nieinaczej odmalowywa sobie jego urządzenia — z tego nie zdaje sobie sprawy. Uważa on życie w tych zaświatowych kniejach jako dalszy ciąg życia ziemskiego; śmierć jest przejściem do drugiego świata i każdy wchodzi do nieba w tym stanie, w jakim go zastała śmierć. Starzec, młody wojownik, dziewczyna, dziecko, każdy wstępuje do nieba w tym samym kształcie, w tym samym wieku i w tym samym stadium umysłu, aby zostać na całą wieczność starcem, wojownikiem, dziewczyną, lub dzieckiem. Na tamtym świecie niema żadnego wzrastania, żadnych zmian. Kto w tym życiu był kulawy, ślepy lub stary, ten będzie też takim i w niebie. Jego pragnienia i namiętności pozostaną te same, co za życia; to też życzeniem każdego Indjanina jest umrzeć w sile wieku, w kulminacyjnym punkcie swego życia.

Gdy Indjanin umrze, zabijają jego ulubionego konia, aby go miał na tamtym świecie. Dają mu również do grobu wszystkie rzeczy, których używał za życia: łuk i strzały, strzelbę i pistolet, kołdrę i — garnek do gotowania. Wszystkiego tego będzie potrzebował, gdyż w niebie spotka się z nieprzyjaciołmi i dzikimi zwierzętami, z którymi będzie walczył i na które będzie polował. Będzie on tam szczęśliwy: pozabija i oskalpuje swych wrogów, będzie szczęśliwie polował i t. d. Indjanin jednak nie próbuje objaśnić, co stanie się z duszami nieprzyjaciół, zabijanych w niebie — to pozostawia do rozstrzygnięcia mądrości dobrego boga, gdyż zły niema żadnego wpływu na stosunki tamtego świata.

Dziwną jest wiara Indjanina, że jeżeli zostanie zabity wśród ciemnej nocy, to i na tamtym świecie przez całą wieczność będzie żył w ciemności; jestto wiara, która wyświadczyła

znaczne usługi wojskom amerykańskim w walkach z Indianami. W ten sposób bowiem wojska były zupełnie zabezpieczone od napadów nocnych.

Indianie, podobnie jak wiele ludów dzikich, praktykują zawzięcie krwawą zemstę, to też plemiona indyjskie prowadziły ze sobą straszliwe wojny, które niekiedy kończyły się zupełnym wytępieniem całych plemion.

Miejscem pogrzebu Indian jest ziemia, albo też drzewo, na którego konarach zmarły jest umieszczony w położeniu poziomym. W pobliżu drzewa zabijają ulubionego konia nieboszczyka. Obok trupa składają jego broń i naczynia; przedmioty te leżą całymi miesiącami, a żaden Indianin nie tknie się ich, choćby były najcenniejsze.

Nigdy jednak żaden grób, choćby nawet wodza, nie jest otaczany opieką; ząb czasu i niepogody już w ciągu niewielu lat zacierają wszelkie jego ślady.

Według *Hesse Wartegga*.

W Y M I E R A N I E I N D J A N .

Chociaż ustrój państwowy Stanów Zjednoczonych jest w teorji bardzo humanitarny i pozostawia duże pole swobodzie osobistej, mimo to jednak, ma tu miejsce zastraszające zjawisko: oto Indianie nie mogą się ostać nawet w tak wysoce republikańskim państwie i w okropny sposób znikają z powierzchni ziemi. Niezliczona ilość plemion wymarła już całkowicie — i obecnie ani jedno plemię nie zamieszkuje tych samych okolic, które przodkowie jego zajmowali przed stu laty.

Przyczyny, które sprowadzają te przerażające spustoszenia wśród czerwonoskórych, są następujące:

Dzieci swoje Indianie pozostawiają prawie zupełnie bez opieki i troszczą się o nie tak mało, że te, które nie wyniosły z domu wyjątkowego zdrowia, muszą iść do mo-

giły. Oprócz tego Indjanin karmi się bardzo złą i ciężką strawą, która w dodatku, bywa często niewystarczająca. Wszystkie prawie plemiona odznaczały się niewiarogodną wprost lekkomyślnością, której następstwem był stale powtarzający się fakt, że o ile polowanie się nie powiodło, to wszyscy wydani bywali na pastwę głodu. Indjanin pod tym względem jest, jak dziecko: wesoło i bez troski używa dnia dzisiejszego, nie myśląc zgoła, co będzie jutro.

Nieprzestrzeżenie porządku i brud, oraz lekceważenie chorób i nieznamość środków zaradczych, także dziesiątkują czerwonoskórnych. W nędznych swych wigwamach, są oni wydani na pastwę żywiołów, jak naprzykład zamieci śnieżnej—i wielu z nich pada jej ofiarą. W walce z zarazą, jak naprzykład z ospą, stosują czerwonoskórzy jedynie zmianę miejsca. Gdy jeden z nich zapadnie w chorobę zakaźną, inni pozostawiają go zupełnie bez pomocy, aby uniknąć możliwości zarażenia się. Zdrowi sąsiedzi wijają swe namioty i przenoszą je daleko od chorego.

W wysokim stopniu zabójczym dla Indjan jest używanie wódki, którą czerwonoskórzy nazywają «wodą ognistą» i lubią niepomiernie. Żeby ją zdobyć, oddają oni najcenniejsze i najniezbędniejsze przedmioty. Niewielka ilość tego trunku wystarcza im do zupełnego upicia się; w stanie tym nie są oni jednak gwałtowni i chętni do bójki, tylko nadmiernie czuli. Wśród «czarnonogich» (black-foot) wódka gra nawet wielką rolę przy zawieraniu przyjaźni. Jeden z naocznych świadków opowiadał taką, podpatrzoną z życia, scenę: jakiś Indjanin wziął do ust pewną ilość wódki, objął swojego współplemieńca i wypuł mu w usta umiłowany nektar, dając mu tym dowód największej przyjaźni. Na kongresie 9 lipca 1832 roku, wydane zostało prawo, zabraniające białym sprzedawania wódki Indjanom — ale prawo to, jak wiele innych, pozostało tylko na papierze—i Indjanie w dalszym ciągu korzystają z tego jedyne go daru nowoczesnej kultury.

Jeszcze jedną przyczyną gwałtownego wymierania czerwonoskórych — bez porównania ważniejszą, niż bitwy, staczone pomiędzy oddzielnymi plemionami, są ich bezustanne zatargi z białymi zaborcami. Rząd amerykański traktuje wprawdzie Indjan, jako samodzielny naród, który nie podlega żadnej władzy i rządzi się własnymi prawami; ale zabrawszy im ziemię, pozbawia ich jeszcze prawa głosu i innych praw obywatelskich. Nie zbiera z nich za to podatków — ale i z czegoby je zbierał?

Zawiera on z czerwonoskórymi traktaty, które, aby posiadały wartość, muszą być potwierdzone przez senat; zrywanie tych układów przez Indjan, oraz fakt, że godzą oni często na mienie i życie znienawidzonych «białych twarzy», dają mu sposobność do groźnego występowania przeciwko nim.

Większość ludności, zamieszkującej Stany Zjednoczone, wypowiada się obecnie przeciwko takiemu stanowi rzeczy i żąda, aby pozostawiona Indjanom samodzielność była im odjęta. Krok ku temu już uczyniono. Gdy, wskutek konieczności połączenia ze sobą oddalonych okolic państwa, zaczęto budować koleje, nikt się już nie pytał Indjan, czy pozwolą oni, czy nie, przeprowadzić je przez swoje grunty. Uważano za niedorzeczność liczenie się z prawami półdzikiego narodu wobec szkód, jakie te prawa mogłyby wyrządzić reszcie ludności. «Z taką samą słusnością» głosił artykuł, pomieszczony w jednym z pism, wychodzących w Illinois, — aligatory mogłyby się uważać za prawowitych właścicieli Mississipi i żądać ofiar z ludzi za to, że nie będą pożerały innych.

Faktem jest, że Amerykanie i Indjanie nie mogą żyć obok i bezustanku napadają na siebie wzajemnie, gdyż czerwonoskórzy, jako naród koczowniczy, nie umieją uwzględnić żadnych potrzeb życia osiadłego. Stąd ciągłe zatargi i walki z białymi, którzy jako przepłukiwacze złota, mącą im wody i przeszkadzają w rybołówstwie, jako

koloniści wdzierają się w granice ich łowów, sami polują i wreszcie wycinają nawet lasy. Na taki stan rzeczy nie mogą nic poradzić ani jedni, ani drudzy. Ale biali mają po swojej stronie potęgę cywilizacji—dzięki czemu prastara ludność amerykańska w przeciągu krótkiego czasu zniknie z powierzchni ziemi, a pozostałe jej resztki rozpląną się w olbrzymiej masie zaborców.

Według *Th. Kirchhoffa*.

PARK NARODOWY, CZYLI KRAINA CUDÓW.

W naszym pojęciu «park» jestto, jak wiadomo, ogród, w którym obszary trawiaste zmieniają się harmonijnie z grupami drzew. Pojęcie «parku» w górach Skalistych Ameryki jest zupełnie inne; parkami nazywają tam wyżynowe zaklęśnięcia między równoległymi łańcuchami gór, na 2000 do 8000 m. wzniesione, po większej części porośnięte lasem pierwotnym i dające początek rzekom. Takim parkiem jest Park Narodowy.

Park Narodowy, rozciągający się na 100 km. wzdłuż, a 60 km. wszerz, leży średnio na wysokości 2400 m., wysokości tej dosięgnął on jednak dopiero w czasie stosunkowo niedawnym; przedtem leżał o 500—600 m. niżej i składał się podobnie, jak i otaczające go góry z warstw formacji archaicznych, paleozoicznych i mesozoicznych. Ale w epoce trzeciorzędowej wylały się z licznych szpar niezmierne masy lawy, które wypełniły kotlinę do wysokości 500—600 metrów i utworzyły ogniste jezioro, które przelewało się przez obniżenia w górach, otaczających kotlinę. Grunt kotliny więc składa się wszędzie z zastygłej lawy; nigdzie, nawet w najgłębszych wąwozach potoków, erozja nie dosięgnęła do podłoża lawy. Zastygająca lawa przyjęła w części budowę szklaną; w niektórych miejscach grunt jest usiany ostremi skorupami ciemnozie-

lonego szkła, «tak jakby tu odbywały się wielkie uczty, na których tłuczono butelki szampana».

Jeżeli gdzie, to w dziejach Parku Narodowego sprawdza się przysłowie, że «przeciwieństwa się stykają»; po zalewie kotliny ognistopłynną lawą, nastąpił zalew lodowcowy, którego świadectwem są liczne moreny i głazy erratyczne. Szczątkami tego olbrzymiego zlodowacenia są nieznaczne obecne lodowce na górach, otaczających Park Narodowy.

W tej olbrzymiej wyżynie lawy liczne rzeki wytworzyły sobie głębokie doliny. Główną rzeką Parku Narodowego jest Yellowstone, która kieruje się na północ do Missouri i z nią do Mississipi. Płynąca na południe Snake River, toruje sobie drogę do rzeki Kolumbji, do oceanu Wielkiego. Wielki kontynentalny dział wodny między oceanem Wielkim i Atlantyckim, manifestuje się tu zaledwie dostrzegalnym wzniesieniem gruntu.

Gdzie doliny rzek rozszerzają się i gdzie spływają do nich wody źródeł gorących, tam rozciągają się obszary trawiaste, poprzerywane kałużami i bagnami. Ich słaba warstwa darni pokrywa utworzoną przez okrzemki zielonawoszarą masę błotnistą, na 3—6 stóp głęboką, która na obeschłych skrajach tych bagien przyjmuje barwę śnieżnobiałą. Ze wszystkich dolin Parku, dolina Yellowstone odznacza się największą krajobrazową pięknnością. Rzeka ta wypływa z jeziora tegoż nazwiska (Yellowstone Lake), które jest prawdziwym klejnotem gór Skalistych; jestto jedno z najwyższych i największych jezior alpejskich; leży ono na wysokości prawie 2400 m., a przewyższa wielkością Lago Maggiore. Zwierciadlana jego powierzchnia odbija czysty błękit nieba, zabarwiając się u wybrzeży szmaragdowo.

Gęsty, ponury las iglasty zstępuje aż do jego wybrzeża; szczyty drzew odbijają się w zwierciadle tego jeziora, równie jak szczyty gór, tonące w błękitnofioletowej mgłę.

Na ławach piaszczystych i skałach jeziora stoją przeważnie pelikany, czatując na ryby, a orły zataczają kręgi nad jego zwierciadłem.

Opuściwszy jezioro, rzeka wije się tu pośród nagich, czarnych skał lawy, pośród ponurych lasów, lub zielonych obszarów łąkowych. Dolina jej coraz się zwęża, rzeka wrzyna się coraz głębiej; podróżnik, idący po dnie doliny, widzi strome ściany skaliste, coraz wyżej piętrzące się nad jego głową; nagle huczący szum dobiega jego ucha — to rzeka spada z pionowej ściany na 100 m. wysokiej, a więc dwa razy wyższej, niż słynna Niagara. Yellowstone rzuca się do głębokiego wąwozu, o ścianach poszarpanych, często pionowych, które uderzają nasze oko wspaniałością barw; pasy i plamy pomarańczowe, cytrynowe, ogniste, zielone, brunatne i białe zmieniają się nie w ściśle ograniczonych linjach, lecz przechodząc łagodnie tonami pośrednimi. Ta cała wspaniałość barw jest rezultatem nie różnych formacji, jak w kanjonie Kolorado, lecz chemicznego rozkładu law przez wulkaniczne pary i gazy, które i obecnie wybuchają z dna przepaści i ujawniają się na dalekiej przestrzeni obłoczkami, unoszącemi się w czystym powietrzu.

Większa część Parku jest pokryta lasem pierwotnym, przeważnie iglastym; tu i owdzie sterczą pnie zwęglone bez gałęzi, świadczące o pożarze; to znów — pnie szare i zbielałe, pozbawione życia przez wodę źródeł gorących. Te to ostatnie głównie czynią z Parku Narodowego «krajem cudów».

Jakże różnorodnym jest ogół zjawisk objętych pod nazwą źródeł gorących. Raz są to rzeczywiście, jak głosi nazwa, źródła wody wrzącej, gdzieindziej są to wrzące fontanny, lub wrzące wodozbiory, to znów wybuchy pary, olbrzymie kotły z gotującym się błotem, wreszcie prawdziwe gejzery, to jest źródła, wyrzucające perjodycznie strumienie wrzącej wody na setki stóp wysoko. Liczą nie mniej, niż 7000 źródeł gorących w Parku Narodowym,

a wśród nich 84 giejzerów. Każde z tych źródeł oznacza punkt swego wyjścia z głębin ziemi mniej lub więcej misterną budową, wzniesioną z osadów tych materiałów, które woda, cyrkulując pod ziemią, zabrała tamtejszym skałom.

Najwspanialszą z tych budowli są tarasy źródeł Mamuta. Wypełniają one dolinę jak śnieżnobiały, lśniący



Tarasy gorących źródeł.

lodowiec, lub jak kaskada, zmieniona w alabaster. Jest tu osiem tarasów zbudowanych z białego tufu wapiennego; na platformach tarasów są źródła gorące; każde z nich tworzy okrągłe lub owalne zagłębienie, napełnione wodą czystą, jak kryształ, która stosownie do głębokości źródła, błyszczy barwą ciemnoniebieską lub szmaragdową. Środek źródła wre i wydziela obłoki pary. Ku obwodowi źródła

występuje naprzód barwa pomarańczowa, potem czerwona, wreszcie oliwkowozielona, tak, iż te wrzące baseny, rozpatrywane z wyższego tarasu, błyszczą trzema koncentrycznymi barwami.

Ze źródeł tych wypływają liczne nici wodne i przelewają się przez pionowe, a nawet zwisłe, krawędzie tarasu, aby tam wydzielić wapien, wyniesiony z głębin ziemi i wytworzyć misterne formy stalaktytów, które bądź zwieszają się z krawędzi tarasu nakształt sopli lodowych, bądź tworzą liczne kolumny galerji, ciągnącej się wzdłuż tarasu; to znowu zdobią krawędź tarasu niby frendzle i koronki. Wszystkie te utwory błyszczą w promieniach słońca białością śniegu.

Żar wulkaniczny nietylko wodę przyprowadza do stanu wrzenia, ale w wielu miejscach gotuje się błoto. Zjawisko to we wspaniale groźnej formie przedstawia Mud Geyzir, na lewym zboczu doliny Yellowstone; w naturalnym szachcie ukośnie zagłębionym w zbocze, wre tu szare błoto, wznosi się kłębami, pęcherze pary wydobywają się na powierzchnię z tej piekielnej otchłani i rozrzucają z łoskotem strzępy błota. Za ten przykry widok wynagradzają nas sownice tak zwane Point Pots nad Firchole Creck. Jeden z tych «barwnych garnczków» jest napełniony błotem śnieżnobiałym lub brunatnym - i wszystkie te garnczki wrac, kłębią się i wydzielają pęcherze gazów, które rozbryzgują błoto różnobarwnymi strzępami. Ale wszystkie te zjawiska ustępują wspaniałością giejzerom.

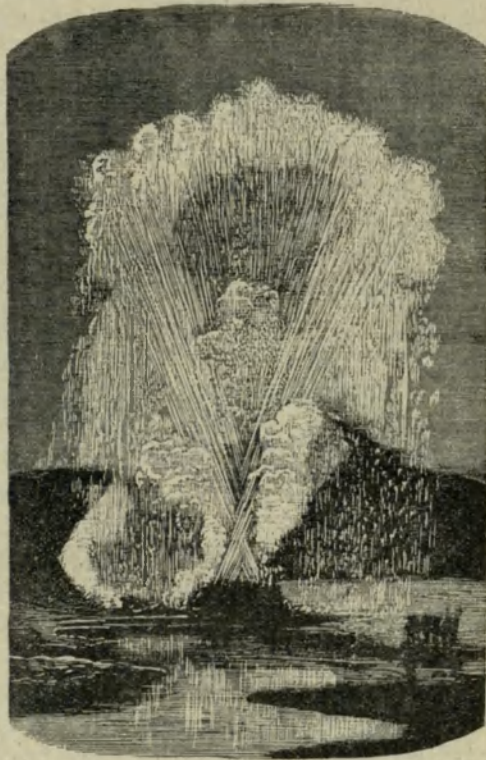
Idąc ku południowi od powyższej okolicy, pierwszym giejzerem, jaki spotykamy, jest Wierny, tak zwany dlatego, że od chwili odkrycia przed dwudziestu przeszło laty, «spełniał swój obowiązek» tak punktualnie, jak zegarek, wybuchając co każde 65 minut; z szumem wznosi się prosto, jak świeca otoczona parą, kolumna wody wrzącej, spienionej do wysokości 50 m. i szybko spada napowrót do otchłani, która ją wyrzuciła. To nagłe ujawnienie się siły

tajemniczej, to ukazywanie się i znikanie zjawiska na podobieństwo widma, czyni na widzu potężne wrażenie, nie dające się opisać.

Jeszcze większe wrażenie robi inny giejzer, Fountain Geysir: w głębi basenu tufowego, około 30 stóp w średnicy, wre woda i

wznosi się zwolna do góry; w ciągu ośmiu godzin poziom jej dosięga krawędzi basenu i wtedy następuje wybuch; nie jestto jednolita kolumna wody, wznosząca się pionowo, jestto system 10 lub 12 strumieni, ukośnie względem siebie bijących i przecinających się; jestto prawdziwa walka w r z ą c y c h strumieni, w której to jeden, to drugi zwycięża towarzysza i wypiera go z pierwotnej drogi. Na

chwilę obłoki pary zakrywają pole walki; po ich zniknięciu już inne strumienie odniosły zwycięstwo, aby wnet znów ustąpić miejsca swoim rywalom—prawdziwa walka Tytanów!



Giejzer wachlarzowy.

Najstraszniejszy ze wszystkich giejzerów, Excelsior, od pewnego czasu zaprzestał wybuchów. Wybuchy jego były poprzedzane przez trzęsienie ziemi i łoskot podziemny, który zagłuszał słowa; następnie wznosiła się kolumna wody olbrzymich rozmiarów, bo trzymająca 8 metrów w średnicy, a 100 m. wysokości; przytym pokrywająca ją kolumna pary wznosiła się przeszło na 300 m. i rozszerzała się w górę nakształt pinji.

Teraz — mówi Credner — łatwo zrozumiemy, dlaczego krainę tę nad Yellowstone nazwano «krainą cudów».

Drugą nazwę, Parku Narodowego, otrzymała ona z tego powodu, iż rząd Stanów Zjednoczonych wziął ją pod swą opiekę, w celu utrzymania jej pierwotnego charakteru; nie wolno tu ścinać drzew, nie wolno polować, nie wolno nosić tu strzelby ani rewolweru. Nie wolno szpeciść wspaniałych utworów stalaktytowych odłamywaniem kawałków na pamiątkę, lub zapisywaniem na nich imion.

Nie wolno zakładać restauracji, ani wznosić budowli; istnieje tylko siedem hoteli pod jednym zarządem. Trzy oddziały kawalerji obozują tu w namiotach i przebiegają kraj w patrolach, pilnując, aby rozporządzenia powyższe były spełniane.

Ale i turyści wiedzą tu często niezależne od owych hoteli, życie obozowe, nomadyczne; rodzina, która chce dłużej używać przyjemności Parku, najmuje jeden lub dwa wozy, naładowyywa je namiotami, oraz zapasami żywności i zagłębia się w puszcze. W miejscu bardziej malowniczym, lub tam, gdzie rzeka daje sposobność połowu ryb (gdyż ten jest dozwolony), a gorące źródło dostarcza wrzącej wody, podróżni zatrzymują się, zakładają obóz i przebywają tak długo, póki potrzeba zmiany nie skłoni ich do szukania innego miejsca. Ale to rozkoszowanie się przyrodą jest dość krótkie; już we wrześniu zaczynają się tu srożyć zamiecie śnieżne; ludzie uchodzą, gruby całun śniegu zaściela wyżynę, krajobraz obleka martwota. Lecz

wśród tej martwoty śnieżnej i lodowej, rozlega się rytmiczny szum wrzących giejzerów: «niezależnie od ciepła letniego, od promieni słońca, panującego nad wszystkim, co śmiertelne, są one wysłańcami wiecznego żaru, drzemiącego w tajemniczych głębinach naszego globu».

Według *H. Crednera*.

DRZEWA OLBRZYMY KALIFORNJI I ICH LOSY.

Stan Kalifornja posiada w swych rozległych lasach drzewa-olbrzymy, wprawiające widza w zdumienie.

Miejsce występowania tych drzew jest dziś już dość ograniczone. Większość rozproszonych obszarów leśnych, w których te drzewa-olbrzymy utrzymały się jeszcze, stanowią posiadłość prywatną i dlatego grozi im szybkie wyniszczenie. Obecnie (r. 1902) czynnych jest 42 towarzystwa eksploatawania lasów, które pracują bez przerwy nad zmniejszaniem ilości drzew-olbrzymów. Najwspanialsze okazy tych ginących drzew-mamutów znajdują się na zachodnich stokach Sierra Nevady, między American River i źródłami Deer Creek — pas, ciągnący się mniej więcej na 260 mil angielskich.

Kora tych kolosalnych drzew jest twarda, jak kamień, zadziwiająco odporna na ogień, koloru brunatnego; wydaje się jakgdyby masa jej była nasycona jakimś płynem chemicznym w celu zabezpieczenia jej od ognia. Tylko drzazgi drobne, jak zapalki, szybko zajmują się od ognia. Ażeby polano grubości ręki spopielić, potrzeba poddać je wielogodzinnemu działaniu żaru pieca kowalskiego. Przeciwnie wszelkiemu robactwu kora, a także i drzewo, zdają się być zupełnie zabezpieczone. Nie udało mi się znaleźć, — mówi pewien podróżnik, — ani w korze ani w drzewie, jakichkolwiek śladów niszczącego wpływu robactwa i tylko w głębokich brózdach kory, gdzie dzięki nagroma-

dzeniu pyłu utrzymuje się wilgoć, znalazłem słabe zaczątki tworzenia się porostów, które jednak osiedlają się raczej na wilgotnym pyłe, niż na właściwej korze.

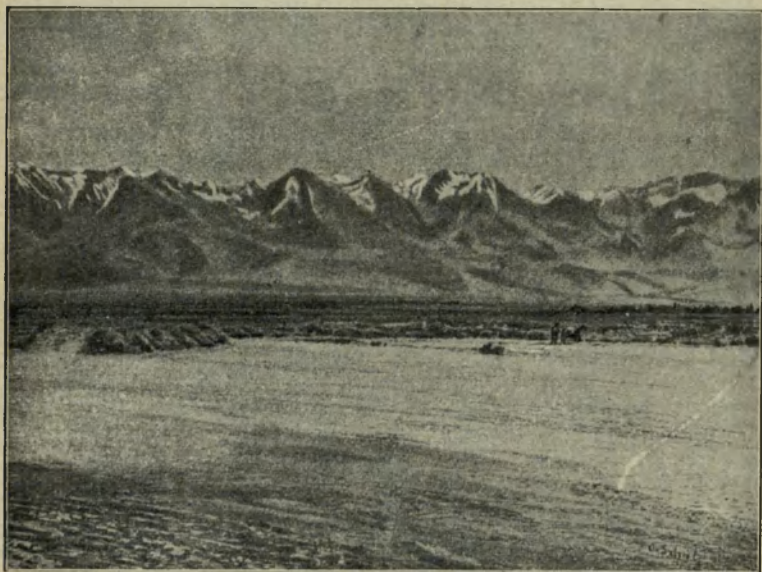


Drzewo mamutowe (*Sequoia gigantea*).

świeżych przekrojach dadzą się łatwo policzyć. Z wielokrotnie przedsiębranych obliczeń na wiek tych olbrzymów wypada 500 do 9000 lat—istniały więc one już przed tak zwanym «stworzeniem świata».

Samo drzewo jest, rzecz dziwna, lekkie, miękkie i dość kruche; jednakże, zarówno nad, jak i pod ziemią, jest niezmiernie odporne na gnicie. Znalazłem trociny, które widocznie przez całe lata opierały się wszelkim wpływom zmian pogody. W drobnych kawałkach zamiast oczekiwanego butwienia, znalazłem wyraźne początki kamienienia. Właściwa barwa wnętrza drzewnego jest brunatno-czerwona, jasna; w częściach powierzchniowych na powietrzu barwa ta szybko ciemnieje i staje się wkońcu ciemno-wisniową, podobną do starego mahoni. Pierścienie roczne są bardzo wyraźne i zwłaszcza na

Trudno sobie wyobrazić, jak wielkiej pracy potrzeba dla ścięcia jednego takiego drzewa; ani siekiera, ani piła nic tu nie poradzi. Trzeba w tym celu używać świdra: dokoła pnia otwory świdrowe biegną koncentrycznie; świdry są wprowadzane w ruch zapomocą motorów parowych, przyczym nie mogą robić więcej obrotów nad dziesięć na minutę — inaczej świdry się łamią. Gdy już wszystkie



Sierra Newada w Kalifornji od wschołu.

otwory świdrowe są ukończone, co wymaga czasu kilku tygodni, wtedy dopiero można przystąpić do zwalania drzewa. Tak naprzykład nad jednym z takich olbrzymów, zwanym «Old Hercules», pracowało pięciu ludzi przez 37 dni dla podcięcia drzewa, a następnie użyto pięć dni na wbijanie klinów z jednej strony pnia, ażeby dać drzewu potrzebną przewagę dla zwalenia się. Kliny te, grube na

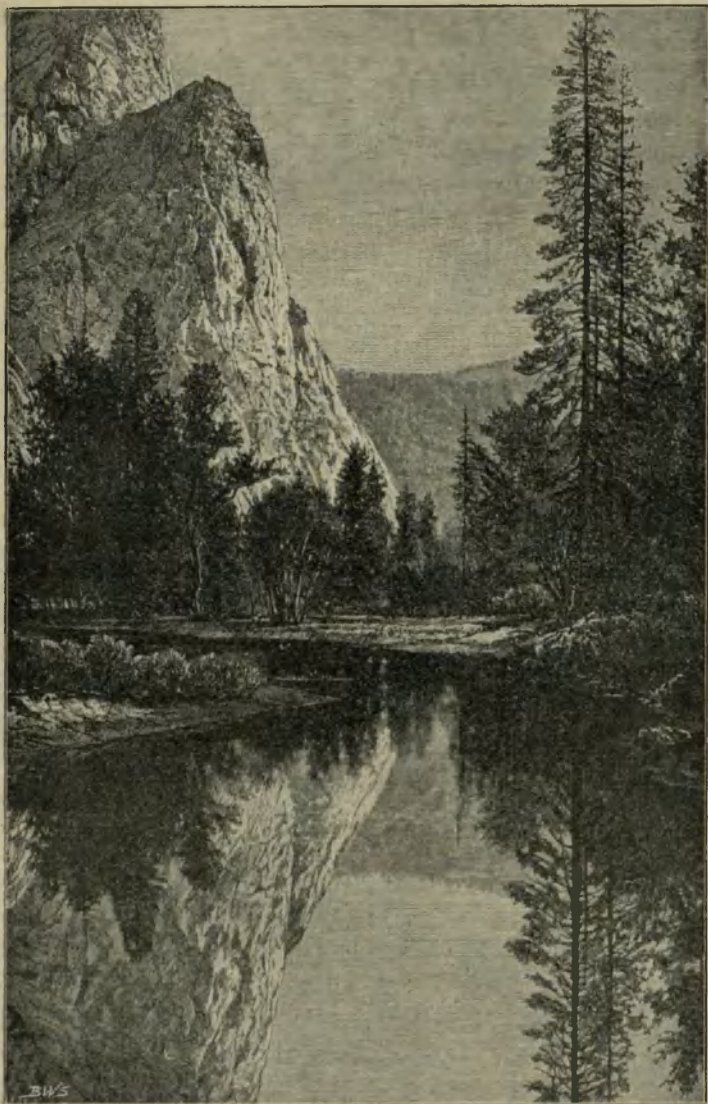
przeszło pół metra, miały ostrza żelazne. Wbijanie tych klinów uskuteczniano zapomocą kłoców, zawieszonych na żelaznych łańcuchach i rozbujanych silnie. Nawet po wbiciu 24 takich klinów olbrzym stał nieporuszony i pra-



cownikzy zwątpili już wogóle o możliwości jego zwalenia. Użycie materiałowy buchowych mogłoby wprowadzić pożądaný skutek, ale też i uszkodzić drzewo; niezdecydowano się więc na to. Cóż się tedy stało?— gdy robotnicy siedli pod namiotem, by się posilić, powiał nagle lekki wiatr, na który nie zwróconouwagi. Tymczasem w poniosł się szum,

Przekop kolei żelaznej Oceanu Spokojnego w Kordyljerach.

jakgdyby zbliżała się burza gradowa lub z tuzin pośpiesznych pociągów. Jeden z robotników wypadł z namiotu, aby zobaczyć, co się dzieje, lecz nagle powrócił błąd, jak chusta, wołając na towarzyszy, by uciekali co tchu--Old Hercules



Jeziro zwierciadlane w Kalifornji (Dolina Yosemite).

<http://rcin.org.pl>

wywraca się i wprost na namiot! Uciekający robotnicy przebiegli około 150 jardów od niebezpiecznego miejsca i jeszcze dopiero po upływie minuty korona upadającego olbrzyma dotknęła ziemi. Skutki upadku były straszliwe: w promieniu pół mili angielskiej grunt zadrżał, jak przy trzęsieniu ziemi, namiot robotników został zmiążdżony, 174 drzewa około metra w średnicy, zostały zamienione w drzażgi. Powstał wśród lasu obszar pusty, pokryty przez koronę i pień olbrzyma. Pień jego od powierzchni ścięcia do wierzchołka miał 107 metrów długości, obwód zaś u spodu wynosił 71 metrów. Grubość kory na wysokości trzech stóp od przekroju wynosiła półtora metra.

Inny, nieco mniejszy olbrzym, zwany Arką Noego, zwalony przez burzę, jest wewnątrz na długość 49 metrów pusty; do tego tunelu może wjechać trzech jeźdźców rzędem na odległość 18 metrów, dwóch — na odległość 24 metrów, jeden na odległość 27. W również zwalonym przez burzę «Tre of refuge» znalazło schronienie 34 sztuk bydła w czasie zamieci śnieżnej.

Na pniu jednego ze ściętych olbrzymów pewien farmer urządził bal, w którym wzięło udział 32 pary i 17-tu muzykantów; wszystkie te osoby znalazły dość miejsca na tej płaszczyźnie, która na wysokości 1,8 metra ma około 12,5 metra średnicy. Obecnie zbudowano na niej piękny pawilon, który zdala wygląda, jak budowla na «drewnianej skale». Drzewo, należące do tego pnia, miało 124 metry wysokości i posiadało u spodu 14 metrów średnicy, nie licząc kory, blisko na metr grubiej. Drzewo to miało osobliwe losy: kilku Anglików, przybywszy tutaj z San Francisco, kazało zdjąć ze stojącego drzewa korę do wysokości 9 metrów; z kory tej, przewiezionej do Anglii, zbudowano salę balową, która w czasie spalania się Pałacu Kryształowego stała się również pastwą płomieni. Po stracie swej kory, kolos obumarł; ale nawet jego nagie konary wywierały wspaniałe wrażenie.

KANJONY RZEKI KOLORADO.

Kanjony rzeki Kolorado, to jest głębokie i wąskie doliny, których dna nie mogą czasem dosięgnąć ukośnie padające promienie słoneczne, były nieraz zwiedzane i opisywane przez podróżników; ale nikt nie dał tak mistrzowskiego ich obrazu, jak znany lipski geolog Credner, który zwiedził je niedawno i który z głębokim naukowym rozumieniem zjawiska łączy wielką wrażliwość na estetyczną stronę przyrody.

Wyżyna Kolorado, w przeciwieństwie do sfałdowanych, spiętrzonych ograniczających ją Kordyljerów, składa się z warstw wszystkich prawie formacji, leżących poziomo; warstwy te uległy tylko licznym pęknięciom, które je pokrajały na oddzielne pola; pola te poobsuwały się pionowo na różną głębokość, przez co powierzchnia, pierwotnie równa, ułożyła się tarasowato; przyczym poziome położenie warstw nie zostało naruszone. Tarasy te, zwane mesas, spadają ścianami na kilkaset metrów wysokimi, na których odsłonięte poziome smugi różnych warstw, błyszczą w promieniach słońca najrozmaitszemi barwami. Przez pęknięcia warstw wylały się masy ognistopłynne, tworząc stożki lub płaskie pokrywy.

Cała ta wyżyna, mimo wielkiego obszaru, należy do zlewiska jednej tylko rzeki Kolorado. Rzeka ta całą masę swych wód otrzymuje z gór Skalistych, ograniczających wyżynę od północowschodu; zresztą w swym biegu, podobnie jak Nil, nie przyjmuje prawie żadnego zasiłku wodnego, toruje sobie jednak drogę do zatoki Kalifornijskiej przez piekłą, bezwodną pustynię. Dzięki właśnie takim stosunkom klimatycznym (a: poczęści i poziomemu położeniu warstw), rzeka Kolorado wyżłobiła sobie dolinę kanjonową, to jest o stromych zboczach i ostrych krawędziach; w razie bowiem obfitych deszczów, krawędzie te uległyby

spłukaniu i powstałaby dolina o kształtach łagodnych. Z kanjonem głównym łączą się liczne kanjony poboczne, utworzone przez rzeki, które niegdyś wlewały się do Kolorado, a obecnie wyschły.

Kanjony te tworzą system nadzwyczaj rozgałęziony, chaotyczny, czyniąc płaską wyżynę Kolorado bardziej bezdrożną, niż wiele okolic górskich. Pod stopami jeźdźca, przebiegającego ten kraj, otwiera się często ziejąca otchłań; wyżyna spada stromą ścianą w niedojrzaną głąb, a po przeciwnej stronie przepaści równie stromo wystercza ku niemu naga ściana skalista; między obu ścianami wiję się kanjon jednak nieprzebyty, czy sięga wgłąb na tysiące, czy tylko na setki stóp.

Ściany kanjonu nie posiadają szaty roślinnej, — tylko w miejscach szczególnie zabezpieczonych, w niszach i na platformach tarasów, usadowiły się rośliny kolczaste i karłowate drzewa szpilkowe. Za to ubóstwo szaty roślinnej wynagradza piękne zabarwienie skał: czerwienią cynobru, bronzem, purpurą, barwami szaremi i żółtymi błyszczą poziome warstwy skalne, w które werżnęła się rzeka i z których wymodelowane zostały mesas wraz z ich wybiegającymi naprzód przyładkami, sterczącymi jakby ruiny zamków olbrzymich. W barwnym urozmaiceniu ciągną się różne poziome wstęgi wzdłuż ścian wąwozów niezgłębianych i w tym samym porządku powtarzają się w wielkim oddaleniu na słupach skalnych, sterczących wśród płaskiej wyżyny i na ścianach mesas, oblanych jaskrawymi promieniami południowego słońca, owianych przezroczystym, suchym powietrzem pustyni.

Po tym ogólnym rzucie oka na charakter wyżyny Kolorado, Credner tak opisuje swą podróż przez tę pustynię do Wielkiego Kanjonu.

Jak daleko zasięgnąć okiem, wszędzie pustynia; skąpa roślinność trawiasta występuje tylko rzadkimi pęczkami, pośród których przeziiera grunt nagi, gliniasty lub piasz-



Kanjon Kolorado z lotu ptaka.

<http://rcin.org.pl>

czysty. Po większej części jestto trawa bawola, zwana tak dlatego, że stanowiła dawniej główne pożywienie wytępionych już tutaj bawołów. Każdy pęczek trawy daje ochronę luźnemu gruntowi od wiatru i wskutek tego rośnie na postumencie wyniesionym ponad wywiany nagi grunt okoliczny. Ponad temi jednostajnymi obszarami napół wyschłych pęczków trawy, wznoszą tu i owdzie rośliny kaktusowe swe kątowate kolczaste ramiona.

Tej monotonji roślinnej odpowiada zwierzęca: najbardziej rzucającym się w oczy śladem życia zwierzęcego są tu liczne mrowiska, różniące się od naszych, kopułowych, swym bardzo prawidłowym kształtem szpiczasto stożkowym. Z samych zaś zwierząt najczęściej daje się widzieć pies prerjowy, rodzaj chomika, zwierzątko bardzo zabawne. Buduje ono sobie w ziemi cylindrowe pionowe otwory, które ku dołowi rozszerzają się i rozgałęziają poziomo.

Za zbliżeniem się podróżnika, każde zwierzątko śpieszy do otworu swej nory, staje na tylnych łapkach, trzymając przednie skrzyżowane na piersiach, przypatruje się uważnie przybyszowi i nagle, wyróciwszy koziółka, znika w ziemi. Ponieważ zwierzątka te żyją towarzysko tuzinami i ruchy powyższe wykonywują jednocześnie, jakby na komendę, przedstawia to więc nad wyraz komiczny widok, zwłaszcza w chwili, gdy wszystkie razem zwracają ku podróżnikowi swe tyły o krótkich ogonkach. W miejsce przebiegających tu dawniej antylop i bawołów, napotyka się obecnie wielkie stada zdziczałego bydła, liczące 20000 do 30000 sztuk.

To też wzdłuż linii kolei żelaznej leżą setki zwłok bydła, zabitego przez pędzące pociągi, niekiedy zaś widać sztuki zranione, pogruchotane, walczące ze śmiercią. Tamtejsze towarzystwo kolejowe wypłaca miesięcznie 3 do 4000 dolarów odszkodowania za zabite bydło, chociaż cena sztuki wynosi tam tylko 15—20 dolarów.

Na wyniosłościach siedzą stadami kruki; ich czarne postacie odrzynają się ostro od brunatno-żółtawego tła pustyni. Wszystkie one mają dzioby zwrócone ku wiatrowi: wietrzą zdobycz, przygotowaną przez kolej.

Jedyną korzyścią, jaką Stany Zjednoczone ciągną z pustynno stepowej wyżyny Kolorado, jest hodowla bydła, które pozostawione całkowicie na swobodzie, żywi się przeważnie trawą bawolą. Bydło to, pominawszy fatalne spot-



Kanjon rzeki Kolorado.

kania z pociągami kolei, tylko dwa razy do roku spotyka się z przedstawicielami cywilizacji; na wiosnę spędzają je razem, by nowemu pokoleniu wypalić lub wyrznąć na uszach znaki właścicieli; daleko niebezpieczniejsze jest w jesieni spotkanie z cowbojami, którzy wybierają sztuki trzechletnie na wypas i rzeź.

Główną ozdobę pustyni Kolorado stanowią mesas.

Powstały one, bądź, jak już wspomniano, wskutek zapadnięć, bądź stanowią szczątki zaoszczędzone (np. wskutek pokrycia skorupą stężałej lawy) od splukania. Niektóre z tych samotnie stojących szczątków całych formacji są dość jednostajnymi górami stołowymi, w kształcie olbrzymich skrzyń lub trumien; inne znów uległy silnemu poszczerbieniu, przedstawiają bardzo urozmaicone, fantastyczne kształty obelisków, kościołów, zamków i bastjonów.

Przybycie do głównego celu podróży, Wielkiego Kanjonu, Credner tak opisuje:

Wczesnym rankiem przebyliśmy szybko smugę lasu iglastego, urywa on się nagle i naszym oczom ukazuje się najstraszniejszy z cudów natury na ziemi! Trzeba pewnego czasu, by, opanowawszy wrażenie grozy, móc się poddać w całej pełni wrażeniu wspaniałego piękna. Na parę kroków przed nami odsłania się dziko poszarpany system przepaści — to Wielki Kanjon (Grand Kanon) rzeki Kolorado. Więcej, niż na 1600 m. spadają jego ściany wgląd do zwierciadła rzeki, która wije się na dnie wąwozu, podobna do szarej nici, i po drugiej stronie wznoszą się znowu z tą samą stromością i tak samo ostro ucięte prostolinijną, poziomą krawędzią, jak po naszej stronie. Poza tą krawędzią ciągnie się płaska powierzchnia wyżyny w odległą dal, ograniczoną przez stromy biały spadek mesy. Między obu krawędziami wyżyny ciągnie się ziejąca przepaść kanjonu, tutaj na 20 kil. szeroka.

Błędem byłoby wyobrażać sobie Grand Kanon, jako zwyczajny wielki wąwóz. Jak się ma katedra medjolańska z jej niezliczonymi ostremi wieżyczkami, ze swemi szeregami kolumn i setkami posągów do prostego domku w małym miasteczku,—tak się ma Grand Kanon do zwyczajnego wąwozu. Główne wrażenie wywiera przede wszystkim jego przeciwległy stromy upadek. Nie jestto bynajmniej gładka olbrzymia ściana, lecz labirynt skał

dziwacznie poszarpanych, pełen wąwozów, zagłębień amfiteatralnych, pomiędzy którymi wybiegają ku środkowi kanjonu skaliste przyłądki w formie bastjonów, wież, poszczerbionych murów, olbrzymich kopuł, platform i zrzuconych pałaców. Wszystkie te przyłądki są obstawione słupami, palisadami i igłami, ostremi piramidami i kłocami, które wznoszą się nieraz na kilka tysięcy stóp wysoko. Takież samo skomplikowane wymodelowanie powtarza się na tej ścianie kanjonu, nad której my stoimy i to w ten sposób, że od każdej ściany przyłądki wybiegają ku środkowi kanjonu naprzemian. Wskutek tego cała prawie szerokość kanjonu jest wypełniona labiryntem skał dziko poszarpanych.

I wszystko to, choć pozbawione szaty roślinnej, błyszczący najrozmaitszemi barwami, albowiem każda serja warstw paleozoicznych, z których zbudowana jest wyżyna i które zostały odsłonięte przez system wąwozów, posiada swą osobną właściwą barwę, która odróżnia się ostro od barw serji, leżących nad nią i pod nią. Najwyższe ogniwo tego systemu warstw, zgodnie poziomo na sobie leżących, stanowi 225 metrów gruby, jasnoszary wapień, pod nim przypada na 450 metrów gruby piaskowiec, zabarwiony w pasy żywo czerwone i białe; niżej leży znów na 350 m. gruby wapień ceglano lub purpurowo czerwony, spadający stromą ścianą («Red Wall»). Pod tym systemem warstw formacji węglowej, następują na 400 m. grube zielone gliny łupkowe i brunatne piaskowce formacji dewońskiej i kambryjskiej. Pod niemi leżą wyprowadzone z pierwotnego poziomego położenia pstre warstwy przedkambryjskie, a wreszcie jako fundament występuje czekoladowo brunatny gneis z czerwonymi żyłami granitu.

Wskutek stałości barwy właściwej każdej warstwie, oraz wskutek zupełnie poziomego położenia tej ostatniej, występują wszędzie te same barwne pasy w jednakowym porządku, powtarzają się na każdej ścianie, każdej odosob-

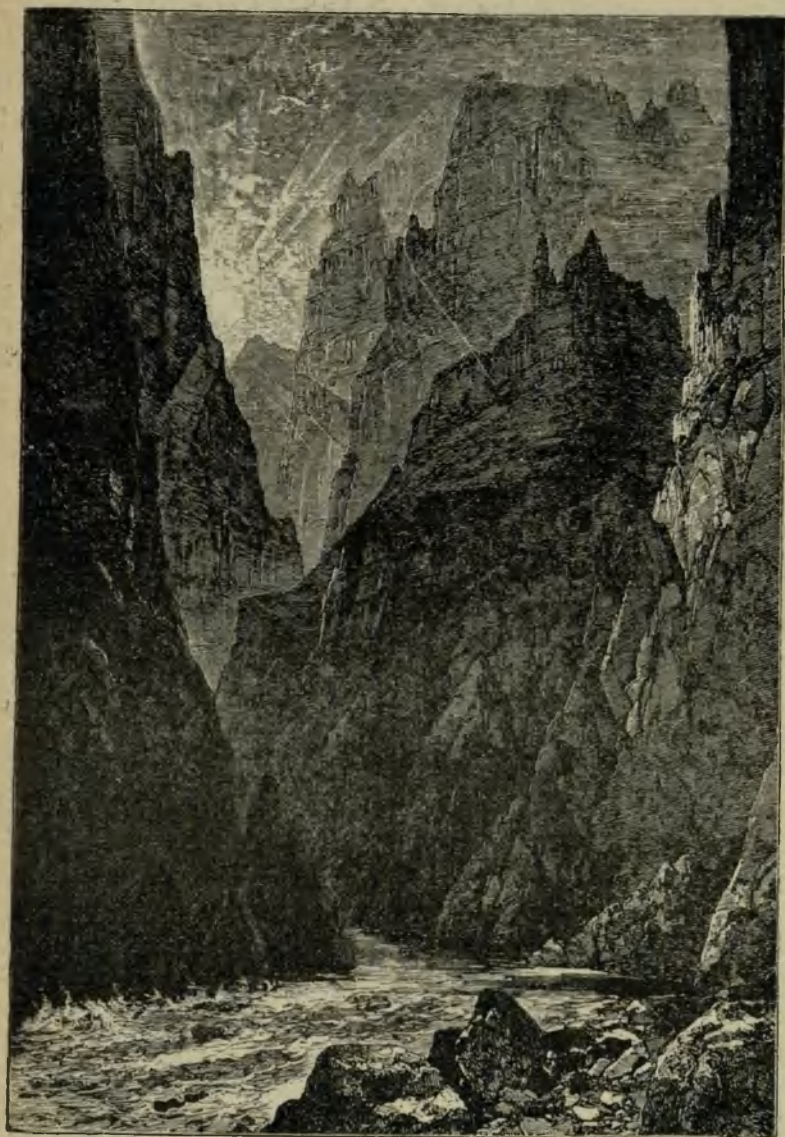
nionej igle, każdej skale jakiegokolwiek kształtu po obu stronach kanjonu jak tylko oko zasięgnie.

Zarazem to poziome uwarstwienie i różna wytrzymałość pojedynczych warstw, warunkują charakterystyczną budowę wszystkich skalnych utworów kanjonu; twardsze ławice wapienia i piaskowca wybiegają z powierzchni stromych ścian, jako gzymsy lub schodowate spadki i nadają wszystkim utworom kanjonu, mimo różnaitości form, jeden styl architektoniczny, któremu obce są wszelkie zaokrąglenia, wszelkie kontury łukowate i który posiada tylko linje poziome i pionowe.

Pomimo tych cech, powtarzających się jednostajnie po tysiące razy, obraz kanjonu nie jest stężały i martwy; owszem, jest pełen życia i zmienia się prawie co chwila ze zmianą stanowiska słońca. W miarę tej zmiany, otwierają się niespodzianie nowe głębokie przepaście, z gładkich napozór ścian wysuwają się wieżaste mury i bastjony; w innych miejscach przeciwnie, urozmaicenia znikają, zlewają się w jednostajne ściany. Połamane, pokrzywione olbrzymie cienie skał przesuwają się zwolna jak widma; cienie wysmukłych obelisków, kręcąc się po silnie oświetlonej ścianie, czynią wrażenie olbrzymich kompasów. Przytym cała głębia kanjonu wydaje się jakby powleczone błękitną mgłą, która przysłania i łagodzi przerażającą stromość skał.

Ponad niezmierną równiną i przerzynającym ją kanjonem rozpościera się ciemnobłękitne sklepienie nieba, przezrocyste powietrze pustyni nie stawia oku żadnych przeszkód: jeszcze w odległości 20 kilometrów, poza przeciwległą krawędzią, można rozeznać wierzchołek każdego drzewa.

Powoli gwiazda dzienna schyla się ku zachodowi, powoli głębie toną w łagodnym zmroku. Ostre kanty, szczyty i kąty tracą w dole swą ostrość, a różnorodne barwy swą jaskrawość. Ponad niemi najwynioślejsze mury, wieże i kolumny błyszczą jeszcze w promieniach słońca. Ich



Kanjon Kolorado z dołu

ienie na ścianie wydłużają się i powtarzają ich kształty w bardziej jeszcze kolosalnych rozmiarach. Ale pomroka głębin podnosi się szybko w górę, jednak pojedyncze formy skalne płoną jeszcze światłem, płomień ten koncentruje się coraz bardziej na ich najwyższych szczytach, podczas gdy stopy ich toną w nieprzeniknionej ciemności — niby pochodnie, trzymane przez ręce niewidzialne. Teraz gasną one, zapadają w nieprzeniknioną ciemność, nad nimi błyszczą jeszcze w słońcu krawędzie kanjonu. Poza nim i jego pokrytymi ciemnością głębinami błyszczą jeszcze mesas.

Czysty błękit nieba zabarwia się na horyzoncie czerwonym złotem, a białe mesas — różem. Ale szybko znika ta nieopisana wspaniałość obrazu, barwy jego bledną. Z otchłani kanjonu, napełnionej upałem zwrotnikowym, buchają ciepłe prądy powietrza, podczas gdy na wyżynie osiada szron.

Słońce zapada pod poziom. Ostatnie blaski wieczoru ozłacają jeszcze szczyty dalekich wulkanicznych gór San Francisko; ale wkrótce i one gasną; mrok pokrywa je wraz z niezmierną pustynią.

Wtedy nagle ukazuje się na zachodzie purpurowe światło zorzy wieczornej, sięgające do środka firmamentu, a pod tym odbitym blaskiem skały kanjonu raz jeszcze zapalają się światłem czarodziejskim.

Teraz ostatnie ślady gwiazdy dziennej zgasły. Głębie kanjonu zieją przerażającą ciemnością. Nieprzenikniona noc powleka szemrzący las, niezmierną pustynię i majestatyczne stożki wulkanów.

* * *

Mogłoby się wydawać, iż dość już znaleziono tu i wyrażono wspaniałości wielkiego kanjonu Kolorado, a jednak. mówi inny podróżnik (Ryszard Marek), nie wspomnieliś-

my dotąd o jednym jeszcze jego ważnym znaczeniu: przedstawia on nietylko jeden z najpiękniejszych krajobrazów świata, ale także jedną z najbardziej klasycznych miejscowości dla badań geologicznych. Geolog, który w naszych okolicach znajduje przeszkody, w gęstej zasłonie szaty roślinnej, lub w braku głębokich, dolin odsłaniających wewnątrz skorupy ziemskiej, tutaj przy zupełnym prawie obnażeniu skał, przy wielkiej głębokości doliny sięgającej aż do fundamentu wszystkich formacji, przy stromości jej ścian, nie przykrytych rumowiskiem, znajduje wszystko tak przygotowane do studjów, jak w roztworzonej książce.

Spróbujmy więc czytać w niej!

Ponieważ każda warstwa przedstawia się na ścianach kanjonu, jako wstęga, biegnąca wciąż na tej samej wysokości, zarówno na jednej, jak i na drugiej stronie kanjonu, nie można więc przypuszczać, ażeby powstanie jego było wynikiem jakichś procesów tektonicznych (zapadnięć lub fałdowań); jest on zatem jedynie skutkiem wyłabiającej działalności wód płynących, a w części wietrzenia. Kolorado płynęła niegdyś na górnej powierzchni wyżyny, lecz z biegiem czasu wrzynała się w nią coraz głębiej, tak, iż ściany doliny jakgdyby rosły coraz wyżej ponad jej dnem. Ponieważ skały okoliczne składają się z wapieni i piaskowców, łatwo pochłaniających wodę, więc deszcze nie wywierały tu działania splukującego, nie mogły zmniejszyć stromości ścian doliny.

Tym silniej działało w tym kraju suchym, o wielkich zmianach temperatury, mechaniczne wietrzenie, rozkruszając skały nieochronione szatą roślinną. Ale zniszczenie to nie postępowało wszędzie z jednakową szybkością, albowiem ściany skalne składają się z bardzo różnych materiałów, o różnej odporności; działanie to więc wymodelowało fantastycznie jednostajne pierwotnie ściany doliny.

Zważmy, jak małą jest ilość wody w rzece Kolorado,

jak rzadkie są deszcze, jak twardymi są skały, a jednak udało się tej rzece wyżłobić dolinę na wiele kilometrów szeroką, na setki kilometrów długą i na tysiąc kilkaset metrów głęboką; możnaby sądzić, iż świat nie istnieje dość dawno, by starczyło czasu do wykonania tak wielkiego dzieła, zdawałoby się więc, że kanjon to utwór odwieczny prastary, a jednak z punktu widzenia geologii jest on bardzo młodym; zanim on jeszcze powstał, odbyło się tu wiele procesów, z których każdy potrzebował nierównie dłuższego czasu, niż wytworzenie kanjonu.

Na drugi dzień naszego pobytu w okolicy kanjonu,— mówi tenże podróżnik—zstąpiliśmy na 1600 m. wgłąb, aż do dna wąwozu; tutaj mogliśmy obserwować zbliżka nie tylko poszczególne formy erozji i zwietrzenia, ale także cały szereg warstw, składających ściany kanjonu. Widzimy tu, iż poziomo leżące warstwy wapieni i piaskowców sięgają w dół do 300 m. nad powierzchnią rzeki; pod nimi leżą silnie zdyslokowane masy skał pierwotnych. Jestto kolebka wspaniałych gór, które powstały i następnie zostały zniszczone w najdawniejszych czasach dziejów ziemi. Między temi pierwotnymi, archaicznymi masami skalnymi i poziomymi warstwami skał okresu węglowego wciska się jeszcze ogniwo pośrednie (prekambryjskie albo algonkińskie), w formie potężnego klina. Są to gliniaste, piaszczyste i wulkaniczne masy o położeniu nie poziomym, lecz ukośnym, a więc niezgodnym ani z warstwami leżącymi u góry, ani z leżącymi u spodu.

Czego uczą nas te obserwacje? Opowiadają nam one niezmiernie bogate dzieje z prastarych czasów: naprzód osadziły się w obszarze kanjonu gnejsy i stare łupki. następnie utworzyły one potężne góry fałdowe, nie ustępujące wysokością Alpom; góry te uległy losowi wszystkiego, co ziemskie: zostały zniszczone aż do podstawy, stały się prawie równiną (peneplain amerykańskich geologów); fale morskie zalały tę równinę, i osadziły na niej warstwy

zwane algonkińskimi; następnie dno morskie obniżyło się w jedną stronę tak, iż warstwy algonkińskie, osadzone poziomo, przyjęły położenie pochyłe; część tych warstw wynurzyła się tym sposobem z wód i utworzyła wzgórze, ale i te wkrótce uległy zniszczeniu. Następnie znów wszystko pokrył ocean; zalew ten trwał bardzo długo; przez ten czas osadziły się potężne warstwy wapieni i piaskowców. Dopiero na początku czasów nowych, morze ustąpiło i wtedy rozpoczęło się wyżłabianie kanjonu; rzeka werznęła się w wyżynę, która wzniosła się powoli do 2000 metrów nad poziom morza. Cała masa warstw mesozoicznych została z okolic kanjonu uniesiona; w odległości wielu mil od niego spotykamy liczne szczątki tej nieprzerwanej niegdyś pokrywy, która spoczywała na wapieniach i piaskowcach, tworzących dzisiaj potężne ściany kanjonu.

O ileż dłuższego czasu potrzeba było na to, ażeby te olbrzymie masy skalne osadziły się na dnie morza i spiętrzyły się następnie w wysokie góry, aby te góry zostały w dalszym ciągu aż do gruntu zniszczone — o ileż dłuższego czasu na to wszystko było potrzeba, niż na wyżłobienie jednej, choćby tak głębokiej doliny. A jednak wszystkie te procesy odbyły się nie raz jeden, lecz następowały po sobie kolejno trzy razy, zanim rozpoczęło się tworzenie kanjonu. Jakże olbrzymie perspektywy czasu otwierają się tu przed myślącym duchem człowieka! — Cóż wobec tych olbrzymich okresów czasu znaczy ta chwila, w której my, a nawet wszyscy nasi przodkowie przeżyli wszystkie swe radości i cierpienia!

Tak to rozległe widoki na życie wszechświata otwiera badanie kanjonu.

Zanim opuściliśmy go, zapewne nazawsze, każdy z nas, oddzieliwszy się od reszty, stanął samotnie raz jeszcze na krawędzi kanjonu; teraz nie jest on już tak pogrążony w nieprzenikniętą noc: na niebie, usianym gwiazdami, wzniosła się już wysoko Luna, księżycowa bogini i rozlała

swe łagodnie srebrzyste światło na ten fantastyczny labirynt skał, wznoszących się ku nam z niezgłębionych przepaści. Żaden głos nie przerywał wzniosłej samotności. Wtedy dusza ludzka wiezie rozmowę z naturą — przed tą wspaniałością pierzchają z serc naszych wszelkie myśli poziome; czuje się wtedy głęboką prawdę tych słów poety:

«Są w życiu chwile,
Gdy duch ludzki staje się blizkim duchowi świata».

Według *H. Crednera i R. Marka.*

GREAT SALT-LAKE CITY.

(Miasto Wielkiego Słonego Jeziora).

Szczególne miasto! — Jego domy są niewidzialne, kryją się przed wzrokiem w zielonym gąszczu drzew owocowych. Drzewa te tworzą gęste, zielone zasłony po obu stronach szerokich nieskończonych ulic. Ulice te, jak we wszystkich miastach północno-amerykańskich, przecinają się pod kątem prostym, biegnąc z północy na południe i ze wschodu na zachód. Po obu stronach ulic sprowadzone z gór strumienie toczą swe wody bardziej obfite, niż przezroczyście; stanowią one wielkie bogactwo kraju. Według opowiadań nielicznych awanturników, którzy pierwsi odwiedzili ten kraj nieznanym w czasach, gdy należał on jeszcze do Meksyku, wody słodkiej był tu brak zupełny. Ale wódz Mormonów, Brigham Young, wybraniec boski, Mojżesz mormoński, potrafił wydobyć ze skały, źródła drogiecenne.

Błądząc samotny wśród milczących alei, obok mnie szmerzą strumienie, z drzew, użyczających mi cienia, lekki wietrzyk poranny strąca na mnie deszcz kwiatów, białych jak śnieg. Niekiedy ponad zieloną ścianą z drzew, dostrze-

gam «Bliźnięta», dwa najwyższe szczyty gór Wahsatch — dwa djamenty, lśniące w blasku słonecznym, zawieszono w błękicie na wysokości 15000 stóp nad poziomem morza!

Na wysokiej wyżynie Utahu pory roku następują po sobie nadzwyczaj regularnie. Po deszczach jesiennych, huragany i zamiecie zimowe; następnie po krótkim okresie wiatrów i deszczów, zwanym wiosną, sześć miesięcy lata, t. j. słońca, upału, suszy. Brak deszczu i dokuczliwe owady są utrapieniami letniej pory w tym kraju.

Ale teraz przyroda roztacza wszystkie skarby swej piękności — jest świeża, młoda, upajająca. Wdycham pełną piersią orzeźwiający powietrze gór; zachwycam się wonią pól, ku którym zbliżyłem się niepostrzeżenie, znalazłem się bowiem u skraju miasta. Ulice biegną dalej, ale niema już domów, wyznaczone place czekają jeszcze budowniczych. Tu miasto zlewa się ze wsią. W niewielkiej odległości Nowy Jordan wije się w wąwozie, przypominającym Ghor rzeki biblijnej.

Podczas całej tej przechadzki napotkałem tylko kilka kobiet i małą gromadkę dzieci z książkami i kajetami; szły one krokiem przyśpieszonym, w zupełnym milczeniu; na ich twarzach, nieco bladych, widać już było myśli ludzi dojrzałych. Widok cudzoziemca budzi ich ciekawość, patrzą na mnie wzrokiem badawczym, bez cienia uśmiechu lub wesołości. Następnie idą swoją drogą. Wszędzie samotność i cisza. Tylko wojownik indyjski, siedzący dumnie na koniu, przebiega obok mnie galopem. Jego długie, proste, czarne włosy, spadają z pod djademu z piór; jego twarz jest pomalowana barwą czerwoną i żółtą; jego wyraz twarzy jest dziki; jest on uzbrojony od stóp do głów. Za nim biegną piechotą jego dwie żony, obraz nędzy i poniżenia.

Według *Hubnera*.

P U E B L A .

Puebla, drugie po stolicy, miasto republiki Meksykańskiej jest, według zdania podróżników, jednym z najbardziej malowniczo położonych miast na ziemi. Hiszpanie, pod wodzą Korteza, nie znaleźli w tej zbyt suchej okolicy żadnej osady indyjskiej; miasto więc jest w zupełności dziełem Hiszpanów i nosi w wysokim stopniu hiszpański charakter.

Puebla jest mianowicie przepelniona kościołami i klasztorami. Od wczesnego ranka, aż do późnej nocy rozlega się tu dźwięk dzwonów. Wszystko nosi tu czysto katolicki charakter. Mieszkańcy wciąż zdejmują kapelusze i pochylają głowy — czy to ukazuje się biskup, czy inny jakiś ksiądz świecki lub mnich albo jezuita, czy to niosą z procesją jakąś podobiznę świętego, bądź z alabastru, bądź z gipsu, albo namalowaną na płótnie; czy to dzwon zadzwoni na modlitwę — zawsze ludzie kłaniają się pobożnie.

Katedra w Puebli, której święte mury zostały podziurawione przez bomby i kartacze katolickich Francuzów, obrońców katolickiego Rzymu, przeciw Garibaldiemu, jest jednym z najpiękniejszych kościołów Ameryki hiszpańskiej. Z wieży tego kościoła roztacza się wspaniały widok na miasto, z jego niezliczonymi kopułami i wieżami. Dalej widać okolicę wyżynową z jej pięknymi haciendami, kościołami, kaplicami, niwami zbożowymi i gajami. Szczególniej malowniczo i wspaniale przedstawia się zachodnia strona horyzontu z olbrzymim wulkanem Popocatepetl, którego śniegi błyszczą srebrem na tle ciemnego błękitu nieba; ale i wschodnia strona horyzontu ze szczytem Orizaba, jest cudownie piękna, szczególnie podczas zachodu słońca. Niestety, zachwyty podróżnika nad tym rajskim krajobrazem ulegają znacznemu ochłodzeniu, gdy przyjdzie mu na myśl, że w niewielkiej odległości poza wałami

miasta nie jest się tu pewnym mienia i życia. Ktoby podróżował w okolicach Puebli bez straży, ten napewno zostałby pozbawiony pieniędzy, konia, a nawet surduta, spodni i koszuli i jeszcze musiałyby się uważać za szczęśliwego, gdyby uszedł z życiem.

Podczas pobytu tutaj angielskiego podróżnika Lempiera (1861 r.) zdarzyło się, że pewien młody człowiek na głównej ulicy Puebli został schwytany przez bandytów przy pomocy lassa i uwięziony. Bandyci żądali od jego ojca 3000 pesos wykupu. Dawano im 300 pesos; pertraktacje między krewnymi porwanego, a pełnomocnikami bandytów były prowadzone z godnością i z wzajemnym zaufaniem tak, jakgdyby rzecz szła o najzwyczajniejszy interes między uczciwymi ludźmi. Gdy podróżnik opuszczał miasto, zapatrywania obu stron co do należnej sumy nie doszły jeszcze do zupełnego wyrównania.

Jakkolwiek w owym czasie panował w Meksyku pewien spokój polityczny, to jednak na ulicach miasta wznosiły się barykady. Na zdziwione pytanie podróżnika mieszkańcy pośpieszyli z wyjaśnieniem, że jestto już miejscowy zwyczaj pozostawiania barykad na wszelki wypadek: mogą się przydać, czy to podczas walk partyjnych, czy też przeciw konnym bandom *guerryllerosów*, które stały się tu chroniczną plagą krajową. Bez barykad, te konne bandy mogłyby sobie każdego dnia hulać po ulicach miasta.

Podróżnik angielski był zachwycony pięknnością i wdziękiem meksykańskich *sennoras* i *sennoritas*. Ich kruczoczarne włosy odbijają się wspaniale od delikatnej białej cery. Rysy twarzy są szlachetne, ich usta koralowej barwy są drobne, czarne oczy — pełne ognia i życia, zęby, tak lśniące jak perły panamskie, ręce tak drobne, jakich nie spotyka się nigdzie indziej na ziemi. Damy meksykańskie są świadome tych swoich wdzięków, umieją z nich korzystać i zwłaszcza w tańcu rozwijają czar niezrównany.

Gra na fortepianie, tańce i wist, są tu zwykłemi rozrywkami wieczorów. Język francuski jest powszechnie używany, ale niezbyt poprawnie. Paryskie mody z frakami i cylindrami są też w powszechnym użyciu. Można by w meksykańskim salonie czuć się, jak w Europie. Ale gdy po takiej zabawie człowiek wraca pociemku do domu, uczuwa nieraz stryczek owijający mu się dokoła szyi, poczym ciągną go na lasso, jako schwytanego wołu — wtedy dopiero cudzoziemiec uczuwa, że jest w Meksyku.

Według zbioru *Mauera*.

HOTEL W MEKSYKU.

Było już późno wieczorem, gdy przybyłem do stolicy i w towarzystwie mego służącego wjechałem przez bramę świętego Łazarza w nędzną ulicę przedmieścia. «Strzeż się pan!» krzyknął nagle mój służący; «lasso! lasso! — na miłość boską strzeż się pan!»

Zaledwie miałem czas skrócić konia, gdy charakterystyczny szum, jak świst bicia przeleciał koło mego ucha. Za chwilę potym poczułem jakiś przedmiot prześlizgujący się po moim prawym ramieniu i jakaś dzika postać przeleciała koło mnie konno, rzucając mi przekleństwo.

«Jeszcze jeden pędzi za nami!» — zawołał mój towarzysz. — A to podła banda! Ale nie — już ucieka, widać niepowodzenie współnika odebrało mu odwagę.

Rzeczywiście mało brakowało, żebyśmy obaj nie byli zciągnięci z koni i obrabowani; drugi bandyta miał widocznie zamiar obezwładnić mego służącego, gdyby jego współnikowi było się udało zciągnąć mnie z konia.

Takie bandyckie napady przy pomocy lassa śród ulic stolicy są rzeczą dość zwyczajną, zresztą znajdowaliśmy się w najniebezpieczniejszej części miasta, do której, jak się później dowiedziałem, nawet policja w nocy nie śmie

zagładać. Ludzie, którzycheśmy tu spotykali, byli odziani w łachmanach; wielu z nich miało obwiązane głowy i okaleczałe członki; kontent byłem, gdyśmy się wreszcie dostali do porządniejszej części miasta. Z utęsknieniem oglądałem się za jakimś porządniejszym hotelem, w którym mógłbym odpocząć po trudach podróży, jakkolwiek wspomnienia o wstrętnych oberżach, jakie poznałem w tym kraju, napełniały mnie obawą. Wreszcie zatrzymaliśmy się przed hotelem, który nam był zalecany. Długi czas nasze stukania i wołania pozostawały bez odpowiedzi, wreszcie w okienku ukazała się pomarszczona twarz gospodarza, z wielkim nosem, który zdawał się łączyć z brodą; zachrypłym głosem zawołał on, iż musimy być widocznie rabusiami, gdyż porządni ludzie nie włóczą się po nocy. Puściłem mimo uszu te słowa, wymieniłem mój stan i nazwisko i żądałem noclegu. Gospodarz otworzył bramę, lecz utrzymywał, że nie posiada wolnego pokoju.

Znałem jednak dobrze Meksykanów, użyłem więc niezawodnego środka, wciskając gospodarzowi w rękę dolara. Na ten widok gospodarz rozjaśnił twarz i po pewnym wahaniu polecił memu służącemu zaprowadzić konie do sąsiedniego budynku, a mnie poprowadził do jedyne go, jak mówił, pokoju jaki posiada.

Gdy przestąpiłem próg pokoju, gdzie miałem nadzieję odpocząć, byłem po prostu przerażony. Pokój miał zaledwie dwa metry wysokości, a trzy do czterech szerokości i długości i w tej małej przestrzeni była taka masa najrozmaitszych rzeczy, iż trudno było pojąć, jak to wszystko mogło się tam pomieścić. Podłoga była ulepiona z gliny, a pierwszym przedmiotem, na który padł mój wzrok, był muł rozciągnięty wygodnie na kupie słomy. W innym kącie stał zwiedły aloes, olbrzymiej wielkości; tu i owdzie wałały się potłuczone garnki, kości, węgle i szczapy drzewa. Przy jednej ścianie znajdował się nędzny hamak, a przy drugiej stół, a na nim półmisek z bobem. Ściany

były pokryte robactwem i pozawieszane dla ozdoby błyskotkami. Główną największą ozdobę stanowiło wyobrażenie Matki Boskiej świętej orędowniczki Meksyku. Obok niej wisiał krzyż z krwawymi kroplami na ciele Chrystusa; tuż obok wisiał sztylet, kilka różańców, para srebrnych ostróg, stary pistolet i łąso; dalej rozmaita uprząż, skóry i t. d.

Wszystko to było aż czarne od brudu. W takim pomieszczeniu nie mogło być mowy o spaniu; mimo zmęcze-



Krajobraz Meksykański (olbrzymie kaktusy i jukki).

nia przepędziłem całą noc bez zmruczenia oka. Jeżeli całą noc musiałem się bronić przeciw robactwu, to dzień następny był nieustanną walką z tłumami natrętnych żebraków. Już nad ranem z okna mego pokoju zobaczyłem jakiegoś porządnego i nieśmiałego człowieka, opadniętego przez niezliczony tłum, tak zwanych *leperos* — jestto nazwa licznej w Meksyku klasy społecznej, która utrzymuje

się z żebraniny i kradzieży; ona też dostarcza najemnych skrytobójców. Nieznajomy był tak opasany przez tłum, że długi czas nie mógł się ruszyć z miejsca. Nigdy w życiu nie słyszałem tak barbarzyńskich wrzasków; jedni przeklinali nieznajomego od ostatnich słów, drudzy zasympywali go pobożnymi dziękczynieniami za otrzymaną jałmużnę, przywołując na pomoc wszelkich możliwych świętych; na miejsce jednego obdarowanego występowało natychmiast kilku nowych. Gospodarz hotelu zoczywszy tak obleżonego swego gościa, postanowił wmieszać się do sprawy: gość został wciągnięty do drzwi, kilku wrzeszczących wagabundów, którzy się za nim wdarli, trzeba było za drzwi wyrzucać, co jednak jeszcze powiększyło dziką wrzawę na ulicy.

Według *Masona*.

MAŁE ANTYLLE.

Wyspy Zachodnio-Indyjskie, otaczające z północy i wschodu eliptycznym łukiem morze Karibskie, są rozkawałkowanym łańcuchem gór fałdowych, oderwanym od lądu Ameryki Południowej, we wczesnej epoce geologicznej, przed pojawieniem się na ziemi wielkich zwierząt ssących, które na wyspy te z lądu już dostać się nie mogły. Pod względem budowy wewnętrznej, która ujawnia się też w kształcie powierzchni, wyspy Zachodnio-Indyjskie składają się z dwu pasów, zewnętrznego i wewnętrznego; zewnętrzny, złożony ze skał osadowych różnego wieku, w znacznej części z wapieni, dosięga największego rozwoju, największej szerokości w równoleżnikowej części łuku eliptycznego, t. j. w Wielkich Antyllach; zato w południowej części łuku, to jest w Małych Antyllach, występuje równolegle do pierwszego pasa zewnętrznego, pas drugi wewnętrzny, złożony z młodych skał wybuchowych, z wul-

kanów czynnych. Tym sposobem Małe Antylle składają się z dwu szeregów wysp: zewnętrznych wapiennych i wewnętrznych wulkanicznych; największa zaś z nich, Guadelupa, jest zrosnięta z dwu kawałków, wapiennego i wulkanicznego.

Do zewnętrznego pasa Małych Antyllów, tworzącego przeważnie krajobrazy pagórkowate, złożone z trzeciorzędowych piaskowców i wapieni, należą wyspy: Barbuda, Antigua, wschodnia połowa wspomnianej Guadelupy, Marie Galante i Barbados. Wewnętrzny pas składa się z leśnitych stożków wulkanicznych, które na Guadelupie i Dominice sięgają 1700 m., na Martynice przeszło 1300 m. i t. d. Wulkany te zrzadzają na wyspach straszliwe zniszczenia, lecz nie jestto jeszcze jedyna klęska, trapiąca te piękne wyspy: dla różnaitości występują tu od czasu do czasu straszliwe orkany; zdarzają się one przeważnie w porze osłabienia passatów przy końcu lata i w jesieni, rozpoczynają się w okolicach Barbados, ciągną wzdłuż Małych i Wielkich Antyllów i skręcają następnie na północo-wschód wzdłuż prądu Florydzkiego.

Orkan barbadoski z d. 10 lipca r. 1831 pewien naczynny świadek opisuje w następujący sposób:

«Wieczorem niebo było pogodne i powietrze spokojne, dopiero około 9-ej zerwał się wiatr północny. Około godziny 9^{1/2} ujrzano dalekie błyskawice na północo-wschodzie i północo-zachodzie. Następnie aż do północy występowały naprzemian to porywy wichru północo-wschodniego z deszczem, to cisza. Po północy niebo pokryło się pełnym grozy nieustannym ogniem błyskawic i zaryczał wściekły orkan z północy i północo-wschodu; około godziny pierwszej wiatr skręcił się nagle z północo-wschodniego na północo-zachodni; górne warstwy atmosfery świeciły wciąż błyskawicami, ale ten żywy blask zaćmiewały snopy ognia elektrycznego, wybuchające we wszystkich kierunkach. O godz. 2-ej ryk orkanu wzmógł się niesłychanie, około

3-ej wiatr osłabł i występowały tylko chwilowe jego porywy, naprzemian z północo-zachodu i południo-zachodu.

Chwilami gasły też błyskawice i miasto otaczały straszliwe ciemności. Następnie zaczęły spadać z nieba ogniste meteory, a głuchy szum wiatru przeszedł w jakiś majestyczny pomruk; po upływie pół godziny błyskawice wzmożyły się nanowo, przebiegając bezustannie między chmura-



Niszczące działanie orkanu.

mi i ziemią; zdawało się, jakby płomienie spadały z nieba i powracały doń szybko, odbite od ziemi.

Nagle gwałtowny orkan porwał się nanowo z zachodu, pędząc przed sobą niezliczone odłamy, jakby pociski. Najtrwalsze budowle zadrżały w swych podstawach, sama ziemia drżała. Wycie orkanu, ryk morza, którego potężne

fale groziły zniszczeniem wszystkiemu, co wiatr zaoszczędził, trzeszczenie zapadających się dachów i murów — wszystko to mieszało się z hukiem piorunów.

Około godziny 5-ej zrana burza zaczęła słabnąć, wiatr przeszedł w południowy, następnie w południowo-wschodni i przed godziną 9-tą znów zajaśniała piękna pogoda».

Passat północno-wschodni, wznosząc się po stokach wysokich wysp wulkanicznych, skrapla swą parą i tym sposobem przynosi tym wyspom, zwłaszcza ich stronie północno-wschodniej, obfite opady; strona południowo-zachodnia wysp wulkanicznych oraz nizkie wyspy pasa zewnętrznego mają opady mniej obfite, tak, iż na niektórych z nich nagromadziło się guano. Wobec wysokiej i niewielkim wahaniom ulegającej temperatury grunt wysp dobrze nawodnionych nadaje się wybornie do uprawy roślin zwrotnikowych; to też różne państwa europejskie, zwłaszcza Anglja i Francja, założyły tu oddawna swe kolonie. Zniesienie niewolnictwa i przesilenie cukrownicze narazie zachwiały pomyślność tych kolonji, które uratowały się jednak sprowadzeniem kulisów; na niektórych wyspach biali prawie zniknęli i ludność składa się głównie z murzynów i mulatów. Najważniejsze miasta portowe znajdują się na wewnętrznej stronie wysp, zwróconej ku morzu Karibskiemu, jako zasłoniętej od panującego passatu.

Gęstość zaludnienia, jak na stosunki amerykańskie, jest bardzo znaczna (około 120 na 1 km. □), jakkolwiek na niskich wybrzeżach występuje tu często żółta febra, nawet śród Czarnych. Największe wyspy, Guadelupa (1500 km. □) i Martynika (1000 km. □), należą do Francuzów. Siedliskiem gubernatora Guadelupy, pod którego zarządem znajdują się też wyspy sąsiednie, jest Basse Terre na południowo-zachodnim wybrzeżu górzystej połowy tej podwójnej wyspy. O 700 m. powyżej miasta, na lesistych stokach wulkanu leży sanatorjum. Największym miastem

wyspy jest Pointe-a-Pitre, leży ono w pobliżu kanału, na dwa metry głębokiego, który oddziela właściwą, górzystą i wulkaniczną Guadelupę od jej niskiej połowy zwanej Grande Terre; od tego miasta biegnie kolej żelazna do plantacji trzciny cukrowej, w których pracuje około 40000 robotników, w połowie indyjskich kulisów. Sąsiednie z Guadelupą wyspy, Marie Galante i Desiradé, posiadają też plantacje. Tak zwane «Skały Świętych» na południe od



St. Pierre na Martynice wkrótce po zniszczeniu.

Basse Terre zamykają broniony fortami port wojenny. Obroty handlowe tej grupy wysp wynoszą do 20000000 rb.; również wysokim był obrót handlowy bogatej w płody zwrotnikowe i gęsto zaludnionej do niedawna, a w 1902 r. zniszczonej przez wybuch wulkanu (Mont Pele) wyspy Martyniki z miastami Fort de France i St. Pierre, zniszczonym przez wybuch Mont Pele: olbrzymi obłok palnych gazów, który stoczył się z tej góry na miasto z szybkością orkanu, zamienił je w pole ruin, pod którymi spoczęło snem wiecznym 30000 zwęglonych ludzi.

Znaczne posiadłości w Małych Antyllach posiadają i Anglicy; należą do nich na północ od Martyniki z wewnętrznego pasa wulkanicznego: St. Cristoph, Nevis, Montferrat i Dominika, z zewnętrznych: Anguilla, Barbuda i Antigua. Siedliskiem zarządu jest Antigua z miastem St. John. Prócz różnych płodów roślinnych wyspy te dostarczają soli z lagun nadbrzeżnych na Anguilla i fosfatów z wyspy Barbuda. Dominika, największa z tych wysp, z drobną resztką ludności karibskiej, jest słabo zaludniona i niewiele przyczynia się do całkowitego obrotu handlowego tej grupy. Do drugiej grupy wysp angielskich, leżącej na południe Martyniki, należą wyspy wulkaniczne: Santa Lucia, St. Vincent i Grenada, których handel jest nieco większy, niż grupy poprzedniej (prócz płodów kultury ważny jest handel drzewem). Z St. Vincent zostali wywiezieni w r. 1796 ostatni Karibowie w liczbie 5000 i osadzeni na wysepce nadbrzeżnej Hondurasu. Ważniejszą od tej całej grupy jest gęsto zaludniona wyspa Barbados, gdzie na 430 km. □ mieszka około 200000 ludzi; cała prawie wyspa jest zajęta pod uprawę, a blisko $\frac{1}{3}$ obszaru uprawnego jest użyta pod trzcinę cukrową. Występowanie asfaltu na tej wyspie wskazuje na jej pokrewieństwo z sąsiednią nadbrzeżną wyspą Trinidad. Wyspa ta, stanowiąca też posiadłość angielską, jest przedłużeniem nadbrzeżnych gór Wenezuelskich; przez północną część wyspy ciągną się góry starokrystaliczne (950 m.) przez południową — znacznie niższe góry wapienne. W południowej części występują źródła gorące i pokłady asfaltu; osobliwe kolistego kształtu jezioro asfaltowe (Asphalt — albo Pitch Lake) w południowo-zachodniej części wyspy spoczywa na piaszczystej wyniosłości 50 m. wysokiej.

«Droga do Asphalt Lake — mówi pewien podróżny — prowadzi od portu La Brea. Niegdyś port ten był otoczony

ny stromym stokiem wzgórzy, obecnie jednak wał ten zniknął, wyeksploatowany i wywieziony jako asfalt.

Zawsze jednak wszędzie dokoła grunt składa się z asfaltu. Okręt zapuszcza kotwicę w smołę, po wale ze smoły wstępujemy na ląd, smoła leży dokoła nagromadzona w porcie—gdzie tylko zwrócić oczy, wszędzie smoła, wszystkie rozmowy obracają się około smoły i jej ceny. Nigdzie nie widziałem okolicy bardziej ponurej; przebywanie tu jest prawdziwym wygnaniem. Nieliczni Europejczycy zmuszeni mieszkać w La Brea, cierpią dotkliwie na febrę a i krajowcy nie są od niej wolni.

Jak tylko pozostawiliśmy za sobą nieliczne chaty rozrzucone, wśród kwiatnych ogrodów i plantacji ananasów, to jest, gdyśmy wyszli poza miasteczko La Brea, znaleźliśmy się pośród kompletnej pustyni. Wszystkie drzewa, które tu niegdyś rosły, zostały wycięte i wypalone i wszędzie spotykaliśmy tylko wstrętne ślady dawnych asfaltowych kamieniołomów. Trudno sobie wyobrazić smutniejszego widoku.

Przeszedzszy zaledwie dwa kilometry, znaleźliśmy się nad jeziorem. Na pierwszy rzut oka przedstawia się ono tak, jak każde inne jezioro wśród lasu; nie od razu spostrzeżga się, że jego kotlina jest wypełniona nie wodą, lecz smołą. Na wybrzeżach rośnie gęstemi kępami sitowie i trawa, dokoła ostrą granicę stanowi las, a wysepki porośnięte drzewami i krzakami, urozmaicają widok. Ale złudzenie trwa tylko chwilę: barwa i konsystencja płynu rozwiewa je szybko. Prawie cała powierzchnia smoły jest tak twarda, że można po niej chodzić bez niebezpieczeństwa. Wygląda ona tak czysto, jakgdyby co dopiero była zamieciona. Cała powierzchnia jeziora jest poprzecinana szczelinami, a raczej dolinami i przepaściami, które powstały widocznie wskutek tego, że z różnych źródeł wypływające masy smoły nie wszędzie się z sobą zetknęły, nie spoiły się w masę jednolitą. Doliny te są bardzo różnej głębokości

i szerokości, od kilku centymetrów do wielu metrów i w czasie mego pobytu były aż po brzegi wypełnione wodą. W jednej z większych spostrzegłem jakąś szkaradną rybę o wielkiej głowie, nie mogłem zrozumieć, jak mogła ona żyć w takiej wodzie, przesyconej siarką i smołą.

Z początku przebywaliśmy te doliny na grzbiecie olbrzymiego Murzyna, ponieważ jednak ten sposób lokomocji był dość uciążliwy, więc później zaopatrzyliśmy się w deskę, która nam służyła jako przenośny most. Tym sposobem przebyliśmy suchą nogą całe jezioro i dostaliśmy się na krawędź lasu, w którym znajdują się tak zwane smolne wulkany, małe pagórki, zwykle nie wiele więcej nad pół metra wzniesione, z otworem na szczycie około 20 centymetrów średnicy. We wszystkich tych kraterach smoła jest jeszcze w stanie płynnym, od czasu do czasu wznosi się ona aż do krawędzi, a nawet przelewa się poza nie.

Las po pustkowiu asfaltowego jeziora sprawiał zachwycające wrażenie; za nim zaraz rozlewało się morze usiane skalistymi i lesistymi wysepkami. Z powrotem przez jezioro widzieliśmy i na nim jedno miejsce, gdzie smoła była jeszcze w stanie płynnym; z miejsca tego wydobywały się wybuchowo gazy, wyrzucając małe strumienie wody. Było to jedyne miejsce na jeziorze, okazujące jeszcze działalność wulkaniczną».

Na drugim (zachodnim) końcu Wenezuelskiego wybrzeża leży jeszcze jedna ciekawa wyspa, mianowicie Curaçao, należąca do Holendrów; składa się ona z dwóch części: zachodnia jest utworzona ze skał krystalicznych, a wschodnia, młodsza — z wapienia koralowego, otaczającego jądro wulkaniczne.

Wschodnia Curaçao tworzyła początkowo owalny atol; wewnątrz tego atolu była laguna, która łączyła się z morzem, licznymi kanałami. Jedyne mieszkańcami tego atolu były ptaki morskie, albowiem wapień koralowy jest w wielu miejscach napojony solami guanowemi. Gdy roz-

poczęło się wynurzanie atolu, polipy opanowały już cały obwód dzisiejszej wyspy, tylko wewnątrz atolu pozostało wolne od budowli koralowych, gdyż tam wskutek braku środków pożywienia, warunki wzrostu polipów były niekorzystne.

Następnie rafy wynurzyły się z morza i podczas, gdy na wybrzeżu erozja fal morskich wytworzyła długie tarasy o stromych spadkach, obfitujących w jaskinie, z wnętrza wyspy morze się cofnęło. Tym sposobem dzisiejsza wschodnia część Curaçao tworzy owalny półmiskę ze stromą podniesioną krawędzią, która spada tak prawidłowymi schodami ku morzu, jakby one były sztucznie wyciosane.

Grunt tego «półmiska» stanowi kraj lekko falisty, utworzony ze zwietrzałego diabazu, o zabarwieniu kawowo-brunatnym lub zielonawym; w porze suszy kraj ten przedstawia prawie pustynię. Krawędź półmiska jest utworzona z kopalnych (martwych) raf koralowych, szaro zabarwionych, również pustynnych. Dawne przerwy w atolu, cieśniny, tworzą teraz wązkie wąwozy. Jeżeli z takiego wąwozu, lub z morza przez taki wąwóz spojrzymy ku wnętrzu wyspy, to ujrzymy charakterystyczny krajobraz, niewielu zapewne krainom właściwy: po obu stronach wąwozu sterczą strome, poszarpane skały, a za nimi widnieje kraj daleko niższy, o liniach łagodnych falistych, wśród którego wynurza się tu i owdzie ciężki biały budynek, otoczony skąpo krzakami, a wszędzie zresztą nagość i pustkowie.

Lecz pustynna ta wyspa posiada wyborny port: jeden ze starych kanałów atolu, prowadzący do niższej części wewnętrznego zagłębienia wyspy, tworzy dotąd kanał, łączący morze z jeziorem wewnętrznym (zatoką)—pozostałością dawnej laguny czwartorzędowego atolu. Po tym starym kanale pływają okręty całego świata, wnosząc kipiące życie do tego pustynnego skalistego zakątka.

Przytym te jeziora wewnętrzne i rafy mają jeszcze inne

znaczenie dla wyspy: odosobnione zbiorowiska wody morskiej stały się podstawą wydobywania soli przez odparowanie, a wapień rafowy, zamieniony pod wpływem pomiotu ptasiego w fosforyt, stał się ważnym przedmiotem wywozu.

Według *W. Sieversa, F. Hellwalda i R. Martina.*

H A W A N A .

W piękny słoneczny dzień opuściliśmy «miasto fe-bry» — Nowy Orlean i gołe, napływowym drzewem pokryte brzegi Mississipi, która ciężko i wolno toczy swe błotniste fale ku morzu i przy ujściu, dzieli się na kilka odnóg. Podróż trwała całe dziewięć dni — ale pogoda była wspaniała — i coraz bardziej dawała nam się uczuć bliskość krajów zwrotnikowych. Gdyśmy minęli już zwrotnik Raka, wnet ujrzeliśmy wynurzające się z morza brzegi Kuby, największej z wysp, które od ujścia Orinoko aż do krańca półwyspu Florydy otaczają morze Antylskie. Pod wieczór zawinęliśmy do pięknej przystani Hawańskiej. Wiał łagodny wietrzyk — i z leżącego wgłębi, rzęsiście oświetlonego miasta dobiegały dźwięki trąb i bębnow, oraz wołanie szyldwacha. Hawana jest prawdziwym miastem morskim: mury jego oblewają fale Meksykańskiej zatoki, i okręty zarzucają kotwice na jego ulicach. Flagi wszystkich narodów powiewają z mnóstwa masztów okrętowych i niezliczone gondole, kierowane przez opalonych, biało ubranych Hiszpanów, również jak i nieustanny ruch na brzegu, czynią wrażenie niesłychanie natężonego życia.

Nazajutrz rano wsiedliśmy do łódki i w kilka minut znaleźliśmy się na brzegu. Na każdym kroku spotykaliśmy wśród nieskończonego tłumu ludzkiego dowody pracowitej działalności. Setki Negrów przy dźwiękach monotonnej pieśni uwijały się przy wyladowywaniu towa-

rów, ukazując muskularne ciała, odziane jedynie w krótkie spodnie. Dumni Hiszpanie, zręczni Kreole, brzydcy Mulaci, rozmowni Francuzi, dobrodusznym Niemcy, John Bull wraz z bratem Jonathanem — wszyscy w lekkich ubraniach letnich przebiegali wśród wielojęzycznej ciżby.

Z kilkoma Czarnymi, którzy nieśli nasze rzeczy na wełnistych swych głowach, wązkami ulicami podążyliśmy do hotelu. Na targu rybnym ujrzeliśmy mnóstwo ryb, raków, żółwiów i pajaków morskich o cudacznych kształtach i zabarwieniu. Przy długiej, na brzegu wzniesionej halli, ustawione były małe statki, które z głębi wyspy zwożą do stolicy rozmaite produkty, jakoto: cukier, kakao, kawę i wonny tytoń hawański.

Samo miasto nie jest ładne; ulice są wąskie, nieregularne i tak brudne, że unoszący się nad niemi odór jest często wprost nie do wytrzymania. Niezliczone, w różnych kierunkach przebiegające jednokonne wolanty, z woźnicą Negrem na koźle, z trudnością mieszczą się i wymijają na tych ciasnych uliczkach. Przytym różnego rodzaju rzemieślnicy pracują więcej na ulicy przed swymi otwartymi wiecznie sklepami, niż w domu. Zato, zwłaszcza w dzień, przechodniów jest niewiele; bogate damy nawet najmniejsze kursy przebywają w powozach. Domy są jedno lub najwyżej dwupiętrowe i przeważnie pomalowane na kolor: jasnyniebieski, żółty lub czerwony. Dachy są niskie i tworzą platformy z kamienną balustradą, ponad którą można wygodnie patrzeć nadół; często znajdują się na nich małe ogródki. Podwórza domów są zakryte od słońca rodzajem namiotu. Wewnętrzne urządzenie jest bardzo proste. Pościel zastępuje kawałek drelichu, naciągnięty na składane łóżko; zamiast kołdry używają tu prześcieradeł; całe łóżko osłonięte jest przed moskitami ogromną siatką gazową.

O szóstej godzinie rano piją tu kawę, o dziewiątej zwyczajem angielskim, spożywają drugie śniadanie, a o piąt-

tej obiad. Do smacznych owoców południowych używają tu katalońskiego wina, które jest bardzo tanie.

Jednym z najpiękniejszych placów miasta jest Plac Broni z kaplicą, w której była odprawiona pierwsza msza za oceanem i z pięknymi plantacjami palm i drzew chlebowych. Gdy nadejdzie rozkoszny wieczór, powietrze się ochłodzi, niebo zajaśnieje złotym blaskiem gwiazd i ładne wietrzyki morskie wzniosą dokoła bajeczne aromaty, które oddycha wiecznie kwitnąca przyroda Indji Zachodnich — na Plac Broni schodzą się mieszkańcy miasta. Długa i wyjątkowo szeroka ulica Izabelli, prowadząca do morza, przedstawia w popołudniowych godzinach eleganckie corso. Dwoma rzędami w tę i tamtą stronę ciągną jeden za drugim wołanty z siedzącymi w nich damami — a pomiędzy niemi kłusują piękni i dzielni jeźdźcy.

Wszystkie kobiety, zarówno młode jak i stare, palą cygara. Często można je spotkać w podartych i brudnych sukniach lub szlafrokach, bez pończoch, ale z cygarami w ustach. Prawie wszystkie roboty spełniają tu Negrzy — i biała kobieta nawet z najniższej sfery uważałaby sobie za hańbę osobiście czynić zakupy na targu.

Niedaleko bramy fortecznej widzieliśmy narodowe tańce murzyńskie. Polegają one na nieustannym, nieregularnym poruszaniu rękami i nogami, oraz dzikich skokach naprzód i w tył; towarzyszy im okropna muzyka, wykonywana na jedynym instrumencie, którym jest bęben z wydrążonego i obciążonego skórą pnia drzewnego. Od czasu do czasu rozlegają się gardłowe okrzyki, pobudzające tancerza do nowych coraz dzikszych skoków. Jestto wstrętne, grube i dzikie widowisko.

Przy zwiedzaniu plantacji kawy, należących do mojego przyjaciela, miałem sposobność poznać i dalsze okolice Hawany. Plantacje kawy przedstawiają wspaniały widok. W tej, którą widziałem, znajdowało się przeszło

2000 drzew, a pracowało w niej około stu Negrów. Domki ich rozrzucone są malowniczo dokoła domu właściciela.

Przed szkodliwym działaniem wiatru i palącego słońca małe delikatne drzewka kawowe zasłonięte są dużymi zagajami wspaniałych drzew różnego gatunku. Palmy, platany, banany, bambusy stoją u wejścia do plantacji. Wśród nich rośnie także i drzewo bawełniane, którego potężny pień wznosi się w górę nakształt egipskiej piramidy i wraz z gałęzmi dosięga niesłychanej wysokości.

W ten sposób tworzy się zwarty dach zieleni, złożony z liści najrozmaitszego gatunku — gdzie najpowiewniejsze i najdelikatniejsze pomieszane są z najmasywniejszemi, i najbledsze z najciemniejszymi. Dookoła rosną drzewa pomarańczowe o balsamicznych kwiatach i złotych owocach. — Wspaniałe te grupy chwieją się z powiewem nieustannego wiatru, który we dnie wieje z morza, a w nocy z gór.

Według *Al. Zieglera*.

AMERYKA CENTRALNA I PROJEKTY KANAŁÓW MIĘDZYOCENICZNYCH.

Podziwiano nieraz aż do zbytku cuda świata starożytnego, będące dziełem człowieka: kolos Rodyjski, wiszące ogrody Semiramidy, olbrzymie piramidy Egiptu, świątynie Meksyku i Peru — dzieła, które zrodziły w wielu głowach rozpaczliwą myśl o wahadłowym ruchu cywilizacji. Lecz czymże są te dzieła starożytności, po większej części bezużyteczne, wznoszone rękami niewolników dla fantazji despotów, lub — przez zabobonną ciemnotę, wobec cudów świata dzisiejszego, jak kanał Suezki, kolej Semmering, tunele przez Cenis, St. Gotthard i Simplon, jak projekty tunelów podmorskich, kolei Transsaharskiej i t. d. — wobec tych dzieł, któ-

re świadoma myśl i ręka dzisiejszego człowieka wznosi dla uszczęśliwienia ludzkości przez pokonanie przyrody — dla podniesienie dobrobytu, dla zaoszczędzenia czasu i sił potrzebnych do pracy fizycznej, aby je zużytkować na urzeczywistnienie wyższych pragnień duchowych. — Jednym z takich dzieł będzie również przekopanie Ameryki Centralnej, połączenie obu oceanów.

Wydłużona postać Ameryki, rozciągająca się od świata arktycznego, aż prawie po antarktyczny, oddzielająca, niby potężna grobla, dwa oceany, w środkowej swojej części między 7° i 30° szer. pn., wskutek wdarcia się ze wschodu «Amerykańskiego morza Śródziemnego», doznaje nagłego zwężenia, a stąd — podziału na dwie części; zwężenie to niby wiotka kibić tej wysmukłej części świata, występuje szczególnie wybitnie w części południowej (między 7° i 18° szer. pn.): tworzy tu ono właściwy istm — wazką (w przesmyku San Blas tylko na 50 km.) i długą (2300 km.) groblę między dwoma oceanami, noszącą nazwę Ameryki Centralnej.

Falisty kształt obu brzegów (zwłaszcza atlantyckiego) tej grobli tworzy naprzemian rozszerzenia i zwężenia; ostatnie przedstawiają dogodne miejsca do przekopania kanału; ku nim też zwrócone były różne jego projekty — tym dogodniejsze, im bardziej z tą morfologiczną własnością szły w parze oro- i hydrograficzne warunki.

Góry, przerzynające Amerykę Centralną, są dalszym ciągiem pasma Wielkich Antyllów i stoją z niemi w związku zapomocą podmorskiej ławy, ciągnącej się między Kubą i Jukatanem; góry Jukatanu przechodzą dalej w wyżynę Guatimali, którą oddziela od Kordyljerów Ameryki Północnej (wyżyny Anahuac) obniżenie przesmyku Tehuantepec; dalej wyżyna Guatimali przechodzi w wyżyny Hondurasu, która na południu zniża się w wyżynie Nicaraguy, obejmującej w zagłębieniach połączony wodozbiór jezior Managua (47 metr. n. p. morza) i Nicaragua (tylko 33

metr.); wody tych jezior za pośrednictwem żeglownej rzeki San Juan spływają do Atlantyku. «Jezioro Managua należy do najpiękniejszych w świecie: na jego brzegu północnym i wschodnim piętrzą się dzikie, poszarpane szczyty skaliste, owiane błękitem; na południu i zachodzie rozścielają się bujne zieleniejące równiny, a wulkan Momotombo wkracza w jezioro, niby olbrzymi wartownik w czarnej czapce, ozdobionej pióropuszem dymu. Z pośród samego jeziora wznosi się stożek Momotombito tak prawidłowy, jakby był sztucznie wytoczony — w gęstych lasach, porastających jego zbocza, kryją się posępne posągi starych bóstw indyjskich». (Squier).

Na południe obniżenia Nicaraguy, powierzchnia znów wznosi się w wyżynie Costarica i wreszcie znów się zniża na przesmyku Darjeńskim, gdzie dział wodny między rzekami Atrato (ocean Atlantycki) i Tuyra (ocean Wielki), zniża się do stu kilkudziesięciu metrów i jest tak łatwy do przebycia, że już Flibustjerowie używali go do przeciągania swych łodzi z Atrato na Tuyrę, by napadać i grabić wybrzeża oceanu Wielkiego.

Te kolejne obniżenia i podwyższenia Ameryki Centralnej, wraz z badaniami geologicznymi, pokazują, że była ona w niedawnych jeszcze czasach geologicznych (pliocen) łańcuchem wysp, porozdzielanych cieśninami, łączącymi oba oceany.

Wyniosłości Ameryki Centralnej dzielą ją na dwa różne stoki — pacyficzny i atlantycki; pierwszy zajmuje środkowe wyżyny i wybrzeże oceanu Spokojnego; drugi jest napływowym, poziomym pasem nadbrzeżnym, zawdzięczającym swe powstanie pracy rzek, które dzielą się tu na liczne splątane ze sobą odnogi — jest to kraina delt. Obie te części różne pod względem ukształtowania i natury gruntu, różne są także pod względem klimatycznym, roślinnym i antropogeograficznym.

Passat północno-wschodni, powstrzymywany przez wyniosłości, oddaje większą część swej wilgoci stronie

atlantyckiej, na drugą zaś stronę przechodzi znacznie już osuszony; to też strona wschodnia ma porę deszczów prawie przez cały rok, a gdy na krótko deszcz przestanie padać i słońce się ukaże, kraj pokrywa się wkrótce kłębamipary, niby olbrzymi kocioł; woda na gruncie poziomym z trudnością może odpływać, to też ludzie mieszkają tu na palach, lub w łodziach. Ogromna wilgoć tej strony w połączeniu z wysoką temperaturą (Tierras Calientes) i żyznym napływowym gruntem wywołuje nadzwyczaj bujną roślinność (dziewicze lasy drzew mahoniowych, hebanowych, kampezowych, kauczukowych, brezylji i t. d. splecione nieprzebytym gąszczem ljanów), ale oraz — zabójczy klimat (febry) i chmury dokuczliwych owadów. Wszystko to niezmiernie utrudnia podróż i badania w tych okolicach.

Ta nadbrzeżna kraina u stóp Kordyljerów przypomina ów osławiony «pas śmierci», Terai, rozciągający się u stóp Himalajów, lub krainę Kuolla u stóp Abisynji. Nie dziw też, iż pas ten, zwany «grobem Hiszpanów», nie ściągnął dotąd kolonizacji europejskiej i że jest pusty, oraz mało znany. Nieliczni mieszkańcy tutejszych osad portowych, jak Aspinwal, Porto Bello i t. d., są raczej do cieniów, niż ludzi podobni: półsenne bujanie się w zacienionym hamaku, z cygarettą w ustach, stanowi ideał ich życia.

Klimat zabójczy, nieprzebyta roślinność i dokuczliwe owady utrudniają tu również niezmiernie wszelkie roboty techniczne. Robotnicy, którzy przybyli tu do budowy kolei od Aspinwal do Panamy (w 1855 r.), już po niewielu dniach tracili świeżość cery, apetyt i energję do pracy, a następnie umierali w znacznej liczbie: powiadają nawet, że kolej Panamska kosztowała życia tylu ludzi, iluby ich mogło zmieścić się położonych wzdłuż całej tej drogi.

Strona pacyficzna, falista, bardziej wzniesiona, posiada klimat suchszy (dwie pory, sucha i dżdżysta), zdrowszy, w znacznie wzniesionych miejscowościach umiarkowa-

ny (Tierras Templadas), posiada liczniejsze miasta i wsie, budowane nie z trzciny, jak na stronie atlantyckiej, lecz z cegieł suszonych na słońcu; ludność jest pracowitsza, uprawia kukurydzę, trzcinę cukrową, kawę, kakao i bawełnę.

Niekorzystne, jak wspomnieliśmy, warunki klimatyczne strony atlantyckiej, utrudniały długo poznanie tej części ziemi i przez to odwlekły aż do obecnej chwili rzeczywistnienie myśli przekopania kanału, która zrodziła się już bardzo dawno, bo niezadługo po odkryciu Ameryki.

Wiadomo, że Kolumb dlatego jedynie przedsięwziął swą wyprawę, by otworzyć drogę z Europy do wschodnich wybrzeży Azji, nie przypuszczając, że na tej drodze legła długa, poprzeczna grobla, którą trzeba okrążyć długą, niebezpieczną drogą, koło burzliwego przylądku Horn, lub przez krętą, skalistą cieśninę Magellana; Kolumb napróżno szukał cieśniny, płynąc wzdłuż wybrzeży Ameryki Centralnej, od zatoki Honduras do Darjeńskiej. Gdy następnie, w roku 1513 Hiszpan Balboa z wyniosłości wąskiego przesmyku ujrzał naraz oba oceany, powstały różne projekty, połączenia ich kanałem (lecz niebawem poszły one w zapomnienie). Korteż proponował w tym celu zwężenie (220 km.) i obniżenie Tehuantepec między zatoką tegoż nazwiska i zatoką Kampesz, lecz brak portów przy końcach tej linii, klimat zabójczy na wybrzeżu atlantyckim, a brak wody na pacyficznym, przeszkodziły w wykonaniu tego projektu (w ostatnich czasach wskrzesili go jeszcze północni Amerykanie, chcąc zyskać tym sposobem «ujście Mississipi do oceanu Spokojnego»). Następnie Hiszpanie, pragnąc dla siebie zachować monopol handlu, sprzeciwiali się wszelkim projektom kanałowym do tego stopnia, że katolicki Neron, Filip II zagroził karą śmierci każdemu, ktoby śmiał projekt taki zaproponować.

Dopiero w nowszych czasach, gdy odkryto pokłady złota w Kalifornji, które wywołało «gorączkę złota»; gdy skutek tego powstało dążenie wychodźców w tę stronę

poczęści drogą przez przesmyk, który z tegoż powodu stał się siedliskiem rozbójników (około połowy zeszłego stulecia); gdy tym sposobem w Kalifornji wzrosła gęstość zaludnienia, wzmogła się produkcja i handel; gdy następnie wzmógł się rozwój handlowy rzeczypospolitej Chilijskiej; gdy wreszcie na widownię handlu światowego wystąpiła Japonja, wtedy idea kanału zyskała realne podstawy i wtedy znów zwróciły się ku niej umysły Ameryki Północnej i Europy.

Po kongresie gieograficznym paryskim w roku 1875 utworzyło się międzynarodowe stowarzyszenie kanału międzyoceanicznego (*Société civile internationale du canal interocéanique*), które w latach 1876 i 1878 wysyłało wyprawy, pod naczelnictwem oficera francuskiej marynarki L. Wysego dla zbadania różnych projektów i wykluczenia niepraktycznych. Z różnych projektów, opierających się na zwężeniach, obniżeniach i stosunkach hydrograficznych, projekty przez zwężenia: Chiriqui, Honduras, Tehuantepec, zostały uznane za niedogodne. Dla rozstrzygnięcia pytania, któremu z projektów pozostałych (przesmyki: Darjeński, San Blas, Panamski, Nicaragua) należy dać pierwszeństwo, zebrał się w dniu 15 maja roku 1879 w Paryżu międzynarodowy kongres, pod przewodnictwem twórcy kanału Suezkiego, Lessepsa. Kongres, idąc za zdaniem tego ostatniego, odrzucił projekty kanałów ze szluzami, jako pociągających za sobą zwłokę w żegludze i trudnych do utrzymania w gorąco-wilgotnym klimacie i przechylił się na stronę kanałów z tunelami, na jednym poziomie z morzem. Tym sposobem odpadł projekt przez Nicaraguę, wymagający szluz, pozostały projekty przez przesmyk Darjeński, San-Blas i Panamski; w dalszym ciągu pierwszy został odrzucony, z powodu panujących tam burz i gruntu błotnistego, niedogodnego do budowli wodnych, drugi z powodu długości tunelu. Zatwierdzony został projekt przez przesmyk Panamski z uwagi, że cho-

ciaż dłuższy od poprzedniego, nie wymaga jednak tak długiego tunelu, a isć będzie wzdłuż kolei Panamskiej, co ułatwi jego budowę; z drugiej strony i ten projekt ma swe niedogodności, a mianowicie płytkość portów końcowych, Colon i Panama, oraz klimat niezdrowy. Projekt ten natrafił jednak na silną opozycję Stanów Zjednoczonych, lecz Lesseps mimo swych 75 lat rozwinął szaloną agitację: udał się do Ameryki, badał przesmyk osobiście, wygłaszał odczyty we wszystkich większych miastach Stanów Zjednoczonych, bronił projektu w Anglii, Holandji, Belgji, Francji, w towarzystwach naukowych, na mitingach, zebraniach, bankietach i t. d. i wreszcie zwyciężył przeciwników, nawet najwytrwalszych: subskrypcja otworzona w roku 1881 miała powodzenie zupełne i prace rozpoczęły się natychmiast. Robotników w liczbie kilkunastu tysięcy dostarczyły głównie wyspy Antylskie; ale w ciągu robót okazały się nieprzewidziane trudności, wydatki rosły i nastąpiło głośne bankructwo; w 1889 roku roboty przerwano, i maszyny pozostały wśród lasów na pastwę rdzy. Amerykanie rozpoczęli roboty nad kanałem przez jezioro Nicaragua, ale przekonali się wkrótce o niepraktyczności tego projektu, tak iż wreszcie w roku 1903 postanowili podjąć nanowo roboty nad rozpoczętym kanałem Panamskim.

Urzeczywistnienie tego olbrzymiego przedsięwzięcia, wywoła w stosunkach międzynarodowych, w handlu światowym jeszcze większy przewrót, niż przekopanie przesmyku Suezkiego. Skróci ono drogę między wielkimi rynkami handlowymi Europy, Ameryki i Azji o setki, a nawet tysiące mil; Europa zbliży się niejako do wybrzeży oceanu Wielkiego. Kanał Panamski będzie bezwątpienia więcej uczęszczany, niż Suezki. Największe jednak korzyści kanał ten przyniesie bezwątpienia Ameryce Północnej; jak niegdyś Italja stała się władczynią morza Śródziemnego, tak Ameryka będzie mogła stać się wład-

czynią oceanu, panią handlu światowego i w pochodzie cywilizacyjnym wyprzedzić starą Europę. «Na zachód od nas — mówi Oskar Peschel, — na przestrzeniach położonych między dwoma oceanami młode zbiorowisko ludów zamieszkuje przestwór lądu, któreby potrójną liczbą mieszkańców Chin, t. j. tysiąc milionów, z łatwością zdołał wyżywić; wzrasta nowa społeczność, pomnażająca się o jedną trzecią, co każdy lat dziesiątek, tak, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, wiek dwudziesty rozpocznie 100 milionową ludnością. Gdy kiedyś na owej widowni zaczną się rozwiązywać wyższe zadania ludzkości, wtedy ludy Europy będą musiały ustąpić od przodownictwa dziejowego. — Gdy u nas słońce stoi w południu, promienie jego barwią dopiero różem jutrzienki wybrzeżne krajobrazy Nowego Świata. Tak samo rzecz się ma z kulturą rodu ludzkiego: w Europie stoi ona w zenicie swego pochodzenia, a za Atlantykiem widnieje dopiero jej jutrzienka. Lecz słońce posuwa się dalej, ono nie zatrzymuje się, przykute w miejscu woła Jozuego». — Słońce cywilizacji, jak i słońce rzeczywiste nie dadzą się powstrzymać w swym biegu; ale pierwsze z nich daje się popchnąć, pozwala przyśpieszyć bieg swój: wielkie odkrycia i wynalazki, wielkie konstrukcje techniczne — dzieła genialnej myśli i potężnej woli ludzkiej są właśnie w stanie ruch jego przyśpieszyć. Jednym z dzieł takich będzie kanał Panamski — przyśpieszy on bieg słońca cywilizacji ze wschodu na zachód, przyśpieszy chwilę, w której Świat Nowy ujrzy je, świecące jasnymi promieniami południa.

W. N.



SPIS RZECZY.

	<i>str.</i>
Grenlandja i jej mieszkańcy	1
Wśród Eskimów na Labradorze	12
Życie w lasach Kanadyjskich	20
Wodospad Niagary	25
Niziny Ameryki Północnej	41
New-York	47
Z New-Yorku przez Detroit i Cincinnati do Nowego Orleanu	56
Mississipi	60
Przez prerje	72
Podczas zamieci w prerji	76
Tornados.	83
Chicago, targowisko mięsne	84
Rolnicy-Nomadzi	89
Gospodarstwo rolne na prerjach	93
Rzeźnie w Kansas City	97
Daleki Zachód	99
Religijne wierzenia Indian	100
Wymieranie Indian	107
Park Narodowy, czyli kraina cudów.	110
Drzewa-olbrzymy Kalifornji i ich losy	117
Kanjony rzeki Kolorado	123
Great Salt-Lake City (miasto Wielkiego Słonego Jeziora) .	136
Puebla	138
Hotel w Meksyku	140
Małe Antylle	143
Hawana	152
Ameryka Centralna i projekty kanałów międzyoceanicznych	155



100
101
102
103
104
105
106
107
108
109
110
111
112
113
114
115
116
117
118
119
120
121
122
123
124
125
126
127
128
129
130
131
132
133
134
135
136
137
138
139
140
141
142
143
144
145
146
147
148
149
150
151
152
153
154
155
156
157
158
159
160
161
162
163
164
165
166
167
168
169
170
171
172
173
174
175
176
177
178
179
180
181
182
183
184
185
186
187
188
189
190
191
192
193
194
195
196
197
198
199
200

2M. —
15702/12111

42041 [3]